

ZESZYT STO DWUDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1999

ZESZYT STO DWUDZIESTY ÓSMY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1999

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 507

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0175-4

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Jerzy STADNICKI

MÓJ PAMIĘCIOWY OBRAZ OŚWIECIMIA

Liczne ostatnio głosy i dyskusje na temat Oświęcimia dowodzą, że panuje tu wiele nieporozumień. Niniejsza publikacja chciałaby się przyczynić do ich zmniejszenia. To co powiem jest tylko wspomnieniem osobistym, lecz nie całkiem dowolnym. Przebywałem w Oświęcimiu około piętnastu miesięcy, znałem jednak ludzi, którzy byli tam znacznie dłużej, jak dyplomata Wojciech Kętrzyński, starosta Julian Marossányi, Xawery Dunikowski, profesor Kapuściński (dermatolog), powojenny dyrektor muzeum oświęcimskiego Targosz. Należałem po wojnie do Związku Byłych Więźniów Politycznych. Przeczytałem wiele publikacji z tego zakresu, oglądałem filmy, uczestniczyłem w spotkaniach, słowem – dysponuję pewnym materiałem porównawczym.

Obraz który tu kreślę różni się znacznie od tego, jaki przeważa w opinii potocznej i wielu źródłach. Jest to zabieg świadomy: chodziło mi właśnie o sprostowanie utrzymujących się tam nieścisłości i fałszów. Toteż z nieogarnionego prawie materiału pamięciowego – wybieram głównie sprawy kontrowersyjne.

Dla orientacji czytelnika podaję własne *curriculum* oświęcimskie. Należy je może poprzedzić przypomnieniem ogólnej topografii obozu. Jak wiadomo, okazał się on wkrótce

za ciasny dla wyznaczonych celów i zaczął obrastać siecią podobozów, przede wszystkim największym, w odległej o 4 km. Brzezince (Birkenau). Ten ostatni z kolei podzielono na kilka sektorów: FKL (*Frauenkonzentrationslager*) i inne, męskie oraz familijne, oznaczone literami „A” do „F”.

Przybyłem do Oświęcimia 1-go lub 2-go października 1943, wyszedłem 18-go stycznia 1945. Czas ten spędziłem najpierw w Brzezince, w obozowym szpitalu, zrazu jako pacjent (od października do stycznia), później jako pracownik (luty-maj), następnie w sektorze D (czerwiec-sierpień). W tym mniej więcej czasie zostałem przeznaczony do zwolnienia i skierowany na kwarantannę wolnościową, mieszczącą się w centrali (Auschwitz). Zazwyczaj trwała ona miesiąc; w moim wypadku, z przyczyn dla mnie niejasnych (prawdopodobnie na skutek nagłego przybliżenia się frontu), nie skończyła się w ogóle, i gdy nastąpiła ewakuacja Oświęcimia, pognano mnie, wraz z innymi, do dalszych obozów.

Mowa więc tu będzie głównie o Brzezince, w której przebywałem najdłużej i poznałem ją najlepiej.

Warunki życia

Więźniowie Brzezinki mieszkali w barakach tzw. „końskich” (pomyślanych może dla tych zwierząt), drewnianych. Przez środek biegła rura ogrzewcza, dająca w zimie znośną temperaturę, po obu stronach wznosiły się trzykondygnacyjne prycze z siennikami; każdy zaopatrzony był w koc i, o ile pamiętam, prześcieradło, nigdy zresztą nie zmieniane. Na tym pośłaniu spał normalnie sam jeden.

Wyżywienie otrzymywaliśmy trzy razy dziennie: rano kawę zbożową, w południe, podczas półgodzinnej przerwy w pracy, zupeł, wieczorem chleb z jakimś dodatkiem i „herbatę”.

Ile było tego chleba, nie umiem dokładnie powiedzieć. Była to część wojskowego razowca, dzielonego na 8 (?) części; sądzą, że porcja wynosiła około ćwierć kilograma. Dodatkiem był, zależnie od dnia, płatek końskiej zapewne kiełbasy, kawałeczek margaryny, łyżka marmolady lub serek.

Prócz tego, pracujący (a więc na przykład nie – chorzy) pobierali dwa razy w tygodniu tzw. „zulagę”, czyli dodatek, wynoszący większą nieco porcję chleba i kiełbasy.

Produkty te nie były złe. Chleb – ja osobiście wolałem od tego, który przysyłano mi z domu, niewątpliwie lepszego pod względem odżywczym, lecz dla mnie – mdłego w smaku.

Zupa była dość zawieszista, z ziemniakami, brukwią, czasem fasolą. Normalna doza wynosiła litr, lecz nieraz można było dostać i drugi. Pamiętam, że w końcowym okresie, gdy paczki już nie docierały, zjadałem parę misek „gęstego”, odcedzając tylko bezwartościowy płyn.

Chorem podawano biały chleb i delikatniejszą zupę. Pamiętam, jak w czasie procesu b. komendanta Oświęcimia, Hoessa – który śledziłem w sprawozdaniach – na jego słowa, iż więźniowie otrzymywali w szpitalu mleko – rozległ się na sali śmiech. Ale to była prawda, sam to mleko piłem. Nie było go dużo i na pewno nie było tłuste, niemniej – było, ściślej: bywało.

Jakość nie była więc zła, natomiast ilość – stanowczo niewystarczająca, zwłaszcza dla ludzi ciężko pracujących. Dlatego sprawą podstawową dla więźnia było otrzymywanie paczek. Dopuszczenie ich – bodaj w r. 1942 – stanowiło przewrót w dziejach Oświęcimia. Mógł otrzymywać je każdy więzień aryjczyk, a więc z wyjątkiem Żydów i Cyganów, bez ograniczeń ilościowych; zabronione były tylko płyny, lekarstwa i alkohol.

Ja na przykład otrzymywałem przesyłki plus-minus dwukilogramowe, początkowo trzy razy na tydzień; na moje ponawiane prośby, by nie przysyłano aż tyle (wiedziałem, jakie ofiary ponosi moja rodzina), ograniczono to potem do dwóch tygodniowo. W ten sposób otrzymałem mniej więcej od połowy października 1943 do lata 1944, o ile pamiętam, pięćdziesiąt jeden paczek; były bowiem zawsze numerowane, zawierały też spis zawartości. W całym tym okresie zaginęła jedna paczka, w innej brakowało jakiegoś drobiazgu.

Nieszczęsne rodziny wyobrażały sobie, że paczki są konfiskowane lub okradane, starały się więc posyłać jak najwię-

cej i najlepsze, by „coś jednak” doszło; według moich obserwacji były to obawy zupełnie bezpodstawne.

Fundamentalne znaczenie paczek wynikało stąd, że nie służyły one tylko do osobistej konsumpcji; równie ważna była ich rola handlowa. Za żywność można było wszystko dostać, zwłaszcza lepszą odzież. Przydzielane ubrania były nadzwyczaj liche, zimne, wytarte, niedopasowane; tak samo – buty-drewniaki. Opłacało się również przedmioty codziennego użytku, leki, lepszą pracę i – traktowanie.

Praca była nader różna. Za najlepszą uchodziła ta, która odbywała się na terenie obozu – choć i tu bywała ciężka. Ja na przykład, zaraz po zabliźnieniu się rany z którą przybyłem i wyleczeniu tyfusu, który się wkrótce dopłatał – zostałem skierowany do zajęć przy przyjmowaniu chorych. Trzeba było posortować ich odzież i zawieźć ją do dezynfekcji wozem, do którego zaprzęgaliśmy się w sześciu czy siedmiu, ciągnąc pół kilometra po złej, wyboistej drodze. Ale i tak był to dobry los w porównaniu z tzw. „*kieskomandem*” przy regulacji Soły, w wodzie i błocie.

Za to następna moja praca, w komandzie „Luftwaffe-Berge-Park”, trudniącym się jakimiś robotami drogowymi, była właściwie obijaniem się. Gdy zjawiała się na horyzoncie władza, kolega-*vorarbeiter* (przodownik) oznajmiał: „Kiwać się, chłopcy!” i ruszaliśmy się trochę żwawiej.

Widocznie jednak za mało, bo raz poczułem na zgiętych plecach dość mocne uderzenie, wymierzone przez przybyłego znieścacka SS-mana. Poza tym jednym razem, nie zostałem w Oświęcimiu nigdy uderzony przez Niemca, również na przesłuchaniach politycznych; u innych widziałem to dwa lub trzy razy. Chłosta, jako kara formalna, stosowana była w tym okresie rzadko; wymagało to ponoć specjalnego zezwolenia Berlina (!). Oczywiście nie odnosiło się to do przygodnych ciosów, jakie każdy może oberwać w miejscu awantury.

Zapewne zdziwią kogoś, lub zgorszą, te twierdzenia; słyszało się o zgoła innym traktowaniu ludzi w Oświęcimiu. Spieszę więc – po pierwsze przypomnieć, że opisuję sytuację z lat 1943-1944, gdy stosunki w obozach, po klęsce stalin-gradzkiej, radykalnie się poprawiły; starsi koledzy powtarzali

nam do znudzenia, że żyjemy „w pensjonacie”, „nie wiemy, co to *lager*” itp. (inna rzecz, że wyciągali stąd specyficzne wnioski, o których będzie mowa w ustępie o stosunkach wzajemnych między więźniami).

Po drugie: nawet jak na te „pensjonatowe” czasy, ja osobiście należałem do więźniów uprzywilejowanych. Przede wszystkim dzięki ilości paczek; przeciętny więzień otrzymywał je znacznie rzadziej, może raz na miesiąc. Również – dzięki staraniom rodziny; wszak – nim poszedłem na kwarantannę wolnościową – starania w tym kierunku były w toku i mogły wpłynąć na sposób, w jaki mnie traktowano.

Lecznictwo

O lecnicztwie mogę powiedzieć dość dużo, ponieważ, jak zaznaczyłem, spędziłem w szpitalu w Brzezince (zwanym tu *Krankenbau*) około ośmiu miesięcy.

Było tam wówczas 18 bloków szpitalnych, każdy liczący na oko 80 do 150 łóżek (były większe i mniejsze); być może niektóre podobozы posiadały własne oddziały szpitalne, podobnie jak cały obóz kobiecy.

Przebywałem kolejno na czterech oddziałach: chirurgicznym, tyfusowym, świerzbowym i – jako pracownik – biegunkowym; najdłużej na pierwszym, na bloku nr 3, kierowanym przez dr. Hermana przy pomocy dr. Picka – którym chciałem na tym miejscu, o ile dotrą do nich te słowa, wyrazić głęboką wdzięczność za wyprowadzenie z ciężkiego stanu*. – Dominowały tu przypadki ropowicy, choroby raczej rzadkiej w warunkach normalnych, w obozie nagminnej, na skutek uderzeń i innych urazów. Operowano ją w miejscowym znieczuleniu (chlorkiem etylu). Wielką bolączką był brak innych bandażы jak papierowe. Poza tym warunki były znośne; największym może mankamentem było ograniczenie rannej toalety do polewania wodą rąk, którymi następnie przecierało się twarz; nie było bowiem na blokach bieżącej

* Ponieważ okazało się, że zdanie to bywało źle rozumiane, zaznaczam, że wymienieni lekarze – jak zresztą wszyscy inni, z wyjątkiem *Lagerarzta* – byli więźniami; ci konkretnie – Polakami żydowskiego pochodzenia.

wody (tylko w łaźni). Codziennie z rana odbywał się obchód lekarski, potem zaczynały się operacje – w czasie których wpadał zwykle na krótką inspekcję lekarz SS-man (*Lagerarzt*). W niedzielę odbywał się przegląd bielizny, pod kątem szukania wszy. Z innych insektów – nękały nas pchły.

Na bloku tyfusowym (Nr 10) i świerzbowym (15) warunki były, *mutatis mutandis*, podobne. Całkiem inaczej przedstawiał się blok biegunkowy (12). Był to właściwie przedpokój do krematorium. Już sam widok był straszny: chorzy leżeli często nago na pryzkach lub betonowej podłodze – gdy próbowali doczołgać się do stojącej w kącie beczki z wodą i legli po drodze. Dążyli zaś tam dlatego, że dręczyło ich gwałtowne pragnienie. Nikt ich nie podnosił, ani personel ani chorzy towarzysze: i tak mieli jutro umrzeć.

Problemem leczniczym numer jeden była wszawica, źródło duru plamistego. Nigdy jej właściwie nie przewalczono, choć trzeba przyznać, że władze obozowe czyniły w tym kierunku wiele – zresztą metodami, które trudno czasem zaaprobować. Jedną był wspomniany niedzielny przegląd bielizny chorych. Poza tym, co pewien czas organizowano ogólne „odwszenie” – odbywające się w następujący sposób: cała odzież szła do dezynfekcji a tymczasem każdy więzień – obojętnie, czy znaleziono u niego wszy, czy nie – udawał się nago na miejsce, gdzie zalewano go wodą z jakimś płynem odkażającym. W teorii i wielkim skrócie wyglądało to może racjonalnie, praktyka jednak, pospieszna i „lipna”, czyniła całą rzecz mało skuteczną, a często fatalną, mianowicie w zimie, gdy ludzie, dygocąc, czekali na swoją kolej. Podobno po każdym takim odwszeniu śmiertelność w obozie wzrastała; jak mówiliśmy, „giną wszy, a my razem z nimi”.

Dużo było w ogóle takiej „lipy” – trudno wiedzieć, dla kogo robionej, może dla jakichś międzynarodowych inspekcji. Jedną z nich było wprowadzenie ćwiczeń gimnastycznych dla lżej chorych a nawet zbudowanie boiska piłki nożnej.

By zreasumować: trudno o jednoznaczną ocenę, czy należy uznać *Krankenbau* za urągowisko i nonsens, czy też pewien azyl. Faktem jest, że zgłaszających się było więcej niż wolnych miejsc; faktem, że starali się potem wszelkimi

sposobami przedłużyć kurację; faktem, że lekarze – od których to głównie zależało – często to ułatwiali. Czy zawsze bezinteresownie? Zapewne nie; do mnie jednak (wracam wciąż do własnych doświadczeń) żaden z nich nie zwrócił się nigdy z propozycją, czy aluzją, o rewanż.

Tyle, co do Brzezinki. W oświęcimskiej centrali warunki były – jak wszystko tam – lepsze. Nie przebywałem w tamtejszym szpitalu, miałem jednak plombowany ząb na jednym z trzech foteli dentystycznych.

Uśmiercanie

Za moich czasów aryjczycy nie byli w Oświęcimiu uśmierceni. Innymi słowy: rdzenny Polak czy Francuz, który nie zapadł na śmiertelną chorobę (o co, *nota bene*, nie było trudno) mógł liczyć na przetrwanie. Pozostali, tzn. głównie Żydzi, a może również Cyganie, byli, w razie niezdolności do pracy, poddawani gazowaniu. Przebywając na *Krankenbau* widziałem nieraz z daleka (gdyż nie wolno było się zbliżać ani nawet opuszczać swego bloku) samochody ciężarowe z ludźmi, jadące w stronę krematorium – gdzie mieściły się również komory gazowe.

Raz widziałem nawet rzecz z bliska. Przebywałem wówczas na oddziale świerzbowym, a więc nie mieszczącym raczej ciężkich przypadków. Wkroczył *Lagerarzt* i chorych Żydów podzielił na dwie grupy. Nie pamiętam, by kogoś badał czy bliżej mu się przyglądał; powiedział tylko parę słów blokowemu i odszedł. Nikt jednak nie miał wątpliwości, iż jedna z obu grup została wyznaczona do gazu. Dlaczego – ci właśnie? Nie wiem, przypuszczam, że chodziło o dopełnienie jakiejś, wyznaczonej uprzednio liczby. Na razie zresztą nic się w ich życiu nie zmieniło, pozostali na swych miejscach, otrzymali chyba nawet normalne racje żywnościowe. Wiedzieli jednak, co ich czeka; nakryli się – z braku tańsów – kocami i odśpiewali wspólnie jakąś pieśń, zapewne kadisz. Nikt im w tym nie przeszkadzał, choć normalnie przejawy jakiegokolwiek religii, a tym bardziej żydowskiej, nie były tolerowane. Nazajutrz (chyba) wywoływano ich po

numerach; trwało to na tyle długo, że mogłem z niektórymi zamienić parę słów. Jeden poprosił o papierosa, inny usiłował przehandlować swój pasek za nieco chleba. Szli na śmierć spokojnie i godnie; słysząc było głosy: „Polacy, życzymy wam, by nie spotkał was taki sam los”; „Polacy, pomścicie naszą krew”. Jeden tylko zaczął gwałtownie szlochać i wyrywać się: dziesięcioletni może chłopczyk.

Jeśli chodzi o eksterminację masową, to nie byłem i nie mogłem być jej naocznym świadkiem. Ale nie tylko zmysłem wzroku poznajemy rzeczywistość. W czerwcu czy lipcu 1944 Brzezinka napęłniała się dymem o specyficznym zapachu. Przybywały całe pociągi Żydów z Węgier. Było to po nieudanej próbie tego kraju wystąpienia z bloku Osi i zawarcia odrębnego pokoju z aliantami. Represje spadły głównie na tych, którzy najmniej zawinili. Zaczęła się masowa wywózka Żydów do Brzezinki, gdzie kierowano ich wprost do komór gazowych, a potem nawet podobno do wykopanych *ad hoc* dołów. W ten sposób zgładzono, jak słyszałem, pół miliona ludzi w ciągu miesiąca. Nieraz, zwłaszcza w nocy, rozlegały się strzały i krzyki. Rozluźniła się dyscyplina obozowa – SS-mani mieli co innego na głowie – ucieczki zdarzały się nieomal codziennie. Wyżywienie zaś stało się nagle takie, jak nigdy przedtem ani potem: zupa z rodzynkami itp. rarytasy, zabrane na drogę przez nie domyślających się swego losu skazańców.

Stosunki wzajemne między więźniami

Przybywając do Oświęcimia wyobrażałem sobie, że znalazłem się wśród jakiejś elity narodu, społecznej i duchowej. Tymczasem pierwszym niemal słowem, jakie usłyszałem pod swoim adresem, było „p...y inteligent”. Warstwa ta nie była w Oświęcimiu popularna. Stanowiła też zdecydowaną mniejszość.

Drugim epitetem, z jakim miałem się wkrótce spotkać, był „p...y milionowiec”. Mianem tym określali dawniejsi więźniowie – kolegów o numerach sześciocyfrowych, tj. z grubsza przybyłych po r. 1942. I oni byli na ogół źle widziani, pogardzani, gnębieni.

Przez kogo? Oczywiście przez władzę obozową, składającą się najpierw z SS-manów, a następnie z więźniów realizujących ich program, blokowych, czyli zwierzchników budynku mieszkalnego, *capo*, czyli szefów komanda roboczego i innych tzw. funkcyjnych. Władza kierowała się założeniem, iż funkcję winien sprawować w miarę możliwości „stary numer”. Nie było takich wielu, gdyż wyginęli na ogół w pierwszych latach Oświęcimia. Za moich czasów numer pięciocyfrowy stanowił już pewną rzadkość, cztero- i mniej cyfrowy – zupełny wyjątek. Istnieli jednak i nawet nieźle sobie zwykle radzili. Wywalczyli sobie mianowicie pewne pozaregulaminowe przywileje: młody więzień winien był staremu szacunek, stary mógł młodym pomiatać, bić go itp. Przytoczę drobny przykład: zdarzyło mi się raz w *Krankenbau* zdobyć bon do kantyny, zamkniętej normalnie dla chorych, i w której zresztą nic nie było, poza papierem toaletowym, sałatką ze ślimaków i jakimś „winem”; nie wiem już o co poprosiłem, ale, widząc, nie dość grzecznie, zdaniem kierownika, starego numeru, który mnie zwymyślał, a gdy się postawiłem – pobiegł na skargę do lekarza. Ten usiłował mi wyjaśnić całą niestosowność mego zachowania, widząc zaś, że nie pojmuję, zawołał: „Czy ty nie rozumiesz, że gdyby to się zdarzyło rok wcześniej, to on mógłby cię zabić.” Miałem ochotę odpowiedzieć: „Jak na lekarza – nieźle!”; na szczęście ugryzłem się w język.

Może to była przesada, może i przed rokiem nie zabito by mnie tak od razu. Chodzi nie tyle o fakt, co o mentalność: więzień przebywający dłuższy czas w obozie zaczynał uważać panujący tam system za naturalny; inne stanowisko budziło jego zdziwienie i zgorznienie.

Tu może należy szukać wyjaśnienia zjawiska tzw. „fali” w wojsku, tj. programowego dręczenia i upokarzania rekrutów przez starszych o parę miesięcy kolegów, przekonanych, że należy młodzikom dać „szkołę”: może wchodzi tu w grę jakiś niezbadany czynnik psychofizyczny czy psychospołeczny?

Nie wdając się w ten problem, notuję tylko zjawisko akceptowania przez starszego stażem więźnia – systemu, skierowanego w końcu przeciw niemu samemu.

W Oświęcimiu – i zapewne w każdym podobnym

miejscu – każdy myślał tylko o tym, by przetrwać. Nikt na ogół nie dzielił się z nikim zawartością paczek.

Nie chcę przez to powiedzieć, iż nie istniał altruizm, a nawet poświęcenie. Nie przeżyłbym może obozu, gdyby na samym początku nie zaopiekował się mną wcześniej aresztowany – a więc stary numer – kolega z lat szkolnych (późniejszy profesor medycyny) Andrzej Łempkowski. Takich było więcej. Ale byli to bądź, jak Andrzej, krajanie, bądź ludzie z tego samego co ja środowiska. Solidarność istniała jak najbardziej, lecz w obrębie pewnych wspólnot. Inteligenci, intelektualiści, artyści – „wywąchivali się” wśród ogólnego zdzierzenia i popierali wzajemnie. Istniało w Oświęcimiu całe podskórne życie kulturalne; ludzie czytali (o książki było bardzo trudno, ale zdarzały się), dyskutowali, kształcili się nawet. Wyjątki te nie miały jednak większego wpływu na regułę: prawo dżungli. Przykład: paczki, jak się rzekło, rozstrzygały często o życiu; by je otrzymać, trzeba było napisać list do rodziny; blankiet listowy można było teoretycznie uzyskać w kancelarii; w praktyce należało zań zapłacić: dzienną rację chleba. I teraz zaczynał się dla wielu dylemat: poświęcić chleb w nadziei otrzymania kiedyś paczki, czy zjeść natychmiast, bez tej perspektywy. Czy trzeba dodawać, że pokusa była dla niejednego zbyt silna...

Spyta ktoś może, czy autor tych wspomnień nie spotkał się nigdy z przejawem bezinteresowności czystej, nie podyktowanej ani znajomością, ani przyjaźnią, ani żadnym uczuciem podobnym? Owszem, raz: u niejakiego Kledzika (imienia nie pomnę ale zdaje mi się, że pochodził z Końskich), pracownika szpitala, który nie tylko rozczęstowywał własne, obfite zresztą, paczki, jeszcze nieustannie wędrował od łóżka do łóżka, opatrując, pocieszając, próbując rozweselić, a wśród tego wszystkiego – podśpiewując Godzinki...

Skład narodowościowy

Według powszechnej w czasie wojny opinii, Oświęcim był miejscem zagłady Polaków, stworzonym specjalnie w tym celu przez Niemców.

Pogląd ten utrzymywał się jeszcze długo po wojnie. Związek b. Więźniów Politycznych uważany był za stowarzyszenie polskie. Broniewski pisał w „Słowie o Stalinie”: „Na mojej ziemi / miliony mogił, / przez moją ziemię / przeszedł ogień, / przez moją ziemię / przeszło nieszczęście, / na mojej ziemi / był Oświęcim”. Andrzejewski ukazuje w „Wielkim Tygodniu” chłopca o ziemistej cerze i nienaturalnym zachowaniu, które jego matka tłumaczy słowami: „To mój syn; wrócił z Oświęcimia”. We Wrocławiu istniała ulica „Ofiar Oświęcimskich”, a nawet „Wędliniarnia Oświęcimaków”. Nikt nie wątpił, że chodzi o Polaków, i tylko o Polaków.

Stopniowo obraz ten zaczął się zamazywać, a radykalnie – w ostatnich latach. Zaczęły podnosić się głosy, że tymi, którzy najliczniej zaludniali Oświęcim, byli Żydzi. Więcej: wyłącznie Żydzi. Zdarzyło mi się usłyszeć pytanie – od pewnej znajomej, która wraz z rodzicami opuściła Polskę w r. 1968, a której teraz powiedziałem, iż znam Oświęcim z własnego tam pobytu: „To w Oświęcimiu byli Polacy?”

Przyznam się, że w pierwszej chwili osłupiałem. Później dopiero uświadomiłem sobie, że moja rozmówczyni powtarza po prostu to, co przeczytała w gazecie, czy usłyszała w mediach. Wszak moje pokolenie, znające te sprawy z bezpośrednich doświadczeń – wymarło lub przestaje się liczyć; współczesny obcokrajowiec, czy nawet Polak, pragnący dowiedzieć się czegoś o Oświęcimiu, sięga po encyklopedię, np. Nową Encyklopedię Powszechną PWN, i czyta pod hasłem „Auschwitz” (!): „Zarejestrowanych i przeznaczonych na dłuższy pobyt w obozie więźniów było 400 tys., wśród nich połowę stanowili Żydzi; drugą co do liczebności grupę więźniów stanowili Polacy...”, „Największy Trybunał Nar. (...) przyjął, że w A. i jego podobozach zginęło 2,8 mln ludzi. Na podstawie szczątkowej dokumentacji można przyjąć, że ogółem wymordowano ok. 1,5 mln więźniów, w tym ok. 90% stanowili Żydzi”.

Ja jednak pamiętam Oświęcim jako miejsce, w którym element polski stanowczo przeważał. Językiem, który słyszało się najczęściej na obozowej ulicy, był polski. Amatorskie przedstawienia teatralne (były takie) odbywały się głównie po

polsku – choć niektóre numery odgrywane były po niemiecku i w innych językach. W wigilię Bożego Narodzenia rozbrzmiewały rodzime kolędy.

Wiem, oczywiście: „mówić po polsku” nie znaczy koniecznie „być Polakiem”. Języka tego używało, gorzej lub lepiej, wielu Ślązaków, zakwalifikowanych urzędowo jako Niemcy, a przede wszystkim – i to w odróżnieniu od tamtych pięknym, literackim językiem – wielu Żydów. Co czuli „w środku”, nie mogę naturalnie wiedzieć; być może niejeden przechodził jakąś ewolucję. Posiadali jednak polską kulturę, byli absolwentami polskich uniwersytetów i od rdzennych Polaków różnili się chyba tylko znajomością jidysz.

Tak było przynajmniej w tych partiach obozu, w których przebywałem. Wiem, że istniały sektory Brzezinki na pewno nie polskie, np. cygański i tzw. czeski; nie znam też całego sektora kobiecego, gdzie jednak, jak się orientuję, stosunki narodowościowe układały się podobnie jak u nas. Z tymi zastrzeżeniami Oświęcim moich czasów był miejscem, gdzie porozumiewano się głównie po polsku. Na drugim miejscu postawiłbym język niemiecki, na dalszych – rosyjski, francuski itd.

Niemcy mieszkali w osobnym bloku, czy dwóch. Byli wyraźnie uprzywilejowani, z nich głównie rekrutowali się funkcjonj. Nie pamiętam, by któryś wykonywał pracę fizyczną. Jednakże kontakt z nimi mieliśmy ograniczony, raczej służbowy. Zachowywali się, rzecz jasna, różnie; ośbiście, nie doznałem od żadnego krzywdy. Muszę też podkreślić na ich plus, że nigdy nie wykorzystywali wobec nas swojej przewagi językowej.

Tak czy owak, formalny status Niemców był jasny. Inaczej było z Żydami: z jednej strony byli wyraźnie dyskryminowani przez to, iż nie mogli pisywać listów ani otrzymywać paczek – rzecz, jak widzieliśmy, niezmiernej wagi. Z drugiej jednak byli takimi samymi więźniami, jak wszyscy, posiadali te same obowiązki i – jeśli można użyć tego słowa – prawa. Mogli więc piastować, i nieraz piastowali, funkcje blokowych, *capo* i inn. Za moich czasów nie było takich wielu, ale byli; dawniej podobno znacznie częściej.

Większość zresztą nie ubiegała się o honory, przedkładając nad nie pracę w magazynach, czy swojej specjalności zawodowej, np. lekarskiej.

Czy istniał wśród Polaków antysemityzm? Chyba tak – w tym stopniu, w jakim panował również na wolności, tj. – pomijając przypadki skrajne – raczej jako obrona interesów grupowych. Zdarzało mi się zresztą słyszeć zarzut, że się za bardzo zadaję z Żydami (prawdą było, że szukałem towarzysztwa inteligencji), na moją zaś odpowiedź, że to przecież tacy koledzy, jak inni – ostrzeżenie: „Nie znasz ich. Teraz zachowują się poprawnie, bo ich odsunięto od funkcji ale parę lat temu – nie było gorszych drani”. – Jako „millionowiec” nie byłem w stanie tego zweryfikować.

Powtarzam: Oświęcim jaki znałem był obozem głównie polskim. Skąd więc wzięła się wersja o jego żydowskim charakterze? Najpierw z późniejszych statystyk, nie różniających więźniów rejestrowanych, a więc tych, którzy w Oświęcimiu, że tak powiem, „mieszkali”, od tych, którzy zostali w nim tylko uśmierceni (jak owi Węgrzy). Po drugie, z końcowego okresu istnienia obozu, dosłownie ostatnich dwóch-trzech miesięcy, kiedy władze zaczęły masowo wywozić Polaków do obozów w głębi Rzeszy, zwożąc na ich miejsce Żydów z różnych krajów, głównie z Włoch i Francji. Jak słyszałem, Oświęcim liczył w chwili ewakuacji zaledwie dwustu Polaków! W Brzezince liczba ta musiała się przedstawiać podobnie.

Czym kierowała się władza dokonując tych przemieszczeń, tego nam nie zdradzała, nie trudno się jednak domyślić: wobec gwałtownie zbliżającego się frontu – uznała, że niebezpiecznie trzymać w pobliżu taką masę ludzi czyhających tylko na okazję do buntu; lepiej zastąpić ich takimi, którzy nie znają ani terenu, ani języka.

Ale fakt ten, tak czy inaczej motywowany, miał w rezultacie ogromne konsekwencje propagandowo-moralne: w statystyce, na którą najchętniej powołują się autorzy, Oświęcim w chwili wyzwolenia był obozem praktycznie żydowskim. Co działo się przez wszystkie lata poprzednie, w to nie wnukano.

*Przyczyny fałszywego obrazu Oświęcimia
w opinii potocznej*

Cały niniejszy tekst jest jedną wielką próbą prostowania fałszywych opinii na temat Oświęcimia. Jeżeli odpowiada on prawdzie, to powstaje pytanie, dlaczego owych fałszów jest tyle, i tak poważnych?

Sądzę, że przyczyn jest kilka; dwie – zostały już przedstawione: po pierwsze, nierozróżnianie okresu „wczesnego”, tj. plus-minus do r. 1942, i „późnego”; który przeżył autor niniejszej relacji, a w którym warunki wybitnie się poprawiły. Po drugie, nierozróżnianie więźniów którzy w Oświęcimiu „mieszkali”, od tych, którzy odbyli tylko drogę od stacji kolejowej do krematorium.

Istnieją jednak i inne przyczyny:

– Oświęcim stał się rychło dla komunizmu dogodnym narzędziem propagandy antyniemieckiej (a pośrednio i antyamerykańskiej), stanowiącej fundament jego polityki; wszak obóz ten stworzyli Niemcy, ci sami Niemcy, którzy kwestionowali granicę na Odrze i Nysie!

– Tej propagandzie urzędowej sekundowali nieraz, w najlepszej wierze, tacy autorzy wspomnień, jak Zofia Kossak-Szatkowska, czy Krystyna Żywulska. Już sam tytuł książki tej ostatniej: „Przeżyłam Oświęcim”, sugerował, iż stanowiła wyjątek, iż normalnie nie wychodziło się stamtąd żywym; w rzeczywistości, spośród moich osobistych towarzyszy – wiem konkretnie o śmierci trzech, i to nie w samym Oświęcimiu, lecz innych obozach. Ponadto Oświęcim przedstawiany był jako jakieś *infernium*, miejsce starcia Dobra z siłami ciemności. Zofia Kossak wymienia imiennie szatana; komunistka Wanda Jakubowska ukazuje w filmie „Ostatni etap” idylliczne braterstwo więźniarek rosyjskich i polskich. I choć były też bardziej wyważone próby malowania rzeczywistości obozowej (Seweryna Szmaglewska, Tadeusz Borowski) – w opinii powszechnej utrwalił się tamten obraz, wyidealizowany, czarno-biały, naiwny.

– Nie bez winy było muzeum oświęcimskie, ze swymi stosami okularów i protez. Pomijając, że najczcigodniejsze

relikwie nie stanowią jeszcze dowodu, ekspozycje takie oddają, moim zdaniem, złą usługę sprawie, której pragną służyć, kładąc nacisk na ilościową stronę sprawy. Tymczasem – ilość ilości nierówna; Oświęcim zaludniali – obok niewątpliwych bojowników i bohaterów – także ludzie zupełnie przypadkowi, skierowani tam za nielegalny handel, lub po prostu ofiary ulicznych łapanek. Sam słyszałem zapewnienia, iż padli ofiarą pomyłki, iż „nic nie zrobili” (na co pewien mój kolega, Jan Sobczyk, sportretowany przeze mnie w noweli „Wigilia kata”, odpowiedział raz z przekąsem: „Przynajmniej się tym nie chwal”). – O tym wszystkim skrzętnie milczano.

– Idealizacji Oświęcimia towarzyszył paradoksalnie zanik realiów. Gdy odwiedziłem Brzezinkę w r. 1948, nie mogłem niemal poznać miejsca: zniknęły wszystkie bloki! Zamiast nich – sterczał las kominów. Co się stało? – To, że zaraz po wyjściu ostatniego więźnia pojawili się jacyś ludzie, którzy – rozszabrowawszy co tylko zostało z dobytku – dobrali się do baraków i, kawałek po kawałku, rozebrali je na budulec, czy opał. Świadectwo smutne, gorszące: największy dowód istnienia obozu, znacznie bardziej przekonujący niż wszystkie okulary – uległ właściwie dematerializacji.

– Jak powiedziano, Oświęcim był długo przedmiotem propagandy; ostatnio stał się ponadto przedmiotem roszczeń i prób zawłaszczenia: że tylko jedna grupa ludzka ma prawo czuć się tam „u siebie” i umieszczać swoje symbole, obecność zaś innych obraża jej narodowe czy wyznaniowe uczucia.

Jerzy STADNICKI

Post scriptum

To, co pragnąłem powiedzieć na temat Oświęcimia, powiedziałem. By jednak nie być posądzonym o chęć pomniejszania zbrodni hitlerowskich, dodaję:

Przebywałem jeszcze w trzech innych obozach koncentracyjnych: Gross-Rosen (20 I – 11 II 1945), Flossenbürg (13 II – ok. 1 III 1945) i Tutting – opisany przeze mnie w

noweli „Było wczoraj” (ok. 5 III – 5 V 1945). Każdy z tych obozów był gorszy od poprzedniego, najgorsze zaś – transporty. Zaznałem i głodu, i bicia, i pracy niemal nad siły. Wyszedłem jako tzw. w gwarze obozowej „muzułmanin”, czyli osobnik kwalifikujący się już do gazu. Nie ja jeden: stan liczebny mikro-obozu Tutting stopniał w ciągu tych dwóch miesięcy z ok. czterystu na ok. trzysta, czyli o jedną czwartą.

Warszawa 1998-1999

J.S.

Przemysław WAINGERTNER

DEKOMPOZYCJA ŚRODOWISKA „NAPRAWY” (1935-1937)

Dnia 12 maja 1935 r. zmarł Józef Piłsudski. Po jego śmierci w obozie pomajowym stosunkowo szybko zaznaczyły się tendencje odśrodkowe. Linie dekompozycji w środowisku piłsudczykowskim przebiegały przy tym nie tylko pomiędzy wcześniej wykształconymi ośrodkami, jak np. tzw. grupa pułkowników, „naprawiacze”, konserwatyści. Pojawiły się również wewnątrz zasadniczo jednolitych i skonsolidowanych, jak się do tej pory zdawało, ugrupowań. Sytuacja taka miała miejsce m.in. w środowisku „Naprawy”. Zawdzięczało ono swój początek i potoczną nazwę Związkowi Naprawy Rzeczypospolitej (ZNR), powstałemu w 1926 r. po przewrocie majowym. Inicjatorem utworzenia tej organizacji był Związek Patriotyczny, stanowiący tajną centralę ruchu zetowego w Polsce międzywojennej. ZNR (występujący od 1928 r. jako Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast) przewodził lewemu, liberalno-demokratycznemu skrzydłu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, skupiając pod swymi sztandarami radykalną inteligencję i zetowców, sprzyjających Józefowi Piłsudskiemu. „Naprawiacze” głosili program wzmocnienia prezydentury, walki z „sejmokracją”, oparcia państwa na silnych organizacjach zawodowo-gospodarczych w miejsce dotychczasowych partii politycznych, rozszerzenia ustawo-

dawstwa socjalnego, przekazania „klasie robotników-producentów” kontroli nad produkcją oraz działań interwencyonistycznych i etatystycznych w gospodarce¹.

Na tle stosunku do niedemokratycznej, „sławkowskiej” ordynacji wyborczej z 1935 r., kwestii taktyki na potrzeby przyszłych wyborów parlamentarnych, walki o władzę w obozie pomajowym po śmierci Marszałka, wreszcie ewolucji ideowej części piłsudczyków w kierunku narodowozachowawczym, wśród działaczy „Naprawy” zaczął się zaostrzać i pogłębiać podział na tzw. prawicę, skupiającą w istocie umiarkowaną większość środowiska (około 80%) i lewicę o syndykalistycznym, radykalnym społecznie obliczu ideowym. Do liderów prawego skrzydła należeli przede wszystkim: dawny prezes ZNR Zdzisław Lechnicki, wojewoda śląski Michał Grażyński, dziennikarz i senator Tadeusz Katelbach, teoretyk i ideolog środowiska Stanisław Antoni Groniowski, znawca problematyki narodowościowej w Drugiej Rzeczypospolitej Stanisław Józef Paprocki oraz publicysta Bolesław Srocki. Lewicy przewodzili: teoretyk polskiego syndykalizmu i bizantynista Kazimierz Zakrzewski oraz liderzy propiłsudczykowskiach związków zawodowych – Jerzy Szurig, Stefan Szwedowski, Gustaw Zieliński i Stefan Kapuściński. Ta swoista dwutorowość była obecna w ruchu „naprawiaczym” już od momentu powstania ZNR, stanowiąc refleks sporów pomiędzy działaczami Związku Patriotycznego. Jednak, pomimo wewnętrznych dyskusji, „Naprawa” do połowy lat trzydziestych występowała na zewnątrz w zasadzie solidarnie. Później zarysował się otwarty rozłam.

Śmierć Józefa Piłsudskiego została zgodnie przyjęta przez wszystkich „naprawiaczy” jako ogromna strata dla polskiego narodu i państwa. Na łamach *Przetomu*, centralnego organu środowiska, pojawiły się żałobne odezwy instytucji, organizacji i stowarzyszeń, pozostających pod wpływami „Naprawy”

1. Szerzej o Zecie i „Naprawie” zob.: L. Hass, Związek Patriotyczny 1918-1926. Z dziejów infrastruktury życia politycznego Drugiej Rzeczypospolitej, *Kwartalnik Historyczny*, 1978, nr 4; T. Katelbach, *Zet, Zeszyty Historyczne*, Paryż (dalej: ZH), 1968, z. 13; J. Rakowski, *Zetowcy i piłsudczycy*, Ibidem 1980-1981, z. 54-56; *Zet w walce o niepodległość i budowę państwa*, pod red. T. W. Nowackiego, Warszawa 1996.

lub z nią współpracujących, wśród nich m.in.: Związku Związków Zawodowych, Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej oraz Robotniczego Instytutu Oświaty i Kultury imienia Stefana Żeromskiego. Żalowi demonstrowanemu po śmierci Marszałka towarzyszyły zgodne oznaki przychylności wobec faktu pojawienia się w ścisłej elicie polityczno-wojskowej obozu rządzącego generała Edwarda Śmigłego-Rydza. Publicysta „Przełomu” stwierdzał: „W dobie dzisiejszej Polska z pewnym niepokojem musi spoglądać na konieczny i naturalny okres zapełniania się pustki wytworzonej przez usunięcie się wielkiego (...) autorytetu Marszałka. Toteż z radością powitaliśmy fakt oddania (...) stanowiska Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w ręce dawnego towarzysza broni Marszałka”².

W następnych miesiącach uwagę „naprawiaczy” skupiła przede wszystkim nowa ordynacja wyborcza. W toku dyskusji nad nią wykształciły się w środowisku dwie przeciwstawne opinie. „Prawica” podkreślała, iż ordynacja może przyczynić się do „odpartyjniienia” państwa i odsunięcia opozycji od jakiegokolwiek wpływu na rządy poprzez usunięcie jej reprezentantów z obu izb ustawodawczych. Miało to umożliwić obozowi pomajowemu szybkie i skuteczne wprowadzenie w życie idei konstytucji kwietniowej i dokończenie ustrojowej reformy państwa. Równocześnie działacze prawego skrzydła „Naprawy” postulowali, aby nowe, niedemokratyczne prawo wyborcze miało jedynie charakter tymczasowy, odpowiadający trudnemu, przejściowemu okresowi przebudowy ustroju. W przyszłości demokratyzacja ordynacji miałaby determinować proces stopniowego uspołeczniania państwa³.

W odróżnieniu od postawy „prawicy” przedstawiciele syndykalistycznego skrzydła środowiska pryncypialnie negowali zasady nowej ordynacji. Już w marcu 1935 r. w kręgach przywódczych Związku Związków Zawodowych, został opra-

2. W godzinie próby dziejowej, *Przełom* 15 V 1935, nr 3, s. 3.

3. Wasz., Jeszcze o ordynacji wyborczej, *Naród i Państwo* 1-15 VI 1935, nr 4-5, s. 4-6; T. Katelbach, Spowiedź pokolenia, Lippstadt 1948, s. 213; J. Faryś, Piłsudski i piłsudczycy. Z dziejów koncepcji polityczno-ustrojowej (1918-1939), Szczecin 1991, s. 122-123.

cowany memoriał skierowany przeciwko – wówczas jeszcze projektowi – nowego prawa wyborczego. Przesłano go wraz z listem Jędrzeja Moraczewskiego, prezesa ZZZ, na ręce prezydenta Ignacego Mościckiego. Autorzy dokumentu podkreślali, że nowa ordynacja uniemożliwi środowiskom robotniczym uzyskanie reprezentacji parlamentarnej adekwatnej do ich liczebności. Zarówno Moraczewski, jak i Jerzy Szurig – będący niewątpliwie postacią numer dwa w związku, silnie oddziałujący na prezesa, a niekiedy inspirujący jego poczynania – opowiadali się za bojkotem wyborów, które miałyby odbywać się według nowego prawa wyborczego. Inni „naprawiacze” skupieni w „Trzech Zetach” popierali to stanowisko. Jednak ostatecznie dnia 21 lipca 1935 r. Rada Naczelna ZZZ zajęła stanowisko bardziej umiarkowane. Uchwalono wziąć udział w wyborach przez delegowanie przedstawicieli związku do zgromadzeń okręgowych, ustalających listy kandydatów do parlamentu. Przychylnono się zarazem do oświadczenia Jędrzeja Moraczewskiego o konieczności uzyskania aprobaty prezydium Centralnego Wydziału ZZZ przez tych, którzy chcieliby kandydować jako przedstawiciele „Trzech Zetów”⁴. W proponowanych poprawkach do ordynacji wyborczej próbowano wpłynąć na zwiększenie liczby delegatów związków zawodowych w okręgowych zgromadzeniach wyborczych. Równocześnie stałym hasłem ZZZ stało się od-tąd przywrócenie demokratycznej ordynacji i przeprowadzenie na jej podstawie nowych wyborów parlamentarnych⁵.

Spór wokół prawa wyborczego, który zantagonizował środowisko „naprawiacze” w połowie 1935 r. dobrze ilustrował narastający w nim podział ideowy. W tym okresie przybrał on takie rozmiary, że uniemożliwił wspólne redagowanie przez przedstawicieli tzw. prawicy i lewicy pisma *Przełom*. Zakończyło ono swój żywot w końcu lata 1935 r., natomiast w roku następnym „prawica” zaczęła wydawać własny tygodnik *Naród i Państwo*. Nowy tytuł był efektem współpracy

4. Stanowisko ZZZ w sprawie prawa wyborczego klasy pracującej, *Front Robotniczy* 23 VI 1935, nr 25, s. 1-2; S. Ajzner, *Związek Związków Zawodowych 1931-1939*, Warszawa 1979, s. 236-239.

5. Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN) Zespół Związku Związków Zawodowych (dalej: ZZZ), sygn. 319/1-2, k. 16.

„naprawiaczy” i środowiska dawnego *Zarzewia*. Pomysł jego wydawania miał się zrodzić wśród „zarzewiaków”, którzy jednak nie dysponowali funduszami wystarczającymi na jego realizację. Ostatecznie środki finansowe zapewnił Bolesław Srocki, który został także redaktorem pisma⁶.

W okresie kampanii wyborczej do sejmu IV kadencji „Naprawa” wykazała się dużą aktywnością wbrew zaleceniom Walerego Sławka, skierowanym pod adresem organizacji i środowisk skupionych w BBWR. Władysław Pobóg-Malinowski wspominał o tym w sposób następujący: „Sławek polecił Blokowi wstrzemięźliwość na okres wyborów: ‘Przyszły Sejm – mówił – powinien być prawdziwym odzwierciedleniem nastrojów społeczeństwa. A więc – nie robić żadnej akcji, wyznaczyć kandydatów, ale nie wpływać na wybory!’ (...). Wezwania tego nie usłucha lewe skrzydło Bloku, związane z ‘Naprawą’. Rozwinęło ono energiczną akcję i zdołało zdobyć sporo mandatów”⁷. Istotnie w wyniku zbojkotowanych przez opozycję wyborów, przeprowadzonych w dniach 8 i 15 września 1935 r. w nowym parlamencie znalazła się grupa „naprawiaczy”, ale reprezentujących przede wszystkim prawe skrzydło środowiska. Kandydaci lewicy w większości odpadli, celowo rozmieszczeni przez kierowników BBWR na dalszych miejscach list wyborczych. Ostatecznie spośród działaczy „Naprawy” mandaty poselskie zdobyli m.in.: Józef Głowacki, Wincenty Gortat, Alfons Jozanis, Klemens Kaczorowski, Władysław Kamiński, Ignacy Nowak, Stanisław Olewiński, Wojciech Sosiński, Leon Surzyński i Tadeusz Szetela. W Senacie zasiedli np.: Zygmunt Beczkowicz, Witold Jeszke, Felicjan Lechnicki, Władysław Malski, Piotr Olewiński, Alojzy Pawelec i Joachim Wołoszynowski. W zespole tym przeważali przedstawiciele inteligencji – dziennikarze, nauczyciele, lekarze, prawnicy oraz właściciele średnich majątków ziemskich, działający zarazem w społeczno-gospodarczych organizacjach rolniczych⁸.

6. J. Babiński, *Geografia polityczna w Polsce A.D. 1937*, Warszawa 1937, s. 7.

7. W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. 2, cz. 2, Gdańsk 1990, s. 778.

8. AAN, *Zespół Obozu Zjednoczenia Narodowego*, sygn. 36, k. 23-26; *Ibidem*, sygn. 53, k. 9, 11; *Sprawozdania stenograficzne z posiedzeń*

W latach 1935-1936 „Naprawa”, a przede wszystkim jej umiarkowana większość, upatrywała w postępującej dekompozycji obozu pomajowego i dezorientacji części jego przywódców szansy na odegranie istotnej roli politycznej. Działacze „prawicy” ponowili próbę stworzenia centralnego ośrodka mogącego zorganizować rozproszony ruch piłsudczykowski, podjętą wcześniej w latach 1926-1927 i przekreśloną powstaniem BBWR. Tym razem „naprawiaczom” zdawały się sprzyjać procesy zachodzące wewnątrz rządzącego obozu. Po rozwiązaniu przez Walerego Sławka Bezpartyjnego Bloku nie istniał już żaden inny ośrodek, który byłby w stanie zagrozić integracyjnym ambicjom działaczy „Naprawy”. Pojawiła się przed nim okazja, aby przyciągnąć piłsudczyków bliskich ideowo, niezdecydowanych, a nawet niekoniecznie podzielających „naprawiacką” platformę programową, ale równocześnie obawiających się utraty pozycji i wpływów.

W nowych warunkach, przy sprzyjającej koniunkturze politycznej reprezentacji prawego skrzydła „Naprawy” zaczęli poszukiwać przede wszystkim takiej formuły struktury organizacyjnej, która mogłaby spełnić funkcje klasycznej partii, nie będąc nią oficjalnie – wobec niechęci piłsudczyków do tego typu instytucji politycznych. W nowym parlamencie posłowie i senatorowie środowiska wyodrębnili się w klub. Początkowo składał się on z dwóch oddzielnych zespołów: Parlamentarnej Grupy Wiejskich Działaczy Społecznych oraz Parlamentarnej Grupy Miejskich Działaczy Społecznych. Dnia 28 marca 1936 r. utworzyły one wspólnie Parlamentarny Związek Grup Działaczy Społecznych. Miał on stać się zarodkiem nowego stronnictwa – Związku Działaczy Społecznych (ZDS)⁹.

Dnia 14 czerwca 1936 r. odbyła się w Warszawie narada „prawicowego” aktywu „Naprawy”. Dokonano podczas niej wyboru Centralnej Rady Działaczy Społecznych oraz

Senatu Rzeczypospolitej Polskiej IV kadencji, pos. 1.; Zet w walce ..., s. 208-209; I. Ihnatowicz, *Vademecum do badań nad historią XIX i XX wieku*, t. 2, Warszawa 1971, s. 126-132.

9. Na drogach ideowego organizowania narodu, *Naród i Państwo* 14 VI 1936, nr 19, s. 2; J. Borkowski, *Zetowcy w przewrocie majowym*, Pokolenia 1980, nr 2, s. 130-131.

Centralnego Komitetu Wykonawczego, w skład którego weszli czołowi „naprawiacze”, m.in.: Władysław Kamiński, Kazimierz Kierkowski, Władysław Malski, Piotr Olewiński i Leon Surzyński. Szefem organizacji został P. Olewiński¹⁰. Nastąpiła rozbudowa struktur ZDS w terenie. Jeszcze jesienią 1936 r. objęły one obszar województw: warszawskiego, łódzkiego, pomorskiego i poznańskiego oraz Dąbrowę Górniczą¹¹.

Przedstawiciele Związku Działaczy Społecznych byli również aktywni na forum parlamentu. Do najbardziej pracowitych parlamentarzystów ugrupowania należeli senatorowie: W. Malski, W. Jeszke, J. Wołoszynowski i F. Lechnicki. Podczas swych wystąpień w izbie wyższej akcentowali oni m.in. potrzebę realizacji socjalnych postulatów robotników i chłopów; krytykowali obóz narodowy za prowadzenie nacjonalistycznej, antymniejszościowej propagandy i przeciwdziałanie tym samym zjednoczeniu społeczeństwa wokół rządu; wreszcie negowali zasadność istnienia obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej¹².

W latach 1935-1936 uwaga „naprawiaczy” była skupiona na procesie dekompozycji rodzimego obozu politycznego, a zarazem ostrej walce o hegemonię w środowisku piłsudcykowskim i o władzę w państwie. Jednakże tzw. prawica i lewica ruchu „naprawiackiego” wyciągnęły z analizy zachodzących wydarzeń odmienne wnioski i zajęły w końcu przeciwstawne pozycje.

Bezpośrednio po śmierci Józefa Piłsudskiego prawe skrzydło środowiska sformułowało tezę, iż na straży jego spuścizny ideowej powinna stanąć armia i „zorganizowany front społeczny”. W wojsku „prawica” upatrywała nie tylko czynnik czysto militarny, ale także wychowawczy, społeczny i gospodarczy. Tę postawę interpretowano w sferach politycznych jako pośredni dowód poparcia dla nowego Generalnego

10. Ibidem, s. 131; Narada Działaczy Społecznych w Warszawie, *Naród i Państwo* 21 VI 1936, nr 20, s. 2.

11. Narada Działaczy Społecznych województwa warszawskiego, Ibidem, 12 VII 1936, nr 23, s. 6; Narada Działaczy Społecznych m. st. Łodzi, Ibidem, 2 VIII 1936, nr 26, s. 6; Zjazd Działaczy Społecznych Zagłębia Dąbrowskiego, Ibidem 13 IX 1936, nr 32, s. 5; Zjazd Działaczy Społecznych Ziem Zachodnich, Ibidem, s. 4-5.

12. Sprawozdania stenograficzne ..., pos. 3, 8, 9, 13, 14, 16, 18, 21.

Inspektora Sił Zbrojnych – Edwarda Śmigłego-Rydza. Pod pojęciem zorganizowanego frontu społecznego działacze prawego skrzydła „Naprawy” rozumieli natomiast „kadry (...) społeczeństwa (...), dobrowolny ruch zrzeszeniowo-zawodowy, gospodarczy, kulturalno-oświatowy (...), ośrodek konsolidacji elementów ideowych i przodowniczych w państwie”¹³.

„Prawica” środowiska „naprawiackiego” krytycznie oceniła nowy sejm, wskazując, iż o ile prace obydwu izb ustawodawczych ułatwiała ich zasadnicza jednolitość polityczna, o tyle brak strukturalnego zorganizowania i konkretnego programu, występujący wśród parlamentarzystów, utrudniał wytyczenie długofalowych celów działalności¹⁴. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ocena ta była próbą pośredniego zdyskredytowania Walerego Sławka i całej grupy „pułkowników”. „Naprawiacze” obciążyli ich winą za niedopuszczenie do rzetelnej dyskusji programowej w ramach BBWR, zaprzepaszczenie szansy na zjednoczenie piłsudczyków wokół czytelnich haseł ideowych, a w końcu doprowadzenie do chaosu organizacyjnego po likwidacji Bezpartyjnego Bloku.

W świetle powyższych opinii nie może dziwić fakt, iż stopniowy upadek „pułkowników” i utrata przez nich pozycji kierowniczego ośrodka obozu pomajowego spotkały się z przychylnym nastawieniem całej „Naprawy”. Jej prawe skrzydło bardzo dobrze przyjęło również nowy rząd Mariana Zyndram-Kościałkowskiego, powołany w dniu 13 października 1935 r. – zarówno ze względu na osobę premiera, byłego przywódcy Zjednoczenia Pracy Wsi i Miast, jak i widząc w nim przykład konstruktywnej współpracy, prezydenta Ignacego Mościckiego i generała Edwarda Śmigłego-Rydza. Z drugiej strony przedstawiciele „prawicy” ruchu „naprawiackiego” spodziewali się że do nowego gabinetu wejdzie Michał Grażyński, pozostający z Kościałkowskim w dobrych stosunkach. Proponowano mu zresztą tekę ministra, ale odmówił tłumacząc, iż bardziej satysfakcjonujące będzie dlań dalsze sprawowanie funkcji wojewody śląskiego. Kandydatura Grażyńskiego wpłynęła ponownie po ustąpieniu w dniu 15 maja

13. J. Rybczyński, Wielkie zadanie, wielka odpowiedzialność, *Przełom* 1-15 VI 1935, nr 4-5, s. 3.

14. Pokłosie sejmowe, *Naród i Państwo* 5 IV 1936, nr 9, s. 1-2.

1936 r. rządu M. Zyndrama-Kościółkowskiego – tym razem w odniesieniu do obsady stanowiska samego prezesa rady ministrów. Jednakże ostatecznie nowym premierem został generał Felicjan Sławoj-Składkowski, uchodzący za „człowieka Smigłego”, a prawe skrzydło „Naprawy” odniosło się przychylnie do jego gabinetu. Postawa taka była z pewnością spowodowana udziałem w rządzie zwolenników pojednawczych kroków wobec opozycji (które postulowali „naprawiacze”), jak np. Eugeniusz Kwiatkowski oraz powierzeniem tek byłym zetowcom – Juliuszowi Ulrychowi i Emilowi Kalińskiemu. W publicznych wystąpieniach działacze „prawicy” dobrze oceniali również samego premiera, widząc w nim „człowieka energicznego”. Największym atutem gabinetu miało być jednak jego „oparcie o najbardziej realną siłę zbiorową Polski dzisiejszej – o wojsko reprezentowane przez Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych”¹⁵.

Od początku 1936 r. prawe skrzydło „Naprawy”, skupione wokół pisma *Naród i Państwo*, domagało się od przywódców obozu pomajowego podjęcia działań, mających na celu stworzenie nowej organizacji politycznej piłsudczyków. Działacze „prawicy” liczyli, iż odegrają na tym polu istotną rolę, jako zorganizowany i zdyscyplinowany ośrodek myśli programowej. Według nich w ramach takiego ugrupowania miało znaleźć się miejsce dla wszystkich uznających następujące zasady: nadrzędności interesu narodu i państwa nad partykularyzmem grup i jednostek, prymatu sił zbrojnych i zagadnienia obronności kraju nad innymi sprawami publicznymi, sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i dążenia do przebudowy ustroju w kierunku uczynienia z pracy czynnika decydującego o podziale tego dochodu, wreszcie uznania konstytucji kwietniowej za legalną i obowiązującą. Organizatorzy nowego piłsudczyckiego stronnictwa powinni także wziąć pod uwagę już istniejące struktury i kierunki ideowe. Ta ostatnia sugestia była w równym stopniu

15. Por.: J. W-ski, Nasze podstawowe niedomagania, Ibidem, 12 IV 1936, nr 10, s. 2-3; Po zmianie rządu, Ibidem, 24 V 1936, nr 16, s. 1; T. Katelbach, Spowiedź pokolenia ..., s. 240-241; H. Rechowicz, Wojewoda śląski dr Michał Grażyński, Warszawa 1988, s. 149; J. Faryś, op. cit., s. 188.

skutkiem „naprawiackiej” koncepcji oparcia wpływów obozu rządzącego na „zorganizowanym” społeczeństwie, jak i politycznej kalkulacji, opartej na występowaniu wpływów „Naprawy” w szeregu ugrupowań, związków i stowarzyszeń.

Reprezentanci Związku Działaczy Społecznych widzieli w konsolidacji społeczeństwa pod egidą zorganizowanego i atrakcyjnego programowo obozu pomajowego jedyną drogę legitymizacji dalszych rządów piłsudczyków i zapewnienia bezpieczeństwa państwa w obliczu wzrostu potęgi Związku Sowieckiego i Trzeciej Rzeszy. Początkowo jednak wahali się, czy postawić w tej rozgrywce na Ignacego Mościckiego, czy też na Edwarda Śmigłego-Rydza. Istniała również koncepcja podjęcia przez „naprawiaczy” samodzielnych poczynań, którą propagował m.in. Tadeusz Katelbach. Ostatecznie zdecydowano się poprzeć Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Był on ukazywany w wystąpieniach Działaczy Społecznych, jako przywódca przyszłej, masowej organizacji zbudowanej wokół ideologii państwowej. To propagowanie osoby Edwarda Śmigłego-Rydza, jako nowego lidera środowisk piłsudczykowskich, wynikało, jak się zdaje z kilku przesłanek. Po pierwsze, przedstawiciele ZDS sądzili niebezpiecznie, iż we współczesnej im Polsce faktycznie pierwszoplanową rolę odgrywają nie tylko i nie tyle programy i ideologie, ile wybitne osobowości, autorytety moralne, charyzmatyczni przywódcy. Piękna karta E. Śmigłego-Rydza z okresu Wielkiej Wojny, a następnie wojny polsko-sowieckiej; udział w ludowym rządzie Ignacego Daszyńskiego; postawa wiernego piłsudczyka w dniach przewrotu majowego; nieobecność na scenie politycznej w latach rządu obozu pomajowego, kiedy wyblakło wielu piłsudczykowskich autorytetów; wreszcie opinia „liberalnego” i otwartego na porozumienie z opozycją – wszystko to przemawiało w oczach „naprawiaczy” z ZDS na korzyść Generalnego Inspektora. Należy również podkreślić, że to właśnie Edward Śmigły-Rydz w przemówieniu na Zjeździe Legionowym w dniu 24 maja 1936 r. wysunął hasło konsolidacji, interpretowane przez Działaczy Społecznych jako zachęta do budowy nowego, „wszechpiłsudczykowskiego” obozu.

Popierając plany i działania ambitnego generała, „prawi-

ca” ruchu „naprawiaczkiego” odchodziła faktycznie od wyznaczonej dotąd zasady wiernego przestrzegania przepisów nowej konstytucji. Jaskrawym przykładem tej postawy była pełna aprobatą przedstawicieli ZDS dla okólnika premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego z dnia 15 lipca 1936 r., wynoszącego Generalnego Inspektora – wbrew zapisom konstytucji kwietniowej – na pozycję drugiej osoby w państwie po prezydencie Rzeczypospolitej. Z drugiej strony trzeba przyznać, że propaganda środowiska na rzecz Edwarda Śmigłego-Rydza była utrzymana w umiarkowanym tonie i unikano w niej bezpośrednich ataków na prezydenta i grupę „zamkową”¹⁶.

Odmienne rysowały się w latach 1935-1936 taktyka i cele „naprawiaczej” lewicy, utrwalającej swą pozycję w Związku Związków Zawodowych. Jej reprezentanci odnotowali z satysfakcją rozwiązanie BBWR, który oskarżyli o inercję, zachowawczość, brak programu społecznego i opieranie się na elementach oportunistycznych. Dobrze przyjęli również ustąpienie Walerego Sławka ze stanowiska premiera i utworzenie nowego rządu pod kierunkiem „liberała” Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego. Jednak stosunek syndykalistów do nowego prezesa rady ministrów szybko stał się krytyczny i niechętny. „Naprawiacza” lewica oskarżała go o zbyt zachowawczą politykę gospodarczą i unikanie śmiałych posunięć etatystycznych i interwencjonistycznych. Równocześnie środowisko to otwierało się na propozycje porozumienia z opozycyjną Polską Partią Socjalistyczną. Latem 1935 r. nastąpiło zawarcie swoistego „paktu o nieagresji” pomiędzy ZZZ i Komisją Centralną Związków Zawodowych, reprezentującą socjalistyczne organizacje zawodowe¹⁷.

W połowie lat trzydziestych „naprawiacze” skupieni w „Trzech Zetach” popierali udział związku w strajkach, wybuchających na tle złej sytuacji ekonomicznej robotników i podejmowanie w ich trakcie współpracy ze związkami socjalistycznymi. Komentując strajki i udział w nich ZZZ Jerzy

16. Zob. analiza stosunku „naprawiaczej” prawicy do E. Śmigłego-Rydza w: Ibidem, s. 190-194; T. Katelbach, Spowiedź pokolenia ..., s. 239.

17. AAN, ZZZ, sygn. 319/1-2, k. 13; S. Ajzner, op.cit., s. 249-252; J. Szuriga, Zbliża się 1-y Maja, *Front Robotniczy* 31 III 1935, nr 13, s. 3.

Szurig ostrzegał nawet, iż w wypadku braku ustępstw ze strony przemysłowców „pozostanie (...) decydujący argument: strajk powszechny. Tego środka walki nie wyrzekniemy się, gdyż jest jedynie skuteczny”¹⁸. Publicystyka „Trzech Zetów” bardzo ostro zareagowała na wydarzenia „krwawej wiosny” 1936 r., kiedy to masowe manifestacje robotników kończyły się starciami z policją i ofiarami śmiertelnymi. Kulminacją tych wydarzeń była demonstracja w Krakowie w dniu 23 marca, podczas której w wyniku walk z policją i wojskiem zginęło 10 osób. W odpowiedzi na pierwszej stronie *Frontu Robotniczego*, organu ZZZ redagowanego przez Jerzego Szuriga, została zamieszczona wielka klepsydra ze słowem „Kraków” oraz redakcyjny artykuł wstępny, zatytułowany „Krwawa niedziela w Petersburgu”. Autorzy porównywali w nim masakrę pod Pałacem Zimowym w styczniu 1905 r., będącą wstępem do rewolucji, z krwawo stłumioną manifestacją krakowską. Artykuł ten wywołał zresztą konfiskatę numeru¹⁹.

Dymisję rządu Mariana Zyndrama-Kościńskiego lewica „Naprawy” przyjęła jednak z pewnym niezadowoleniem. Jej reprezentanci wskazywali, że krytyka z ich strony dotyczyła zachowawczej polityki gospodarczej gabinetu nie zaś całokształtu jego poczynań. Nowy rząd Felicjana Sławoj-Składkowskiego został powitany przez syndykalistów z dużym dystansem²⁰.

Istotna różnica poglądów pomiędzy prawym i lewym skrzydłem ruchu „naprawiackiego” ujawniła się w stosunku do postaci Edwarda Śmigłego-Rydza. Środowisko syndykalistyczne bynajmniej nie kwestionując wojskowych talentów i kompetencji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, dość zdecydowanie wypowiadało się przeciwko jego ambicjom politycznym. Po wspomnianym już lipcowym okólniku premiera F. Sławoj-Składkowskiego na łamach *Frontu Robotniczego* znacząco podkreślano, iż nowa ustawa zasadnicza nie przewiduje ustanowionego przez premiera szczególnego statusu Generalnego Inspektora, a zatem nadany mu przywilej powinien być traktowany jako osobisty nie zaś konstytu-

18. Nie rozejdzie się po... komisjach, Ibidem, 20 X 1935, nr 42, s. 1.

19. Zob.: *Front Robotniczy* 29 III 1936, nr 17, s. 1.

20. S. Ajzner, op. cit., s. 277.

tucyjny²¹. Lewica „Naprawy” zareagowała również inaczej niż środowisko Działaczy Społecznych na wcześniejsze wystąpienie Edwarda Śmigłego-Rydza na majowym Zjeździe Legionistów w 1936 r. Zapowiedziane utworzenie nowej, piłsudczykowskiej organizacji potraktowano wśród syndykalistów jako próbę reaktywowania idei Bezpartyjnego Bloku. Kazimierz Zakrzewski stwierdził z dezaprobatą w czerwcu 1936 r., iż „życie ideowe obozu nigdy nie rozwijało się na płaszczyźnie BBWR; niosły je w sobie siły ideowe, istniejące poza tą płaszczyzną od samego początku dla nich wszystkich bez wyjątku... obcą”²².

Coraz wyraźniejsze różnice dzieliły programowe wizje Polski i priorytety ideowe, wypracowane przez Związek Działaczy Społecznych i „naprawiacką” lewicę. Zainteresowania przedstawicieli prawego skrzydła „Naprawy”, wobec przeprowadzonego konstytucyjnie wzmocnienia władzy wykonawczej, skupiły się na zagadnieniu mniejszości narodowych i reform gospodarczych o charakterze etatystycznym i interwencjonistycznym. Działacze Społeczni postulowali politykę asymilacji państwowej wobec mniejszości słowiańskich i twardą linię w stosunku do mniejszości niemieckiej, przywołując przykłady nielojalnej postawy jej przedstawicieli wobec państwa polskiego. Zmianie uległo stanowisko „prawicy” w stosunku do mniejszości żydowskiej. W miejsce dawnej idei „produktywizacji Żydów” pojawiła się koncepcja ich zorganizowanej emigracji z Polski. Jak się zdaje było to następstwem fiaszka planów przystosowania struktury społeczno-zawodowej ludności żydowskiej do standardów polskiego społeczeństwa i umożliwienia tą drogą jej integracji z otoczeniem. Nie bez znaczenia był tu również wzrost liczebności Żydów w granicach Rzeczypospolitej. Koncepcja ich emigracji wiązała się z propagandą Działaczy Społecznych na rzecz przyznania Polsce kolonii, które mogłyby stać się obszarem zorganizowanego żydowskiego osadnictwa. W dziedzinie gospodarczej prawe skrzydło „Naprawy” postulowało

21. Specjalna pozycja gen. Rydza-Śmigłego, *Front Robotniczy* 26 VII 1936, nr 38, s. 2.

22. Nostromo [K. Zakrzewski], *Drogi i bezdroża, Naród i Państwo* 14 VI 1936, nr 19, s. 9.

prorowadzenie przez rząd śmiałej polityki ożywiania koniunktury, tworzenia nowych warsztatów pracy i zdecydowanej walki z bezrobociem. Domagało się utrzymania wysokości płac w miastach i rozszerzenia możliwości kredytowania gospodarstw rolniczych²³.

Tymczasem „naprawiacka” lewica przedstawiała wizję państwa i społeczeństwa syndykalnego. Miały one być dziełem polskiego proletariatu, reprezentującego najlepsze cechy heroiczne i patriotyczne. Jerzy Szurig widział kolejne etapy budowy nowego ustroju społeczno-ekonomicznego m.in. w odrzuceniu zasad gospodarki kapitalistycznej, wprowadzeniu na szeroką skalę planowania w ekonomii, intensywnym uprzemysłowieniu kraju, skróceniu czasu pracy, likwidacji bezrobocia i rozwinięciu spółdzielczości. Efektem ustrojowej ewolucji miała być „Polska Pracy i Sprawiedliwości Społecznej”²⁴. Do walki o takie państwo – „mocarne (...), wyzwolone z jarzma kapitalizmu: obcego (...), a następnie rodzimego” – wzywali robotników w swych ówczesnych enuncjacjach przedstawiciele Związku Związków Zawodowych²⁵.

Latem 1935 r. na łamach *Frontu Robotniczego* ukazał się cykl artykułów, w których Kazimierz Zakrzewski uzasadniał potrzebę budowy nowego państwa i społeczeństwa ideowym testamentem Józefa Piłsudskiego. Dla lidera „naprawiackiej” lewicy Zmarły był przede wszystkim wodzem robotników walczących o cele narodowe i społeczne – przywódcą, który pozostawił im przesłanie bohaterstwa, wyrzeczenia się „moralności zysku”, wierności hasłu walki o zniesienie wyzysku pracujących i budowy nowej, sprawiedliwej Polski. Zadania te miała podjąć „jednolita, bezpartyjna,

23. Por.: F. Królikowski, Uгода czy właściwa polityka, Ibidem, 8 II 1936, nr 10, s. 5-6; K. Kierzkowski, Polityka ustępstw bez wzajemności, Ibidem, 12 IV 1936, nr 10, s. 5-6; O dom dla „wiecznego tułacza”, Ibidem, 23 VIII 1936, nr 29, s. 2; Budżet a sprawa żydowska, Ibidem, 24 I 1937, nr 4, s. 2; Gryf, Pilne zadania, Ibidem 15 III 1936, nr 6, s. 4; T. Lechnicki, Zadania główne, Ibidem 22 XI 1936, nr 42, s. 3-10; W. Kamiński, Państwo i interesy świata pracy, Ibidem 2 III 1936, nr 4, s. 6; J. Rybczyński, Drogi gospodarcze, Ibidem, s. 7-8.

24. J. Szurig, Błędne koła i nowe drogi, *Front Robotniczy* 12 I 1936, nr 1-2, s. 1-2.

25. AAN, ZZZ, sygn. 319/1-2, k. 10.

społeczno-gospodarczo-kulturalna organizacja wszystkich robotników-wytwórców”²⁶. Względnie zgodne były stanowiska obu skrzydeł „Naprawy” w kwestii sytuacji międzynarodowej i polskiej polityki zagranicznej. Zarówno Związek Działaczy Społecznych, jak i syndykaliści doceniali niebezpieczeństwo zagrażające Polsce ze strony Trzeciej Rzeszy, obserwując z niepokojem łamanie przez Niemcy ustaleń konferencji paryskiej z 1919 r. (np. remilitaryzację Nadrenii w 1936 r.). Z drugiej strony „naprawiacze” dostrzegali realne zagrożenia dla suwerenności Rzeczypospolitej, idące ze wschodu, wskazując na rozbudowę potęgi militarnej Związku Sowieckiego²⁷. Różnice w podejściu „prawicy” i syndykalistów do problematyki międzynarodowej odnosiły się przede wszystkim do oceny polskich aspiracji kolonialnych i wojny domowej w Hiszpanii. O ile Działacze Społeczni widzieli w kolonii przyszłe źródła surowców, obiecujące rynki zbytu, sposób na pogodzenie emigracji z dalszą pracą dla potrzeb ojczyzny i metodę rozwiązania „problemu żydowskiego”, o tyle „naprawiacka” lewica nie poświęcała im wiele uwagi i nie wiązała z nimi większych nadziei²⁸. Równocześnie publicystyka prawego skrzydła „Naprawy” starała się ocenić konflikt w Hiszpanii w sposób aideologiczny, opierając swe stanowisko jedynie na chłodnej kalkulacji. Pismo *Naród i Państwo* wskazywało zatem, iż negatywnym skutkiem zwycięstwa rządu republikańskiego może być ustanowienie wpływów Związku Sowieckiego i międzynarodowego ruchu komunistycznego w Hiszpanii. Z kolei sukces generała Francisco Franco miał spowodować otoczenie Francji, sojusznika Polski, przez państwa jej niechętne, poczuwające się do ideowej wspólnoty – Trzecią Rzeszę, Włochy Mussoliniego i frankistowską Hiszpanię. W odróżnieniu od środowiska Działaczy Społecznych, syndykaliści od pierwszych dni wojny domowej

26. K. Zakrzewski, Piłsudski a proletariat, *Front Robotniczy* 11 VIII 1935, nr 32, s. 1-2.

27. Polska w Europie, *Naród i Państwo* 2 VIII 1936, nr 26, s. 1-2; T. Wałek-Czernecki, „Świstek papieru”, *Ibidem*, 15 III 1936, nr 6, s. 1-2; L. Surzyński, O polskiej polityce zagranicznej, *Ibidem* 8 II 1936, nr 1, s. 5; S. Ajzner, op. cit., s. 293-300.

28. J. Stępowski, Brama nowego świata, *Naród i Państwo* 23 VIII 1936, nr 29, s. 7.

zdecydowanie bronili racji rządu republikańskiego. Nie kryli również swych sympatii ideowych dla centrali związkowej CNT (Confederación Nacional de Trabajo), reprezentującej w hiszpańskim ruchu zawodowym nurt anarchosyndykalistyczny. Choć Związek Związków Zawodowych, a z nim lewica „Naprawy”, nie podzielały anarchistycznych haseł CNT, zgadzały się z nim w kwestii niechęci do systemu demokracji parlamentarnej i tradycyjnych partii oraz poparcia dla zasady prymatu związków zawodowych nad organizacjami czysto politycznymi²⁹.

Próbą zażegnania rozłamu w ruchu zetowo-„naprawiaczym” a zarazem odnowienia związków, łączących go ze środowiskiem „zarzewiackim”, był zjazd Zetu, zwołany do Warszawy w dniach 28 i 29 listopada 1936 r. pod nazwą Zjazdu Uczestników Ruchu Niepodległościowego Związku Młodzieży Polskiej (Młodzieży Narodowej). Miał on również ukazać siłę i wpływy zetowców – „naprawiaczy”, przedstawiając ich jako porządných sprzymierzeńców w walce o władzę w obozie pomajowym, a zatem i w kraju. Akcentem dominującym podczas obrad była solidarność Zetu i „Zarzewia”. W imieniu „zarzewiaków” przemawiał podczas inauguracji zjazdu Bronisław Hełczyński. Podkreślił on zetowe korzenie ruchu „zarzewiackiego” oraz wierność Zetu własnym założeniom ideowym. Podobne akcenty wystąpiły również w „przemówieniu ówczesnego wicepremiera i eks-„zarzewiaka” Eugeniusza Kwiatkowskiego, reprezentującego zarazem obu protektorów zjazdu: prezydenta Ignacego Mościckiego i wówczas już marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Obok wicepremiera gośćmi obrad byli m.in.: komendant Związku Legionistów pułkownik Adam Koc, prezydent Warszawy Stefan Starzyński, a także liczni przedstawiciele organizacji współpracujących z Zetem i „Naprawą”.

Po okolicznościowych przemówieniach wystąpiło trzech referentów: Stanisław Bukowiecki, senior ruchu zetowego, wygłosił referat o początkach Zetu, Bogdan Nawroczyński omówił działalność wychowawczą organizacji, natomiast Bolesław Srocki – jej rolę historyczną. Następnie Stefan Szwedowski,

29. Na marginesie wydarzeń hiszpańskich, Ibidem, 30 VIII 1936, nr 30, s. 2; S. Ajzner, op.cit., s. 300-307.

sekretarz generalny komitetu organizacyjnego zjazdu, przedstawił w imieniu Komisji Ideowo-Programowej projekt deklaracji ideowej środowiska zetowo-„naprawiackiego”. Po dyskusji została ona uchwalona ogromną większością głosów, zarówno „prawicy”, jak i grupy syndykalistycznej. W początkowej części dokumentu zebrani stwierdzili, iż „najistotniejszą, najwyższą wiążącą ludzi grupą społeczną jest Naród”, jednak „Naród może rozwijać się w pełni tylko jako Państwo” – co można było odczytać jako próbę pogodzenia „narodowej”, jeszcze dziewiętnastowiecznej tradycji Zetu z jego propiśsudczykowską postawą w okresie Wielkiej Wojny i Drugiej Niepodległości. W sferze społeczno-ekonomicznej środowisko zetowo-„naprawiackie” opowiadało się za „bezklasowym, zorganizowanym społeczeństwem pracy”, deklarując gotowość „walki o interesy mas pracujących” i ustrój, w którym praca byłaby miernikiem udziału jednostki w dochodzie społecznym”. Ponadto deklaracja postulowała uspołecznienie bogactw naturalnych i środków masowej produkcji. W dziedzinie politycznej podkreślała: „Państwo polskie swój ustrój (...) oprzeć powinno na organizacjach, grupujących obywateli na podstawie ich działalności społecznej i zawodowej. Sejm winien sprawować władzę ustawodawczą i budżetową oraz kontrolę nad działalnością rządu. Najwyższa władza rządząca należeć powinna do Naczelnika Państwa, który powinien być zarazem nadrzędnym czynnikiem, harmonizującym działalność naczelnich organów państwowych”. Ponadto „naprawiacze” podnosili hasło tolerancji religijnej i narodowościowej oraz polityki asymilacji państwowej wobec mniejszości narodowych. Wyjątek miała stanowić ludność żydowska, w stosunku do której wysuwano projekt zorganizowanej emigracji. Zebrani akcentowali konieczność czujności wobec zewnętrznych zagrożeń i potrzebę utrzymania bliskich kontaktów pomiędzy krajem i Polonią zagraniczną³⁰.

30. O zjeździe zob.: A. Polonsky, *Politics in Independent Poland 1921-1939, The Crisis of Constitutional Government*, Oxford 1972, s. 422-423; J. Rakowski, *op.cit.*, ZH 1981, s. 56, s. 44-46; Zet w walce..., s. 215-228; T. Piskorski, W pięćdziesiątą rocznicę powstania Zetu. Sprawozdanie ze Zjazdu Uczestników Ruchu Niepodległościowego Młodzieży Polskiej („Młodzieży Narodowej”), Warszawa 1937, *passim*; I. Nowak, W 75 rocznicę powstania Zetu 1886-1961, Biblioteka Narodowa, rękopisy, sygn. akc. 13 518 131A, s. 18-19.

Pomimo przyjęcia wspólnej deklaracji zjazd nie zlikwidował pogłębiającego się podziału środowiska. Osiągnięto wprawdzie pewne porozumienie, którego wynikiem była cytowana deklaracja, ale nastąpiło ono jedynie na bardzo ogólnej, teoretycznej i ideowej płaszczyźnie. Przedstawiciele prawego skrzydła „Naprawy” i grupy syndykalistycznej nie uzgodnili wspólnego stanowiska w konkretnych kwestiach programowych, a przede wszystkim w sprawie taktyki wobec bieżących wydarzeń politycznych w kraju. Natomiast skutkiem zjazdu korzystnym dla całego środowiska było uświadomienie opinii publicznej i elitom politycznym istotnej roli, odgrywanej przez zetowców – „naprawiaczy” w życiu politycznym i społecznym ówczesnej Polski. Sporo miejsca informacjom o zjeździe poświęciła na swych łamach zarówno prasa prorządowa, jak i opozycyjna³¹.

Rozbieżności w zakresie programu i taktyki działania, a często także nieporozumienia personalne, narastające w latach 1935-1936 pomiędzy „prawicą” i skrzydłem syndykalistycznym „Naprawy” doprowadziły do sytuacji, w której każda dyskusja wokół bardziej istotnej kwestii politycznej groziła zerwaniem ostatnich, wątych więzów, łączących obie frakcje. Do ich oficjalnego rozejścia się doszło na tle sporu wywołanego koniecznością samookreślenia wobec powstałego w lutym 1937 r. Obozu Zjednoczenia Narodowego – nowej, „wszechpiłsudczykowskiej” organizacji politycznej, tworzonej pod protektorem Edwarda Śmigłego-Rydza. Okoliczności ostatecznego rozłamu w „Naprawie” były dramatyczne i nadawały mu wymiar symboliczny. Tego samego dnia – 7 marca 1937 r. rozpoczęły się obrady III Kongresu Związków Zawodowych i Centralnej Rady Działaczy Społecznych. Kongres niemal jednogłośnie odrzucił wniosek o wejście w skład OZN, gdy tymczasem Centralna Rada podjęła dużą większością głosów decyzję o przystąpieniu do nowej organizacji³². W istocie

31. Uroczystość 50-lecia „Zetu”, *Gazeta Polska* 29 XI 1936, nr 333, s. 4; Oświadczenie w sprawie pięćdziesięciolecia „Zetu”, *Warszawski Dziennik Narodowy* 27 XI 1936, nr 326, s. 3.

32. Na marginesie uchwał, *Naród i Państwo* 14 III 1937, nr 11, s. 1-2; Deklaracja Centralnej Rady Działaczy Społecznych, *Ibidem*, s. 2; S. Ajzner, op.cit., s. 312-326.

zarówno lewica, jak i tzw. prawica „Naprawy”, zajęły w stosunku do OZN stanowisko krytyczne, zarzucając mu zachowawczość i propagowanie nacjonalizmu. Jednak o ile syndykaliści wybrali pryncypialną negację i przejście do opozycji, o tyle Działacze Społeczni postanowili włączyć się w prace Obozu i oddziaływać w kierunku zmiany jego oblicza politycznego i otwarcia na współpracę z opozycją. Przejście przez nich części kierowniczych stanowisk w OZN na przełomie 1938 i 1939 r. zdawało się świadczyć o trafności tej taktyki i dobrze rokować planom „prawicy”.

Lata 1935-1937 były okresem postępującej dekompozycji ruchu zetowo-„naprawiackiego”. Obecność dwóch grup: demokratyczno-liberalnej (zarazem bardziej pragmatycznej) i syndykalistycznej, które zdawały się uzupełniać i stanowić o bogactwie myśli ideowej „Naprawy” po przewrocie majowym, doprowadziła po śmierci Józefa Piłsudskiego – gdy zabrakło jego rozstrzygającego autorytetu – do rozpadu środowiska. Większość „naprawiaczy” poparła OZN, natomiast syndykaliści faktycznie zbliżyli się do opozycji, krytykując coraz częściej już nie tylko wodzowskie ambicje Rydza-Śmigłego, ile rządy obozu pomajowego.

Przemysław WAINGERTNER

Marian SWORZEŃ

SĘDZIOWIE W PODBITYM KRAJU

OFICJALNE SĄDOWNICTWO POLSKIE W GENERALNYM GUBERNATORSTWIE 1939-1945

Potoczny obraz okupowanej Polski nie obejmuje wszystkich polskich instytucji publicznych. Jest jeden wyjątek, dotyczący mianowicie tzw. policji granatowej. Postać granatowego policjanta utrwaliła się w wielu kliszach – od filmu „Zakazane piosenki” po współczesne filmy o czasach okupacyjnych, od literatury prawniczej po wspomnienia. Niektóre powieści i filmy związane z Holocaustem również eksploatują wątek tej policji, w dowolny sposób rozstrzygając o jej podległości wobec Niemców.

Rozważania swe ograniczam jedynie do GG. Bliższe zapoznanie się z historią okupowanego kraju pokazuje wielość funkcjonujących polskich podmiotów publicznych.

Pragnę zająć się jedynie prezentacją funkcjonowania oficjalnego sądownictwa polskiego na terenie GG. Podkreślam słowo „oficjalnego”, bowiem tematyka sądownictwa podziemnego została już wielokrotnie i kompetentnie opisana. Nie będę też omawiać historii adwokatury, posiadającej swoje bogate piśmiennictwo. Mam świadomość podjęcia tematu pionierskiego, o którym nikt obszernie nie pisał. Oparłem się o źródła historyczne, teksty prawne i liczne rozmowy

z ówczesnymi prawnikami, zapisane przed 10 laty – większość z moich rozmówców obecnie już nie żyje.

Do września 1939 roku sądownictwo powszechne miało organizację trzystopniową, składającą się z 7 sądów apelacyjnych, 45 sądów okręgowych i 550 sądów grodzkich. Siedzibami sądów apelacyjnych były miasta: m.st. Warszawa, Wilno, Lwów, Poznań, Lublin, Kraków i Katowice. Funkcjonowały nadto: Sąd Najwyższy, Najwyższy Trybunał Administracyjny, Inwalidzki Sąd Administracyjny oraz sądownictwo pracy, realizowane przez sądy samoistne bądź działające przy niektórych sądach grodzkich. Kadra sędziów obejmowała ok. 3200 sędziów i ok. 500 asesorów. Odmienne niż dzisiaj było usytuowanie prokuratury, działającej niejako wewnątrz aparatu sądowego na poziomie Sądu Najwyższego oraz wszystkich sądów apelacyjnych i okręgowych. Środowisko sądowe było więc nieliczne, jego elitarność była oczywista.

Nieocenionym dokumentem ułatwiającym analizę organizacji terytorialnej w połączeniu z obsadą personalną jest „Kalendarz. Informator sądowy 1939”, odnotowujący imiona i nazwiska sędziów i prokuratorów, a w tym: personalia prezesów sądów apelacyjnych i okręgowych oraz kierowników sądów grodzkich, pełne składy sędziów danego sądu, obsadę personalną Ministerstwa Sprawiedliwości i jego agend, składy poszczególnych izb SN i NTA, sędziów śledczych. Szkoda, że reformujące się polskie sądownictwo zaprzepaściło do tej pory szansę zdecydowanego powrotu do przedwojennego nazewnictwa, które miałoby znaczenie i praktyczne, i symboliczne zarazem. Szkoda, że prawodawcy o tym zapomnieli, aczkolwiek umowa koalicyjna AWS-UW zapowiada pozytywne rozstrzygnięcie tej kwestii.

Kończy się kampania wrześniowa. Polska zostaje podzielona zgodnie z paktem Mołotow-Ribbentrop. Na części ziem polskich, przypadłych Niemcom powstaje Generalne Gubernatorstwo, popularnie zwane Generalną Gubernią (GG). Urzędowym organem promulgacyjnym został „Dziennik Rozporządzeń Generalnego Gubernatora dla okupowanych terenów polskich”, wychodzący w wersji dwujęzycznej – polskiej i niemieckiej. W tymże dzienniku znajdują się akty prawne stanowiące o zasadach prawnych funkcjonowania

polskich sądów. Niemcy z jednej strony akcentują kontynuację polskiego systemu prawnego, a z drugiej strony – ingerują weń w sposób zasadniczy. I tak np. utrzymują strój urzędowy sędziego w jednym akcie prawnym, a w drugim znoszą – Sąd Najwyższy. Wróćmy jednak do przepisów, które ukazały się w okresie od października 1939 r. do marca 1940 r.

26 X 1939 r. stwierdzono, że na terenie GG będą istniały dwa sądownictwa: niemieckie i polskie. Obywatele narodowości niemieckiej podlegali w całości sądownictwu niemieckiemu. Miało ono zajmować się również „ściganiem zamachów na bezpieczeństwo i autorytet Rzeszy i Narodu Niemieckiego oraz życie, zdrowie i własność obywateli narodowości niemieckiej”.

Termin uruchomienia sądów polskich miał zostać podany po ostatecznym ustanowieniu granic GG. 3 XI 1939 r. ogłoszono o utrzymaniu zasad wynagrodzeń wypłacanych wcześniej przez władze polskie. W okresie okupacji tylko raz dokonano zmiany tego rozporządzenia, przez udzielenie niewielkich podwyżek.

19 II 1940 r. wydane zostało rozporządzenie kompetencyjne, określające „przejęcie spraw prawnych w sądownictwie niemieckim i polskim”. Najważniejsze rozporządzenie wyszło ostatecznie 24 II 1940 r. i zostało zatytułowane „O sądownictwie polskim w Generalnym Gubernatorstwie”. Sądownictwo polskie miało działać wtedy, o ile nie wchodziła w grę właściwość sądownictwa niemieckiego. Wynikało zeń m.in., że sądownictwo polskie jest wykonywane przez sądy grodzkie, okręgowe i apelacyjne. Los SN został określony następująco: „Sąd Najwyższy nie podejmuje chwilowo swojej czynności” (ta „chwila” trwała przez całą okupację, podobny zresztą los dotknął całe sądownictwo administracyjne wykonywane przez NTA). Sądy apelacyjne miały działać w miastach będących siedzibami szefów poszczególnych dystryktów GG., a więc w Warszawie, Krakowie, Lublinie i Radomiu.

Sądy pracy zniesiono, a sprawy im właściwe przekazano do sądów grodzkich. Nadzór bezpośredni nad sądami przekazany został w ręce szefów dystryktów. Wprowadzono obowiązek złożenia pisemnej deklaracji „wiernej i sumiennej służby”. Wyroki zapadać miały „W imieniu prawa” (w oryg.

„*In Namen des Gesetzes*”), w odróżnieniu od wyrokowania sądów niemieckich orzekających w „imieniu Narodu Niemieckiego”. Wykluczono orzekanie w składach z udziałem ławników (np. w sprawach pracowniczych, kupieckich). Wyłączono możliwość stosowania warunkowego zawieszenia kar wolnościowych oraz procedury ułaskawieniowej. Nadano orzeczeniom sądów apelacyjnych i sądów okręgowych w II instancji przymiot ostateczności, utrzymując jednakże zwykłe środki odwoławcze wynikające z procedury polskiej. Zastrzeżono na przyszłość odrębne regulacje prawne w zakresie własnego sądownictwa „dla zwarcia osiedlonych narodowości na terenie GG” (wykorzystano to później dla Dystryktu Galicji).

Zlikwidowano urząd pisarzy hipotecznych, oddając ich obowiązki w ręce sędziów grodzkich z wykluczeniem prawa do legalnego udziału w części wnoszonych opłat (warto tu dodać, że zarobki przedwojennych pisarzy hipotecznych były bez mała krociowe).

Nałożono specjalną opłatę na już toczące się postępowania, określając ją jako opłatę „dla dalszego prowadzenia sprawy”. Przyznano tzw. prawo sprawdzenia (*Nachprüfungsrecht*) w ręce szefa dystryktu. Sprawdzenie mogło być dokonane, „gdy interes publiczny na to wskazywał” – w oparciu o wniosek kierownika wydziału sprawiedliwości w dystrykcie (*Justizabteilung*). Samo sprawdzenie dokonywane być miało przez sąd niemiecki, który stawał się wtedy w istocie rzeczy jakby Sądem Najwyższym.

W późniejszym rozporządzeniu z dnia 8 III 1940 r. wydano zakaz używania i pokazywania godła polskiego, co w praktyce uniemożliwiało korzystanie z łańcuchów sędziowskich, ozdobionych metalowymi orzełkami – sędziowie orzekali w togach, biretach, przy stołach z krucyfiksem.

Nieco później, a mianowicie 22 VI 1940 r. wydane zostało rozporządzenie znoszące tzw. ferie sądowe, a więc dopuszczalny prawem okres „spowolnienia” rozpoznawania niektórych spraw w czasie letnim (od 1 lipca do 15 sierpnia). Wiele, wiele lat później sądowa „Solidarność” upomniała się o przywrócenie tego rozwiązania – ostatecznie, z pozytywnym efektem.

Wiele dalszych rozporządzeń reguluje szczegółowo zasady tzw. pomocy prawnej między sądami polskimi i niemieckimi, odnoszące się do przeprowadzania wzajemnie uznawanych czynności prawnych. Przypomniano przy tej okazji, że wszystkie wcześniejsze umowy polsko-zagraniczne nie obowiązują. Omawiana pomoc prawna dotyczyła nie tylko relacji polskiego sądownictwa i niemieckiego na obszarze GG, ale również korespondencji z sądami Rzeszy, Protektoracie Czech i Moraw itp.

W dniu 1 VIII 1940 r. wyszło rozporządzenie o „odbudowie wymiaru sprawiedliwości w Okręgu Galicji” – co było wynikiem wojny z ZSSR, rozpoczętej 22 VI 1941 r. oraz zdobywania przez Rzeszę kolejnych obszarów na Wschodzie. Dystrykt Galicji został dołączony do GG i jako jednostka sądowa stał się okręgiem Sądu Apelacyjnego we Lwowie. Na obszarze tym dopuszczono sądownictwo w języku ukraińskim. Od tego czasu w kolejnych rozporządzeniach znika określenie „sądownictwo polskie” i pojawia się nowe sformułowanie – „sądownictwo nie-niemieckie”.

W dniu 22 IV 1942 r. wydane zostało rozporządzenie „o interpretacji polskich przepisów prawnych”. Chodziło mianowicie o przepisy proceduralne głównie z dziedziny prawa karnego i cywilnego – odsyłające do stolicy lub obowiązującego w niej prawa, a więc do m.st. Warszawy. Podpisany pod rozporządzeniem Gubernator Generalny dr Hans Frank stwierdził jednoznacznie, że chodzi obecnie o przepisy obowiązujące w Krakowie – a więc w aktualnej stolicy GG. (W urzędowym tekście polskim użyto słów Warschau i Krakau). Dla porządku dodano, że czynności powzięte z naruszeniem tego przepisu „nie są z tego powodu bezskuteczne”.

Jednym z ostatnich rozporządzeń jest akt prawny z 15 II 1944 r. poświęcony wpisowi praw na statkach i statkach w budowie oraz o wprowadzeniu rejestru statków w GG, poruczonego sądom niemieckim w Warszawie i Krakowie. Data ostatniego rozporządzenia związanego ze sprawami sądowymi to 6 VII 1944 r., kiedy to polecono przerejestrowanie przedsiębiorstw (spółek prawa handlowego i innych spółdzielni), z rejestrów dotychczasowych do rejestrów sądów niemieckich.

Prawodawcy w GG zawzięcie tworzyli przepisy niemal do samego końca, nie bacząc na sytuację na froncie. Dziennik Rozporządzeń GG zajmował się też wieloma innymi kwestiami, pośród których sprawy sądownictwa nie były bodaj najważniejsze – nie miejsce tu jednak na ich prezentację, analizę specyficznego języka i ich wielorakiej treści: od spraw błahych po tragiczne.

Za czas rozpoczęcia działania sądów polskich można przyjąć grudzień 1939 r. Ludwik Landau w swej „Kronice” uszczegóławia tę datę na dni 11-12 grudnia 1939 r., w odniesieniu do Sądu Grodzkiego w Warszawie. Tydzień później rozpoczął pracę Sąd Okręgowy w Warszawie. W styczniu 1940 r. prasa niemiecka donosiła o otwieraniu kolejnych sądów w GG. W lutym 1940 r. *Warschauer Zeitung* pisał o 35 sądach grodzkich i 3 sądach okręgowych, w których podjęło pracę 75% wcześniejszej kadry. W raporcie okresowym gubernatora Warszawy – Ludwika Fischera za okres IV-V 1940 r. znajdujemy następującą wzmiankę: „Sądownictwo polskie pracuje już normalnie od zeszłego miesiąca. Od funkcjonariuszy i urzędników sądownictwa polskiego zażądano w tym czasie złożenia deklaracji wierności i posłuszeństwa. Trzech funkcjonariuszy, a mianowicie jeden asesor, jeden referendarz i jeden urzędnik odmówili złożenia takiego oświadczenia. Zarządzono już w stosunku do nich odpowiednie środki”. Podobna sytuacja była w pozostałych częściach GG i wiosną 1940 r. struktury sądownictwa były już czynne. W tym też czasie okupant przystąpił do faktycznego tworzenia powszechnego sądownictwa niemieckiego, składającego się z sądów niemieckich i wyższych sądów niemieckich. W dniu 11 IV 1940 r. otwarto w Warszawie z wielką pompą Sąd Niemiecki przy ul. Ogrodowej 12/14, w obecności prominentnych urzędników III Rzeszy: Artura Seyss-Inquarta i Rolanda Freislera. Freisler w swym przemówieniu nawiązał do czasów Kazimierza Wielkiego, kiedy to prawo niemieckie w miastach polskich miało znaczenie szczególne. Kompetencja ogólna tych sądów została już opisana wyżej. Dodać należy, że obejmowały one pod względem podmiotowym *Reichsdeutsché* i *Volksdeutsché*. O ile w sprawach sądów polskich pojawił się jakikolwiek element

niemiecki np. świadek lub biegły, to czynności procesowe z nimi związane pełnił sąd niemiecki (Niemcy nie wyobrażali sobie zapewne sytuacji, w której polski sąd mógłby np. nie dać wiary zeznaniom świadka – Niemca).

Niezależnie od sądownictwa powszechnego niemieckiego, działało sądownictwo okupacyjne specjalne oraz policyjne sądownictwo doraźne. W raporcie za VIII 1940 r., wspomniany gubernator Fischer podał, że ówczesna większość spraw w sądach polskich to sprawy cywilne o zapłatę czynszu, wnoszone przez żydowskich właścicieli domów. W pewnym sensie ta notatka oddaje istotę spraw przed sądami polskimi – większość tyczyła spraw związanych z zarządem nieruchomości, z czynszami i eksmisjami. Tutaj jednak sam Fischer zwrócił uwagę na „niedoskonałość” niedawno wdrożonego prawa, bowiem zgodnie z jego literalnym brzmieniem sprawy te jako wnoszone przez Żydów (a więc pozbawionych mienia na rzecz Rzeszy) winny były być rozpoznawane przez sądy niemieckie. Wniósł też o modyfikację prawa, bowiem; jego wykonanie mogłoby spowodować zalenie sądów niemieckich ogromną ilością spraw (wyliczył drobiazgowo 25 nowych etatów).

Prawo sprawdzania przyznane sądom niemieckim w stosunku do polskich orzeczeń było używane rzadko, z powodów naturalnych – większość spraw należała do tzw. „masówki”. Ludwik Landau w swym dzienniku skomentował to jako „posmak prawa kolonialnego”. Zne są przypadki ingerencji niemieckiej w obie strony tj. na rzecz osłabienia bądź wzmocnienia represji karnej. Np. w drodze zarządzenia z dnia 20 III 1942 r. dopuszczono możliwość orzekania kary śmierci przeciwko „przestępcom z nawyknięcia” jak również ich „przetrzymania celem zabezpieczenia”. W sprawie o zbrodnię na członku rodziny (tzw. sprawa Kucharskiego) sąd niemiecki orzekł o karze łagodniejszej, co z kolei zostało odebrane jako dowód wyrozumiałości wobec pospolitych zbrodniarzy. Oczywiście – stale trzeba pamiętać, że wszystko to działo się w cieniu Oświęcimia i codziennego zagrożenia życia ze strony okupanta. Sprawdzenie wyroku mogło też nastąpić na skutek wniosku osoby zainteresowanej. Podziemny kodeks etyczny polskiej adwokatury wykluczał wystąpienie

z takim wnioskiem. *Biuletyn Informacyjny* z 19 V 1940 r., przy publikacji „Dekalogu Obywatelskiego” podawał: „Do jakichkolwiek sporów między Polakami nie wolno używać wrogów ani wrogom się skarżyć. Podłością jest pisanie zażaleń, a tym bardziej donosów na Polaka do wrogiej władzy, której pycha i której pogarda dla Polski w ten sposób rośnie” (cytuję za zbiorem Władysława Bartoszewskiego „1859 dni Warszawy”). Sprawa polskich donosów czeka jeszcze na swojego monografistę, nie jest też przedmiotem tego tekstu. Faktem pozostaje jednak, że wnioski o uruchomienie procedury sprawdzenia wpływały, budząc nieraz komentarze o treści dokładnie takiej jak podana w *Biuletynie*. Fragmentaryczne potwierdzenie tego uzyskałem od śp. Michała Frankenberga, przedwojennego sędziego w Mikołowie i w Katowicach, w czasie okupacji zatrudnionego w sądownictwie polskim w Radomiu – by nie było wątpliwości, szczerego Polaka, oficera rezerwy, żołnierza kampanii wrześniowej.

Sprawy żydowskich nieruchomości w Warszawie miały swój aspekt prawny, niezależnie od oczywistej niesprawiedliwości zarządzeń okupanta. Wówczas to w lecie 1940 r. nastąpił początek wielkiej fali spraw związanych z wykonywaniem funkcji administratorów domów żydowskich przez komisarzy naznaczanych przez sądy grodzkie. Analiza dzienników prowadzonych przez Ludwika Landaua, Adama Czerniakowa i Emanuela Ringelbluma wskazuje na dodatkowy etyczny wymiar tych spraw określanych zbiorczo „komisarszczyzną”. W polemice – rzecz jasna nieoficjalnej – padały argumenty o ratowaniu mienia przed zagarnięciem go przez Niemców, które były z kolei zarzutami o rozporządzaniu mieniem nieswoim w drodze „zorganizowanej akcji bezrobotnych sędziów i adwokatów polskich”. Krytykowano sądy polskie za pośpiech w rozpoznawaniu tych spraw. Wspomniani „bezrobotni prawnicy” to – dla porządku rzeczy – sędziowie i adwokaci – uciekinierzy z Wielkopolski, Pomorza, Śląska...

Sprawy eksmisyjne miały – tak jak zawsze – swój aspekt czysto ludzki, niezależnie od argumentów prawnych. Odrębne rozporządzenie utrzymało generalnie terminy ochronne, ale też określiło czas egzekucji na okres do 1 roku od wyda-

nia orzeczenia. Oczywiście, te zlecenia wydają się całkowicie bezsensowne wobec ogromu cierpień i pospolitego łamania najbardziej oczywistych praw obywateli polskich. Celem Niemców było wdrożenie „porządku” przy regulowaniu opróżnień lokali. Mimo tego, wedle zgodnej opinii, sądy polskie prowadziły sprawy eksmisyjne w sposób wyrozumiały i przewlekły. Poświadczono jest to m.in. w relacjach członków instytucji, uczestniczących w takich postępowaniach. „Wyroki eksmisji zapadały niezwykle rzadko” – konkludowała Emilia Manteuffel w swym artykule „Praca społeczna w Warszawie w okresie okupacji”. Drobne sprawy karne, zwykłe przypadki złodziejstwa, sprawy gruntowe, obrót cywilny oparty o umowy – stanowiły domenę codzienności polskich sądów. Trudno podać pełne dane statystyczne, ale z pewnością ilość spraw zdecydowanie spadła. Mogę podać jedynie dane wyrywkowe. Książka Tomasza Szaroty „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” porównuje obciążenie Sądu Grodzkiego w Warszawie w kwietniu 1939 r. i kwietniu 1943 r. pod względem ilości spraw; było ich odpowiednio – karnych 7689 i 2244 oraz cywilnych 13.024 i 1499. Ludwik Fischer podaje, że pod koniec 1942 r. było spraw 20.000, za rok później – 19.000. Raportuje również, że do X 1940 r. Centralny Rejestr Karny wydał 45 000 wyciągów. W 1942 r. pojawił się problem naboru do zawodu nowych osób – rozstrzygnęło o tym stosowne rozporządzenie z dnia 19 VIII 1942 r. W okresie XII 1942 r. – I 1943 r. odbyły się egzaminy sędziowskie w Warszawie, z udziałem prezesa Sądu Apelacyjnego – Kazimierza Rudnickiego. Równoległe, stałe miały też miejsce przejścia z zawodu sędziowskiego do adwokatury.

Nadzorem nad sądownictwem zajmowały się wydziały sprawiedliwości przy poszczególnych dystryktach. Warta odnotowania jest opinia, że w wielu relacjach polskich sędziów kontakty z tymi wydziałami – o ile się zdarzały – określano jako merytoryczne i wolne od ideologii. Podobnie, dokumenty niemieckie w postaci raportów – oceniają dobrze pracę sądownictwa polskiego. Trudno to określić jako prawnie sobie grzeczności, zważywszy na ogólną sytuację w okupowanym kraju. Niełatwo też z tych opinii i pochwał

wyciągnąć jakieś wnioski ogólne – są one jednak faktem udokumentowanym w źródłach. Trzeba sobie uświadomić, że sądownictwo polskie nie było organem represji wobec Narodu Polskiego – ani w zamierzeniach niemieckich, ani faktycznie. Ogrom zbrodni dzieł się poza strukturami sądowymi. Sądy polskie zwane nieraz „sądami haskimi” (od IV konwencji haskiej z 1907 r., regulującej m.in. zasady okupowania innego kraju) były czymś na kształt instytucji oflagów – zostały wdrożone zgodnie z literą prawa, nie wyrodziły się przeciwko swemu zasadniczemu postępowaniu, nie miały roli szkodliwej wobec podbitego społeczeństwa, pomogły wielu ludziom w przetrwaniu. (Fakt utworzenia przez Niemców oflagów nie zmniejsza ich odpowiedzialności w żaden sposób – ale też ich utrzymanie uratowało Polskę przed całkowitym postradaniem kadry oficerskiej, a tysiące rodzin – przed utratą głowy rodu).

W sądach polskich GG orzekała kadra przedwojenna. Nie było przypadków mianowania osób, nie posiadających stosownych uprawnień w rozumieniu prawa polskiego. Można ocenić, że pracę podjęła zdecydowana większość. Wymóg złożenia pisemnego przyrzeczenia wierności i sumienności nie stanowił przeszkody wobec oczywistej sytuacji przymusowej – potwierdziły to zresztą władze polskie na emigracji, przypominając równocześnie o niewygasłym obowiązku lojalności wobec Państwa Polskiego i Narodu. Początkowo wydawało się, że należy takie deklaracje odrzucać z powodów zasadniczych (dowodem mogą być źródła historyczne dot. rodzącego się Państwa Podziemnego) – ale uznano, że rozmiar możliwych zagrożeń mógłby ugodzić w sam biologiczny byt narodu. Od samego początku, praca w sądownictwie nie była naznaczona ostracyzmem ani w gronie zawodowym, ani w sensie ogólnospołecznym. Pozostały zapisy dramatycznych rozterek i wahań z tego czasu oraz wspólnych rozważań co do stanowiska, które miał podjąć korpus zawodowy. Radzono się osób, które były niekwestionowanymi autorytetami środowiska – należał do nich m.in. Stanisław Bukowiecki, ociemniały prezes Prokuratury Generalnej – jednej z najwspanialszych instytucji publicznych przedwojnia, powołanej do strzeżenia interesów Skarbu Państwa (do dziś dnia nie

odtworzonej, a będącej stale elementem żenującego sporu politycznego w łonie koalicji i parlamentu). Przyjmowano jako argument, że sądy te są zgodne z prawem międzynarodowym, że będą skrawkiem polskiej władzy wykonywanej przez Polaków. Sędzia wracał do swej pracy w oparciu o przymusowe wezwanie, tak jak np. pracownik komunalnej gazowni i elektrowni do swego warsztatu pracy. Doszukiwanie się tu elementu służalczości nie jest uprawnione i nie znajduje potwierdzenia w żadnym tekście prasy podziemnej, jak i w późniejszych polemikach toczonych na emigracji. Podjęcie pracy w sądzie nie wiązało się z żadnymi przywilejami, bowiem Niemcy utrzymali stawki przedwojenne – w porównaniu z cenami i inflacją w GG, pensje te stały się całkowicie iluzoryczne.

Tymczasem wynagrodzenia w czasie wolnej Polski dawały sędziom godziwe utrzymanie (najniższa pensja sędziowska przekraczała 2 razy średnią przeciętnego pracownika, dochodziły nadto dodatki: stażowe, funkcyjne, czasami terytorialne np. tzw. stołeczny i śląski). W warunkach GG wszystko uległo zmianie. Sędziowie biedowali pospół z innymi, nie byli w żaden sposób wyróżniani przez okupanta ani przezeń kuszeni jakąkolwiek poprawą sytuacji materialnej. Wspomnienia okupacyjne dostarczają wystarczających opisów tego stanu rzeczy. W niezwykle obszernym, rzetelnym i dokładnym „Dzienniku z lat okupacji Zamojszczyzny” pióra szczebrzeszyńskiego lekarza – Zygmunta Klukowskiego, zawierającym również wiele informacji o sędziownikach – jest niewielki opis transakcji z połowy listopada 1939 r., kiedy to autor nabył od miejscowego sędziego „kalosze i dwie pary skarpet”. Tak oto wyglądał początek okupacyjnej biedy, po której nadeszła jeszcze sroższa rzeczywistość. Adam Bień w swych wspomnieniach pisał o wyjazdach rowerowych po sesji sądowej na wieś po nabycie lub sprzedanie towarów (*Więź* nr 11-12 z 1983 r.)

Legitymacja sędziowska dawała ochronę taką jak każda inna, tj. potwierdzała fakt zatrudnienia, i nic ponadto. Praca w sądzie nie chroniła przed byciem zakładnikiem, ofiarą egzekucji, aresztowaniem, przesłuchaniem, pobiciem w siedzibie gestapo, wysyłką do obozu koncentracyjnego. Wkraczająca

armia niemiecka często brała zakładników pośród miejscowej inteligencji – w naturalny sposób byli nimi sędziowie. „Już na samym początku okupacji tropiono polskich sędziów i prokuratorów, zaangażowanych wcześniej w sprawy naznaczone elementem niemieckim, np. dot. niemieckich bojówek bądź aktów dywersji, ruchu nazistowskiego, a nawet spraw z udziałem obywateli polskich pochodzenia niemieckiego. Przykładem może być los osób zaangażowanych w tzw. sprawę Beckmanna w Krakowie, wobec którego orzeczono przed wojną karę za obrazę Narodu Polskiego. Tenże krakowski fabrykant, po zajęciu miasta przez Niemców osobiście dopilnował krwawego losu polskich prawników oskarżających i orzekających w jego sprawie w obu instancjach (zginęli zamordowani: sędzia S. Okr. – Władysław Bobilewicz, sędzia S. Ap. – Konrad Frąckiewicz, podprokurator S. Okr. – Andrzej Bieńkowski...). Jedyne prokurator Jerzy Marcinkowski zdołał ocaleć. Beckmann nie darował nawet swemu obrońcy, adw. Józefowi Woźniakowskiemu (późniejszej ofierze Oświęcimia) – żądając od niego zwrotu honorarium. (Po wojnie Beckmann został powieszony z wyroku polskiego sądu, po wcześniejszym odszukaniu go na terenie Niemiec przez córkę jednej z jego ofiar).

Bezwzględny charakter miały represje gestapo na terenie Nowosądeckizny, gdzie istniało wiele starych kolonii niemieckich. Przykładem niech będzie śmierć kierownika (przyp. aut. – tytułatura przedwojenna) Sądu Grodzkiego w Nowym Sączu – Wilhelma Miklaszewskiego, zabitego podczas przesłuchania w jego służbowym pokoju w lutym 1942 r. Wielu innych sądeckich sędziów i prokuratorów zginęło w obozach i egzekucjach; i tak w samym Oświęcimiu: wiceprokurator Sądu Okręgowego – Stanisław Szydłowski (1942 r.), sędzia Edward Kłos (1942 r.), sędzia Stanisław Miszke (1942 r.), sędzia Sądu Okręgowego – Stanisław Wąsowicz (11 XI 1941 r. – rozstrzelany z grupą innych sądeckich) i sędzia Zbigniew Butscher (1941 r.)

Na terenie GG, podczas okupacji (nie piszę tutaj o wszystkich stratach polskiego sądownictwa, w tym na obszarach wschodnich, na Śląsku, Pomorzu i Wielkopolsce) zginęło wielu innych sędziów. Użyję jednego tylko przykładu,

z samego początku okupacji. W Wigilię 1939 r. rozstrzelano w Lublinie sędziego Bolesława Sekutowicza, prezesa Apelacji i sędziego Stanisława Bryłę, prezesa Sądu Okręgowego.

Nieraz zwracano się do polskich sędziów z sugestią podpisania *Volkslisty*, gdy brzmienie nazwiska i inne okoliczności mogły sugerować niemieckie pochodzenie. Źródła mi dostępne każą przyjąć, że sędziownicy nie byli tu obiektem żadnych szczególnych nagabywań. Nieliczne są przypadki karier zawodowych, w zamian za odstąpienie od polskości. Sędzia Alfred Schlitter, kierownik Sądu Grodzkiego w Częstochowie, odmówił zdecydowanie podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Jego ojciec nachodzony potem w tej samej sprawie – według zapisanych przez historyka słów – odrzucił namowy: „Tu, w Polsce otrzymałem pracę i chleb, mogłem wykształcić syna. Niczego od was nie chcę”. W lutym 1941 r. w wyniku denuncjacji – sędzia Schlitter został aresztowany, a potem umieszczony w obozie w Oświęcimiu. W czerwcu 1941 r., oznaczony numerem 12191 zginął w obronie bitego współwięźnia.

Znane są również przypadki wygrywania przez Niemców problemów narodowościowych, np. związanych z tzw. kartami narodowości ukraińskiej. Miały miejsce nieliczne próby odwoływania się do tej formy uprzywilejowania, bądź wręcz niemieckich decyzji administracyjnych co do obsady stanowisk kierowniczych w sądach.

Praca w sądownictwie – wracam tu do wątku wcześniej rozpoczętego – nie była podjęciem kolaboracji. Owszem, inny był odbiór podejmowania pracy w „policji granatowej”, ale i tu sam fakt zatrudnienia nie był naganny. Chodziło o sposób wykonywania swych obowiązków. Powojenne orzecznictwo Sądu Najwyższego na tle stosowania dekretu z dnia 31 VIII 1944 r. o odstępstwie od Narodu Polskiego (DU nr 69 poz. 377 z 1946 r.) musiało nawiązywać do tej kwestii. Jako *exemplum* podam wyrok Sądu Najwyższego z 1949 r. (K.70/49) „Do rzędu zbrodni z art. 2 dekretu, należy i ta kategoria działań, która w języku potocznym nosi miano nadgorliwości w wypełnianiu pewnych prawnych działań funkcjonariuszów polskich, działających w okresie okupacji w ramach narzuconego okupacyjnego porządku. Każde działanie

wspomnianych funkcjonariuszy polskich, należących do takich władz jak prokuratura, sądownictwo, administracja skarbową, administracja samorządowa, i policja granatowa, choćby nawet zgodna formalnie z przepisami normalnego przedokupacyjnego urzędowania, ale wykraczająca w okresie okupacji poza ramy działania w wyłącznym interesie narodu i społeczeństwa polskiego, wkracza w dziedziny działania przestępczego”. Uzasadnienie to było związane z wyrokiem z dnia 2 XII 1949 r. w wymiarze 6 lat więzienia dla byłego polskiego funkcjonariusza policji, który w czerwcu 1941 r. strzelał do uciekającego złodzieja – Polaka, poszukiwanego wcześniej przez prokuraturę Sądu Okręgowego w Częstochowie.

Materiały historyczne wskazują, że wyroki sądownictwa podziemnego (cywilnego – Delegatury Rządu i wojskowego – AK) dotyczyły nieraz policjantów za ich niegodne postępowanie. Jeśli chodzi o sędziów – do tej pory ustaliłem – jest jeden taki przypadek, związany z wykonaniem wyroku na sędzi Sądu Okręgowego w Krakowie – Witoldzie Wasilewskim, w dniu 28 II 1941 r. przez żołnierzy ZWZ – „Mikołaja” i „Władysława” w klatce schodowej jego domu, w sposób pozorujący napad dla uniknięcia rozpracowania przez Niemców. Oprócz relacji zawartych w literaturze historycznej pozostał jeszcze inny dokument, zawierający opis reakcji katolickiego intelektualisty na ten wyrok – a mianowicie odnośny ustęp w dzienniku prowadzonym wówczas przez Karola Konińskiego („Uwagi 1940-1942”).

Tomasz Strzembosz w „Akcjach zbrojnych okupowanej Warszawy” relacjonuje decyzję gen. „Bora” z grudnia 1943 r. o rozpoczęciu akcji „Główki”, której celem miała być likwidacja „szczególnie szkodliwych kierowników niektórych sektorów aparatu okupanta w GG”. Pośród osób wyznaczonych do likwidacji byli m.in. Hinüber – kierownik *Justizabteilung* w Dystrykcie Warszawa za „zniszczenie aparatu sądowego, prokuratury i adwokatury” i Kühne – kierownik Wyższego Sądu Niemieckiego – za „nienawistne i stronnictwo ustosunkowanie się w wymiarze sprawiedliwości do Polaków”.

Sędziowie w okupowanym kraju nie mogli być sędziami lojalnymi. Dali dowód tego, że byli „nieskazitelnego

charakteru”. Taki był wymóg ówczesnych przepisów, który – mimo przeróżnych zmian – ostał się do dzisiaj. Oczywiście, nie sposób ocenić ilości zaangażowanych w konspirację sędziów. Myślę, że było ich bardzo wielu. Twierdzenie to opieram na znacznej ilości dowodów, przedstawiających uczestnictwo sędziów i prokuratorów w Państwie Podziemnym, w jego strukturach politycznych i zbrojnych na wszystkich szczeblach.

Dla zobrazowania pozwolę sobie na podanie kilku przykładów związanych z samym tylko środowiskiem warszawskim. Adam Bień, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie, był zastępcą Delegata Rządu na Kraj, jest symbolem zaangażowania sędziów w pracę konspiracyjną na rzecz Niepodległej, na jednym z najważniejszych stanowisk w administracji cywilnej. W dniu wybuchu Powstania Warszawskiego, zanim udał się na wyznaczone mu miejsce zgrupowania, uczestniczył w porannym posiedzeniu sądowym... Stanisław Leszczyński, b. sędzia śledczy przy Sądzie Okręgowym w Łodzi, podczas okupacji konduktor kolejki elektrycznej w Warszawie – był szefem komórki więziennej KG AK. Stefan Mateja, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie kierował Departamentem Pracy i Opieki Społecznej w Delegaturze Rządu. Witold Majewski, sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie był przewodniczącym Wojskowego Sądu Specjalnego Okręgu Warszawskiego AK. Tadeusz Semadeni, wiceprokurator Sądu Apelacyjnego w Warszawie kierował referatem organizacyjnym w Szefostwie Służby Sprawiedliwości Komendy Obszaru Warszawa AK. Konrad Zieliński, emerytowany prezes Sądu Apelacyjnego we Lwowie był szefem Służby Sprawiedliwości KG AK. Bernard Zakrzewski, b. podprokurator Sądu Okręgowego w Pińsku, zatrudniony podczas okupacji jako administrator nieruchomości kierował Wydziałem Bezpieczeństwa i Kontrwywiadu Oddziału II KG AK. Stanisław Cybulski, sędzia grodzki w Warszawie, był zastępcą kierownika kontrwywiadu Delegatury Rządu na Kraj.

Sędziowie byli też obecni we władzach instytucji pomocowych, służących ludziom poszkodowanym, uwięzionym, ubogim. Kazimierz Rudnicki, prezes Sądu Apelacyjnego w

Warszawie, stał na czele Towarzystwa Opieki nad Więźniami „Patronat” – oddającego się pomocy dla uwięzionych. We władzach „Patronatu” byli również – Wanda Kamińska (do września 1939 r. – sędzia Sądu Grodzkiego w Warszawie, potem w adwokaturze), Stefan Szydłowski – prokurator Sądu Apelacyjnego i Lucjan Kulej – prokurator Sądu Okręgowego, Konstanty Tchórznicki, sędzia rozwiązanego Najwyższego Trybunału Administracyjnego, pracował od 1941 r. jako doradca prawny w Radzie Głównej Opiekuńczej, a od XII 1943 r. kierował jej pracą (od 1941 r. „Patronat” był już częścią RGO).

Po zakończeniu okupacji należało rozstrzygnąć kwestię prawomocności czynności i orzeczeń dokonanych w trybie i w sprawach wyżej opisanych. Przyjęta została generalnie zasada ich ważności połączona z prawem wzruszenia w drodze skargi. Kwestii tych dotyczył dekret PKWN z dnia 6 VI 1945 r. o mocy obowiązującej orzeczeń sądowych, wydanych podczas okupacji niemieckiej na terenie Rzeczypospolitej Polskiej (DU nr 25 poz. 151 z 1945 r.). Termin skargi do Sądu Najwyższego upłynął dnia 3 I 1946 r., zgodnie z obwieszczeniem Ministra Sprawiedliwości z dnia 30 VIII 1945 r. (*Monitor Polski* nr 28 z 22 IX 1945 r.).

Marian SWORZEŃ

Marian Sworzeń – ur. 1954 w Katowicach, prawnik, sędzia w latach 1980-1988, członek NSZZ „Solidarność”, wiceburmistrz Mikołowa w latach 1990-1998, aktualnie radny (UW). W stanie wojennym związany ze środowiskiem pisma *Niepodległość*. Uczestnik programu „Liberty” Uniw. Harvarda i „III Sector” Uniw. J. Hopkinsa. Członek redakcji *Arkadii*, współautor „Mikolowskiego Słownika Biograficznego”. Pisze książkę o Maxie Ehrmannie, autorze „Dezyderaty”. Mieszka w Mikołowie. Obecnie jest radcą prawnym.

Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI

ZRABOWANE ZASŁUGI

Przed dwoma laty podniosły się w Polsce głosy zwracające uwagę na białą plamę w historii wojennej współpracy polsko-angielskiej. Jest nią zatajenie przez Brytyjczyków udziału polskiego wywiadu w zwycięstwie nad Niemcami. Polskie osiągnięcia na tym polu były tak wielkie, że przyczyniły się do klęski rzeszy hitlerowskiej bardziej, aniżeli inne działania Armii Krajowej i Polskich Sił Zbrojnych walczących u boku Sprzymierzonych na ziemi, na morzu i w powietrzu. Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że bez tych osiągnięć Niemcy nie zostaliby pokonani.

Temat ten został ponownie poruszony na konferencji, która odbyła się w czerwcu ubiegłego roku w San Francisco z okazji 50. rocznicy powstania CIA. Odczyt pod tytułem „Wkład wywiadu polskiego do zwycięstwa w II wojnę światowej” wygłosił Joseph Jedd, emerytowany funkcjonariusz CIA.

Prelegent skoncentrował się na dwóch najbardziej spektakularnych polskich zdobyczach: dostarczenia informacji o eksperymentach z nowymi broniąmi V-1 i V-2 w miejscowości Peenemünde na wyspie Uznam na Bałtyku i niemieckiej maszyny do szyfrowania Enigma.

I. KTO ZDOBYŁ ENIGMĘ

Szczególnie doniosłe znaczenie miało zbudowanie przez Polaków przy pomocy informacji uzyskanych od wywiadu francuskiego – precyzyjnego duplikatu Enigmy i urządzeń umożliwiających rozbijanie szyfrów. Tuż przed wybuchem wojny polski wywiad przekazał sojusznikom Enigmę, a raczej wyprodukowany przez Polaków jej sobowtór. Umożliwiło to później Anglii przejmowanie i odczytywanie wszystkich najtajniejszych wojskowych depesz niemieckich. Dzięki Polakom Sprzymierzeńcy zdobyli dostęp do najbardziej strzeżonych niemieckich tajemnic wojskowych, znali ich zamiary i sposoby działania, a tym samym możliwości przeciwdziałania. Historycy II wojny światowej zgodni są w przekonaniu, że bez Enigmy Anglia przegrałaby zarówno bitwę o Wielką Brytanię jak też bitwę o Atlantyk. W dużej mierze przewadze nad nieprzyjacielem, którą zapewniała Enigma, zawdzięczali Sprzymierzeńcy powodzenie swoich wielkich akcji ofensywnych, a przede wszystkim inwazji kontynentu.

Ilość przejmowanych depesz, które wymieniali Niemcy na najwyższych szczeblach swojej maszyny wojennej nie wyłączając samego Hitlera, przekraczała dwa tysiące dziennie (Enc. Britannica tom 12, str. 118).

Referat Jedda jest jednym wielkim aktem oskarżenia wywiadu brytyjskiego o przywłaszczenie sobie zasług Polaków. Według Jedda brytyjska służba wywiadowcza zataiła fakt, że pierwsze meldunki dotyczące Peenemünde otrzymała od polskiej Dwójki. Anglicy dopuścili się jeszcze większego nadużycia ukrywając albo umniejszając fakt, że polski wywiad tuż przed wybuchem wojny dostarczył tajemnicę Enigmy Sprzymierzonym. Nie żadne szkice i opisy, ale odtworzony przez Polaków przy pomocy informacji udzielonych przez Francuzów precyzyjny sobowtór niemieckiego wynalazku. Było to dzieło geniuszu polskich kryptologów: Mariana Rajewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego. Joseph Jedd oskarżył w swoim referacie imiennie szefa wywiadu lotniczego w MI-6, Fryderyka Winterbothama i brytyjskiego

generała Kenetha Stronga, szefa wywiadu w alianckim sztabie Eisenhauera, o świadome dopuszczenie się kłamstwa, po to by przypisać Anglii chwałę należną Polakom.

„Zdaję sobie sprawę – pisze Jedd – że używam mocnych słów wobec tych dwóch osobistości, które nie trzymały się prawdy, mimo że pozostawały w bliskich stosunkach z ludźmi znającymi tę prawdę z pierwszej ręki. Byli nimi kryptolodzy wysłani przed wybuchem wojny do Polski, by odebrać Enigmę z rąk polskiej Dwójki: komandor Alastair Denniston i Alfred Dillwyn Knox oraz czołowy specjalista od rozbrajania szyfrów – Humphrey Sandwith. Znał także sprawę gen. Stewart Menzies, szef wywiadu brytyjskiego MI-6. Jest niemożliwością – pisze Jedd – aby nie wiedzieli oni kim byli Polacy, którzy nie tylko zaofiarowali Anglikom skonstruowaną przez siebie aparaturę, ale także swą teoretyczną i praktyczną wiedzę, jak się nią posługiwać.

Praca wywiadu – pisze Jedd – otoczona jest z reguły największą tajemnicą. Dlatego tak łatwo jest odebrać innemu jego zasługi i zapisać je na własne konto. Tego właśnie nadużycia dopuścił się Fryderyk Winterbotham, szef naukowego wywiadu brytyjskiego.

Do roku 1974 istnienie Enigmy i jej rola oraz olbrzymie usługi jakie oddała ona Sprzymierzonym, utrzymywane były w tajemnicy. Dopiero w 20 lat po wojnie Winterbotham otrzymał pozwolenie na jej ujawnienie. Jego książka „Tajemnica Ultry”¹ (kryptonim akcji rozprowadzającej informacje uzyskane dzięki Enigmie) stała się rewelacją. Na samym wstępie (str. VIII) autor stwierdza kategorycznie: „Wawrzyn zasługi w operacji Enigma należy do angielskich kryptologów”. Marszałek RAF John Slessor pisze bezosobowo na wstępie, że maszyna szyfrująca została przemycona z Niemiec. Nie wspomina przez kogo. Ani słowa o roli Polaków. Historyjka w książce Winterbothama o polskim mechaniku, nie wymienionym z nazwiska, zatrudnionym w niemieckiej fabryce, który przekazał rzekomo Enigmę bezpośrednio w ręce agenta brytyjskiego w Warszawie jest całkowicie zmyślona.

1. „The Ultra Secret,” Londyn 1974.

Na podstawie książki Winterbothama BBC wyprodukowało film „The Secret War” (Ukryta Wojna). Oglądały go miliony widzów po obu stronach Atlantyku. Hasło „Enigma” w Encyklopedii Britannica, która służy za źródło informacji na całym świecie, zostało oparte na książce Winterbothama ukrywającej zasługi Polaków.

Prawdę o udziale Polaków zarówno w zbudowaniu Enigmy jak też dostarczeniu informacji o „nowych broniach” ujawnił i szczegółowo udokumentował historyk emigracyjny, Józef Garliński, w dwóch książkach: „Enigma” (Londyn, Odnova 1980) i „Ostatnia broń Hitlera” (Londyn, Odnova 1977). Autor uzyskał stopień doktorski z historii czasów najnowszych na Uniwersytecie Londyńskim i wydał po angielsku siedem książek opisujących polski wkład w zwycięstwo nad Niemcami hitlerowskimi. Po ukazaniu się obu książek Garlińskiego – w ciągu następnej dekady – wyszło na jaw wiele nowych źródeł i relacji. Angielski autor David Kahn zdobył się na to, by w pełni oddać sprawiedliwość polskiemu sojusznikowi (David Kahn „Seizing the Enigma”, Houghton Mifflin Co. Boston 1991).

Wszystko zaczęło się w Polsce w 1920 r. W końcu lipca, gdy nawała bolszewicka zbliżała się ku Warszawie, Biuro Szyfrów Drugiego Oddziału rozbiło szyfr sowiecki i przejęło m.in. rozkaz operacyjny Tuchaczewskiego, który ujawnił szeroką lukę między północnym i południowym frontem. Przechwycona informacja stała się podstawą planu polskiej kontrofensywy znad Wieprza. Inne odszyfrowane sowieckie depesze ujawniły zamiar Tuchaczewskiego zajęcia Warszawy manewrem okrążającym od północy i umożliwiły wzmocnienie w ostatniej chwili północnej flanki frontu, dowodzonej przez gen. W. Sikorskiego. Rozbicie sowieckiego szyfru odegrało także rolę w zwycięskiej bitwie nad Niemnem.

Szefem Biura Szyfrowego był 27-letni kapitan Jan Kowalewski, z zawodu inżynier-chemik. Dobrał sobie zespół świetnych matematyków, wśród nich Stefana Mazurkiewicza i Wacława Sierpińskiego, którzy w późniejszych latach zdobyli jako uczeni światową sławę.

Nauczeni tym sukcesem Polacy utrzymali po wojnie

Biuro Szyfrów, które zdobyło sobie wysoką markę fachowości w europejskich kołach kryptologów. Prace nad rozbijaniem nowego, mechanicznego systemu kodowania przez Niemców depesz wojskowych rozpoczęły się w 1928 r. Punktem wyjścia było badanie niemieckich maszyn szyfrujących, dostępnych w handlu. Wielką pomocą było uzyskanie od szefa francuskiego Biura Szyfrów Gustava Bertranda zdobytego przez wywiad francuski niemieckiego podręcznika zawierającego instrukcje posługiwania się Enigmą. Do pracy wciągnięto trzech wybitnie uzdolnionych, dwudziestokilkuletnich studentów matematyki z Poznania: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Żygalskiego. Rejewskiego Kahn określa jako matematyka obdarzonego geniuszem. Pracował w Biurze Szyfrów w Sztabie na Placu Saskim od roku 1931. Dwaj inni dołączyli rok później. Kahn opisuje kolejno postępy ich badań.

Triumfalnym epilogiem była rekonstrukcja przez Polaków Enigmy i zbudowanie sześciu tzw. „bomb” – mechanizmów umożliwiających odczytywanie szyfrów. W dniu 24 lipca 1939 r. na sześć tygodni przed najazdem hitlerowskim Enigma wraz z „bombami”, polski *know how* i dokumentacja przekazane zostały kryptologom francuskim w osobach Gustava Bertranda i Henri Braquenié oraz angielskim: Dan-nisonowi, Knoxowi i Sandwithowi. Historyczne spotkanie odbyło się na mocno strzeżonej stacji Biura Szyfrów w pobliżu miejscowości Pyry w Lasach Kabackich pod Warszawą. „Anglia” – pisze Kahn – „otrzymała w prezencie od lojalnego sprzymierzeńca możliwości odczytywania depesz wroga” (str. 81)... „Francji i Anglii brakowało – nie tylko w dziedzinie kryptologii – dwóch rzeczy: wizji i woli. Polska miała jedno i drugie... i dlatego Polacy osiągnęli to, czego nie zdołał dokonać żaden inny kraj i co Niemcy uważali za niewykonalne” (str. 67).

Po klęsce wrześniowej znakomita trójka: Rejewski, Różycki i Żygalski przedostali się do Francji i dołączyli do francuskiego Biura Szyfrów kierowanego przez Bertranda. Ogółem 15 Polaków współpracowało pod kierunkiem Bertranda w przejmowaniu i odszyfrowywaniu niemieckich depesz. Po klęsce Francji Polacy kontynuowali swą działalność konspiracyjnie w Nimes, w nieokupowanej części kraju, dos-

tarczając odszyfrowywane depesze Anglikom. Po zajęciu całej Francji przez Niemców, Rejewski i Zygałski przekradli się przez Hiszpanię do Anglii. Różycki zginął na Morzu Śródziemnym, gdy zatopiony został statek, na którym płynął z Algerii do Francji (J. Garliński, str. 59). Rejewski i Zygałski do końca wojny pracowali w Anglii, w Biurze Dekryptażu Drugiego Oddziału. Wspomagali tam do końca swą wiedzą angielskie wysiłki w Szkole Kodów i Szyfrów w Bletchley Park.

Prace i osiągnięcia Anglików nad kolejnym przełamywaniem, wciąż zmienianych niemieckich systemów kodowania przez Enigmę, stanowią prawdziwą epopeję. Godnym kontynuatorem genialnego kryptologa, Rejewskiego, stał się 28-letni Allan M. Turing. Był to jednak dalszy ciąg pionierskich polskich osiągnięć. Dzięki książce Józefa Garlińskiego, później książce Davida Kahna, wydanej 11 lat później i monumentalnej, pięciotomowej oficjalnej historii pt. „Wywiad brytyjski w II wojnie światowej” wielkie osiągnięcie polskie, jakim była Enigma zostało w pełni ujawnione i udokumentowane. Pomimo tego w ostatnim wydaniu Encyklopedia Britannica (1998) pod hasłem „Enigma” znajduje się lakoniczne objaśnienie: *„urządzenie używane przez niemieckie dowództwo wojskowe celem kodowania strategicznych depech przed i w czasie II wojny światowej. Kod Enigmy rozbity został przez komórkę wywiadu brytyjskiego znaną pod kryptonimem Ultra”* (Enc. Britannica t. 12, str. 503). Z kolei pod hasłem „Ultra” powtórzona zostaje zmyślona przez F.W. Winterbothama historyjka o polskim mechaniku, zatrudnionym w niemieckiej fabryce produkującej Enigmę, który odnotował składowe części maszyny. Z pomocą brytyjskich i francuskich służb specjalnych skonstruował drewnianą makietę Enigmy, którą angielscy kryptolodzy przemycili później do Anglii (Enc. Britannica t. 12, str. 118). Winterbotham, który tę historyjkę zmyślił, nie sprostował tego zapisu, który ukazywał się za jego życia w kolejnych wydaniach Encyklopedii Britannica. Zmarł w 1990 r. w wieku 93 lat. (Enc. Britannica, t. 12, str. 708).

II. POLACY I PEENEMÜNDE

O wiele gorzej przedstawia się sprawa zatajenia polskich zasług w zniszczeniu stacji doświadczalnej V-1 i V-2 w Peenemünde.

Książka Józefa Garlińskiego „Ostatnia broń Hitlera” zawiera dwa stwierdzenia o kapitalnym znaczeniu. Garliński ujawnił, że zaraz po wojnie szef Drugiego Oddziału Sztabu Naczelnego Wodza, płk Stanisław Gano ulegając żądaniom wywiadu angielskiego oddał Anglikom wszystkie depesze, raporty, dokumenty, dzienniki podawcze, słowem całe archiwum wywiadu AK. W rękach polskich nie pozostały żadne ślady polskiego dorobku wojennego w tej dziedzinie.

Garliński zwrócił się do dr. Reginalda Jonesa, w czasie wojny szefa wywiadu naukowego i doradcy MI-6, z zapytaniem, czy jakieś polskie informacje dotyczące Peenemünde dotarły w 1943 roku do rąk *Intelligence Service*. Jones odpowiedział listownie: „Nie wydaje się, bym wiedział o czymkolwiek z Polski przed marcem 1944 r., ale jest możliwe, że raporty nadchodziły w 1943 r.”².

Ponieważ na biurku Jonesa z racji jego stanowiska lądowały wszystkie bez wyjątku informacje dotyczące „nowych broni”, jest rzeczą nie do pomyślenia, by mógł on nie zauważyć raportów, które napływały z Polski do Londynu przez radio i przez kurierów wiosną 1943 r. Dwa lata po wysłaniu listu do Garlińskiego Jones zaprzeczył zresztą samemu sobie. W swojej książce „Wojna mędrców” (*The War of Wizards*, New York 1978, str. 346) ubolewa, że w czasie nalotu na Peenemünde – „zbombardowane zostały baraki cudzoziemskich robotników. Byli wśród nich ci, którzy ryzykowali tak wiele, zdobywając dla nas informacje. Nigdy już nie otrzymaliśmy od nich żadnego raportu”. Jones przemilcza fakt, że ci anonimowi informatorzy byli Polakami w służbie wywiadu AK i że ich raporty przekazywane były radiem i kurierami do Londynu. Szczegóły tej akcji opisał w swoim sprawozdaniu Adam Mickiewicz, były szef Wydziału Biura Studiów Dru-

2. J. Garliński „Ostatnia broń Hitlera”, str. 201.

giego Oddziału AK czyli Arki. Mickiewicz był przełożonym inżyniera Antoniego Kocjana, którego zadaniem było rozpracowywanie nowych broni V-1 i V-2. Z relacji Mickiewicza wynika, że po raz pierwszy polscy informatorzy z Peenemünde zauważyli „samoloty bez skrzydeł” na przełomie 1942/43 roku. Pierwszy wiarygodny i szczegółowy meldunek od informatora z Peenemünde o próbach pocisków rakietowych nadzedł – jak pisał – „chyba wczesną wiosną” i został natychmiast wysłany do Londynu drogą radiową oraz w mikrofilmie przez kuriera. Relacja Mickiewicza ukazała się jako aneks w książce Michała Wojewódzkiego „Akcja V-1 i V-2” wydanej w 1971 r. W tej samej książce przytoczona została w całości relacja polskiego informatora wywiadu AK z Peenemünde, podoficera Wehrmachtu Romana Treagera, Polaka pochodzenia austriackiego, który pracował w Peenemünde. Przekazał on do Warszawy za pośrednictwem swego ojca oraz inżyniera Jana Szredera szczegółowy opis przeprowadzonych tam eksperymentów, wyrzutni pocisków oraz przebieg ich lotu a także mapę z rozmieszczeniem obiektów w Peenemünde oraz ich opisem. Trzeba tu dodać, że obserwatorzy mieszały początkowo eksperymenty V-1 i V-2. Określali je przeważnie jako „latające bomby”.

Zapewne o tym właśnie meldunku pisał w swoich wspomnieniach wojennych J.G. Beevor, wysokiej rangi funkcjonariusz SOE (organizacji współdziałającej z AK za pośrednictwem Oddziału Szóstego Sztabu Naczelnego Wodza) (J.G. Beevor, „SOE Recollections and Reflection”, Londyn 1981, str. 209). Beevor pisze: „Wśród robotników cudzoziemskich w Peenemünde byli Polacy. W początkach 1943 r. do wywiadu AK zaczęły napływać meldunki z Peenemünde o małych samolotach o krótkich skrzydłach lecących w kierunku Bałtyku. Informacje te przekazywane były do Oddziału Szóstego, który oddawał je do Oddziału Drugiego, a ten do *Intelligence Service*. Później, na zamówienie z Londynu dłuższe i pełniejsze sprawozdania wraz z mapami AK wysłała z Warszawy przez kuriera” (str. 208).

Potwierdził te informacje ówczesny szef Oddziału Szóstego, płk Michał Protasiewicz w listach do Józefa Garlińskiego, pisanych w 1975 r. Pułkownik przypomniał sobie, że w

końcu zimy 1943 r. „nadeszła depesza, że nad Bałtykiem istnieje jakieś centrum doświadczalne „nowych broni”. Być może było wymienione Peenemünde. Zaraz po otrzymaniu tej depeszy Anglicy poprosili o bliższe szczegóły. Po paru tygodniach nadszedł meldunek oraz kawałek planu-mapy – o bardzo dużej skali z częścią zakreśloną grubym ołówkiem tych rejonów, gdzie miały się odbywać doświadczenia³.

Być może opisany przez Protasiewicza meldunek był raportem Treagera. Co się z nim stało? Gdzie jest przechowywany?

W latach 1984-1990 ukazywały się kolejne tomy historycznej pracy wydawane oficjalnie przez rząd brytyjski pt. „Wywiad brytyjski w drugiej wojnie światowej” w redakcji prof. F.H. Hinsleya. Pięć tomów i około 5 tys. stron. W tomie trzecim na stronie 390 znalazła się wzmianka: „Pierwszy raport, że w Peenemünde wypróbowywana jest bomba ze skrzydłami, pochodził z polskiej sieci wywiadowczej i dotarł do *Intelligence Service* w kwietniu 1943”. Autor mylnie dodaje, że dotarł z rejonu Paryża. Chodziło niewątpliwie o raport z Warszawy. Niestety, stwierdza autor – „polski raport nie zachował się”. Dziwne. Co się z nim stało? Kiedy przechowywany dokument o tak wielkiej wadze został schowany albo zniszczony?

Arthur Bryan, autor pracy „Przełom fali” oparty na dzienniku prowadzonym przez marszałka Alanbrooka, szefa Sztabu Imperialnego, pisze: „Pogłoski o eksperymentach w Peenemünde zostały dostarczone do Londynu przez polski ruch podziemny wiosną 1943 r. Loty rozpoznawcze nad Peenemünde przeprowadzane w następstwie tego meldunku przyniosły zdjęcia lotnicze dziwnych obiektów w kształcie cygara. Szefowie sztabu po raz pierwszy rozpatrywali sprawę w kwietniu” (str. 650). Na ich wniosek powołany został Komitet pod przewodnictwem Duncana Sandysa, zięcia Churchilla. Komitet Sandysa zebrał zdjęcia lotnicze, niemieckie depesze przejęte przez Enigmę i wszystkie raporty z najważniejszych źródeł. W dniu 29 czerwca 1943 r. na zebraniu, któremu przewodniczył Winston Churchill zapadła decyzja

3. List w posiadaniu J. Garlińskiego.

masowego nalotu i przewencyjnego zniszczenia Peenemünde. Bombardowania dokonano w nocy z 17 na 18 sierpnia. Ostatni meldunek o rozmiarach wyrządzonych zniszczeń przekazał Treager Bernardowi Kaczmarkowi pseudonim „Wrzos”. Dotarł on do szefa komórki wywiadowczej „Bałtyk” Stefana Ignaszaka.

Zbombardowanie Peenemünde i śmierć co najmniej kilkudziesięciu ekspertów opóźniło produkcję nowych broni i wprowadzenie ich do akcji. Pierwszy pocisk V-2 o olbrzymiej sile niszczenia spadł na dzielnicę Chelsea w Londynie dopiero 8 września 1944 r., już po uwolnieniu Francji. Niemcy mieli pocisków rakietowych zbyt mało i użyli je zbyt późno, by mogły osiągnąć swój pierwotny cel: zburzenie Londynu i uderzenie w koncentrację sprzętu i wojsk szykujących się do operacji desantowych na wybrzeżu francuskim.

Wróćmy teraz do oświadczenia dr. Jonesa, który nie pamiętał, by w roku 1943 wpłynęły na temat Peenemünde informacje wywiadowcze od Polaków. Michał Wojewódzki zwrócił się w roku 1971 z listem do Duncana Sandysa zapytując, dlaczego pisarze brytyjscy pomijają udział Polaków w akcji wywiadowczej przeciwko „nowym broniom hitlerowskim”. Minister obiecał sprawę zbadać i na tej obietnicy się skończyło. To samo pytanie polscy czytelnicy zadali Davidowi Irvingowi, autorowi książki o Peenemünde „Gniazdo złudzeń” (Boston, 1961). W książce Irvinga słowa Polska i Polacy nie ma nawet w indeksie nazw i nazwisk. Irving odpowiedział: „zostałem poinformowany przez właściwego dla tej sprawy byłego funkcjonariusza brytyjskiego wywiadu, że większość polskich informacji nadeszła zbyt późno, by można było zrobić z nich użytek”⁴. W świetle dokumentów, które przytoczyłem, wiemy już, że ów funkcjonariusz świadomie mijał się z prawdą.

Jones twierdzi w swej książce, że polski wywiad przesłał w marcu 1944 r. raport o próbach z V-2 przeprowadzanych w miejscowości Blizna w pobliżu Dębicy na poligonie SS, o czym – jak twierdzi – Anglicy już wiedzieli z depeesz przejętych przez Enigmę. „Ponieważ – pisze – wiedzieliśmy już tak

4. Michał Wojewódzki, „Akcja V-1. V-2.”

dużo na ten temat, Polacy nie mogli do tego wnieść wiele nowego” (*ibid*, str. 34). W rzeczywistości pierwsze polskie meldunki informujące, że po zniszczeniu Peenemünde eksperymenty z V-2 kontynuowane są na poligonie SS w Bliźnie, dotarły do Anglików już w październiku 1943 r. („British Intelligence in the Second World War”, tom. I, cz. 1, str. 441). Od tego czasu AK obserwowało eksperymenty w Bliźnie i przekazywało do Londynu zauważone wystrzały próbne – dziewięć w lutym 1944 r., osiemnaście w marcu i dużo więcej w kwietniu (*ibid*). AK dostarczało zdjęcia, zbierało odłamki pocisków i wreszcie w operacji Most III w nocy z 25 na 26 lipca 1944 r. przerzuciło części znalezione go niewypału wraz z ekspertem Jerzym Chmielewskim przez Włochy do Londynu.

Dzięki AK Anglicy zdobyli dokładne informacje o pociskach rakietowych V-2, ale właściwości V-2 nie pozwoliły im w przeciwieństwie do V-1 na zastosowanie skutecznych środków prewencyjnych. Ogółem wywiad AK przekazał do Londynu informacje o 16 zakładach przemysłowych, które produkowały pociski rakietowe lub części do nich⁵.

III WOJENNE DOŚWIADCZENIA

Zarzut przypisywania przez wywiad angielski polskich zasług na własny rachunek znalazł potwierdzenie w moich własnych doświadczeniach wojennych. Dotarłem jako emisariusz do Londynu po 34 dniach od wyjścia z Polski, w dniu 11 grudnia 1943 r., a więc w 11 dni po zakończeniu konferencji w Teheranie. Stalin wystąpił tam z okarzeniem, że cały ruch podziemny z wyjątkiem komunistów jest efemerydą, fikcją zmyśloną na własny użytek przez polski rząd w Londynie. Trudno w to uwierzyć, ale Churchill i Eden potraktowali to kłamstwo poważnie i lord Selborn, członek gabinetu wojennego, któremu podlegało SOE spełniające rolę łącznika z Oddziałem Szóstym Sztabu Naczelnego Wodza, otrzymał

5. Michał Wiśniewski, „Polacy w walce z niemiecką bronią”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1966 nr 2.

polecenie dostarczenia raportu potwierdzającego istnienie Armii Krajowej i ocenę jej użyteczności dla celów wojny, opartej na własnych angielskich źródłach, całkowicie niezależnych od informacji pochodzących od Polaków. Niezależnie od tego, Szóstka miała przedstawić osobno własny szczegółowy opis sił i działań AK. Pomimo tego zastrzeżenia jako świeżo przybyły wysłannik AK byłem godzinami przesłuchiwany przez oficerów SOE, nie wyłączając szefa Sekcji do spraw Polskich i Czechosłowackich pułkownika Harolda Perkinsa. Prowadził on przed wojną jakiś biznes na Śląsku, mówił niezłe po polsku i nastawiony był bardzo życzliwie. Odpowiadając na moje pytanie twierdził, iż w jego raporcie będzie się przede wszystkim powoływał na to, że Polacy mają najlepiej zorganizowane „komitety” przyjmujące skoczków i zrzuty broni, najlepszą, najsprawniejszą sieć tajnych radiostacji i bazy łączności w całej Europie, a także najlepiej zorganizowaną służbę kurierską. A wywiad? – zapytałem – przecież to chyba najbardziej namacalny dowód wysiłku wojennego AK. Pułkownik pominął moje pytanie milczeniem. Powróciłem do tego tematu po wojnie, kiedy spotkaliśmy się w klubie pułkownika, w pobliżu Hyde Park Corner. Perkins był już w cywilu, miał chyba do mnie jakieś zaufanie i mówił dość swobodnie. Gdy rozmowa zeszła na temat polskiego wywiadu wojennego Perkins wykrzyknął ze złością: „wkład wywiadu AK jest najbardziej zazdrośnie strzeżoną tajemnicą zawodową SIS (*Secret Intelligence Service*). Strumień informacji od Polaków był nieproporcjonalnie wielki do meldunków dostarczanych przez własną, brytyjską sieć agentów. Polacy monitorowali wszystkie transporty niemieckiego sprzętu i ludzi przejeżdżających w obu kierunkach przez Polskę. Polska siatka pokrywała całe zaplecze frontu wschodniego. Znajomość niemieckiego *Ordre de bataille* na Wschodzie opierała się głównie na tym, co przekazywali Polacy. Na podstawie dedukcji ułatwiało to szacunek sił skoncentrowanych nad Kanąłem i w Normandii. Od 60 do 70 procent informacji wskazujących cele bombardowania obiektów przemysłowych w Rzeszy dostarczali Polacy. Bezcenne usługi oddawała polska organizacja wywiadowcza we Francji. Polskie krótkofalówki nadawały po kilkanaście depeesz dziennie (według Garlińskie-

go Polacy i Francuzi wykrywali wyrzutnie V-1 we Francji, Belgii i w Holandii, niszczone na podstawie tych informacji przez RAF). Gdyby Polska była tam gdzie Francja – zakończył Perkins – a Francja tam gdzie Polska – wojna skończyłaby się o rok wcześniej.

Potwierdzenie słów Perkinsa znaleźć można w książce sekretarza W. Churchilla w latach wojny, Johna Colvilla („Strange Inheritance”), wydanej w 1983 r. Źródłem słabości amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej służby wywiadowczej – twierdzi Colvill – była rywalizacja między agencjami wywiadowczymi takimi jak w przypadku Anglii wywiad morski, wywiad lotniczy, *Secret Intelligence Service* itd. „Prawdopodobnie najlepszymi ze wszystkich uczestników tej gry okazali się Polacy”.

IV. JEDYNE ŚLADY

Jedynym śladem, który zdaje się potwierdzać dostarczanie przez Polaków informacji o Peenemünde są zachowane w Studium Polski Podziemnej w Londynie protokoły zdawczo-odbiorcze poczt kurierskich przekazywanych przez pułkownika S. Gano Anglikom. Z zestawienia tych przesyłek w pierwszym półroczu 1943 r. wynika, że w ciągu tego czasu wyszło z Warszawy w różnych kierunkach dwadzieścia kilka poczt kurierskich, z czego tylko dwie przesyłki dotarły do Berna, jedna, która szła pięć miesięcy przez Francję i Hiszpanię do Londynu i jedna przez Sztokholm. Protokoły zdawczo-odbiorcze to tylko długie kolumny cyfr i liter dla oznaczenia zawartości poczt. Nie znali jej kurierzy, których zadanie kończyło się z chwilą doręczenia na jednej z baz kłucza, pędzla do golenia, figurki świętego czy innego przedmiotu, w którym ukryte były mikrofilmy. Ponieważ według kilku źródeł pierwszy raport o eksperymentach w Peenemünde pochodzący od Polaków dotarł do Anglii w kwietniu, więc najprawdopodobniej zawarty był w poczcie dostarczonej przez załogę (łącznie z zagranicą) do „Wery” czyli Berna szwajcarskiego i przekazywane na raty w szyfrowanych depeszach radiowych nadawanych przez radiostację Poselstwa RP w Bernie

w dniach od 28 marca do 1 kwietnia 1943 r. (wywiadowcze raporty z załącznikami były zbyt długie by możliwe było nadawanie ich krótkofalówkami w kraju, szybko wykrywanych przez niemiecką goniometrię). Oczywiście nie można było przekazywać przez radio map i szkiców. Meldunki o wyjątkowym znaczeniu przekazywane były kilku drogami równocześnie. W pocztach, które wysyłane były do Londynu przez Berno i Sztokholm w ciągu kwietnia, maja i czerwca powtarzają się te same meldunki oznaczone symbolami M.181 i 184-C367 z dwustronnym załącznikiem. O tym co zawierały można się dowiedzieć docierając do oryginałów zachowanych w archiwach brytyjskich. Czy jednak zostały one zachowane i czy polscy badacze zostaną w końcu dopuszczeni do aktów, które przynajmniej z moralnego punktu widzenia stanowią bezsporne polskie mienie? Niestety, nic na to nie wskazuje. List Dyrektora Naczelnego Archiwów Państwowych, prof. Darii Nałęcz zapytujący o losy archiwum Drugiego Oddziału Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, wciąż pozostaje bez odpowiedzi. Wysłany był 21 września 1998 r., a więc półtora roku temu i jak dotychczas potwierdzony został jedynie odbiór pisma. Wciąż czeka na odpowiedź podobne zapytanie zamieszkałego w Londynie historyka Jana Ciechanowskiego, skierowane do ministra spraw zagranicznych Cooka.

Historykowi amerykańskiemu, który interesował się marginalnie tym tematem odpowiadano, że wydarzyło się nieszczęście. Wkrótce po wojnie w archiwach wybuchł pożar i polskie depesze i raporty spaliły się. Wydaje się jednak, że był to pożar bardzo selektywny. Oficjalna historia brytyjskiego wywiadu w II wojnie światowej świadczy, że dokumentacja dotycząca wojennego wywiadu jest niezwykle bogata i przechowywana z największą pieczołowitością.

Ta biała plama może być zlikwidowana tylko w rozmowach na najwyższym szczeblu rządowym. Zarówno rząd Rzeczypospolitej jak też badacze-historycy powinni uczynić wszystko dla wyjaśnienia sprawy. Te tysiące meldunków, depesz, szkiców, informacji, okupione zostały śmiercią i męką nieznanymi żołnierzom podziemia, kurierów i łączniczek, gilotynowanych w Moabicie albo zakatowanych w innych

miejscach kaźni. Owoce ich ofiary i krwawej walki muszą być odzyskane, ujawnione i utrwalone.

Sprawa ta nie powinna naruszyć przyjaźni polsko-angielskiej. Prawda, że Polacy którzy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich w czasie między Teheranem i Jaltą przeżyli najbardziej gorzkie chwile swego życia. Nie wolno jednak zapominać, że gdyby nie heroiczny, samotny i zdawałoby się beznadziejny opór Anglii po klęsce Francji wojna skończyłaby się zwycięstwem hitlerowskich zbrodniarzy. Polska inteligencja padłaby ofiarą totalnej eksterminacji a robotnicy i chłopci staliby się niewolniczą siłą roboczą na usługach narodu panów.

Przeżyłem w Anglii pierwsze lata powojenne. Nauczyłem się rzemiosła radiowego w BBC, które nadając do Polski audycje nieprzerwanie od 6 września 1939 r. aż po dzień dzisiejszy, oddało Polsce nieocenione usługi. Żyjąc wśród Anglików przekonałem się, jak głęboko zakorzenione jest w tym społeczeństwie poczucie *fair play*, czyli poszanowania reguł gry opartych na zasadach uczciwości i sprawiedliwości. Właśnie w imię *fair play* rząd Polski powinien zaapelować o pełen dostęp do zatajanych przez Anglików polskich dokumentów albo ujawnienia i potępienia sprawców zbrodni, jaką byłoby ich zniszczenie.

Jan NOWAK-JEZIORAŃSKI



Wyjątki z przemówienia p. Josepha JEDD'a, wygłoszonego na konferencji w San Francisco, zorganizowanej przez 6-tą Armię Amerykańską w Rocznice D-DAY.

Jest to szeroki temat. Napisano wiele książek o działalności polskiego wywiadu przed i po wybuchu drugiej wojny światowej. Polski wywiad pracował w okupowanej Polsce, w Niemczech, Francji, Północnej Afryce, Portugalii, na Bałkanach, w Turcji i w neutralnej Szwajcarii.

Ograniczę się tylko do dwóch tematów i będę się starał mówić jasno i przedstawić je bez zniekształceń i przesady. Zaczynam również mówić w odwrotnym do ich znaczenia porządku.

Zaczynając od Vergeltungswaffen czyli broni odwetowej, jak Hitler nazwał rakiety V-1 a zwłaszcza V-2, musimy pamiętać jak straszną bronią były rakiety V-2. Kierowane za pomocą radia, miały około 47 stóp długości i pięć stóp średnicy. Zasięg ich wynosił 200 mil, osiągały wysokość 90 mil i szybkość 900 mil na godzinę. Przy takiej szybkości były niedosłyszalne dla ludzi w miejscu, gdzie miały wybuchnąć.

Gdy 8 września 1944 pierwsze V-2 spadło na dzielnicę Londynu Chiswick, zniszczyło 19 domów, zabiło dziesiątki ludzi i pozostawiło krater głębokości 30 stóp. Przerazone władze brytyjskie natychmiast zabroniły mediom mówić o sile wybuchu i zniszczeniu. Dopiero po dwóch miesiącach ludność brytyjska dowiedziała się czegoś o niszczycielskiej broni.

Co by się stało, gdyby Hitler miał ją wcześniej? Dlaczego wcześniej jej nie użył? Ile ludzi byłoby zginęło? Czy byłoby możliwe skoncentrowanie wielkiej ilości wojska potrzebnej na inwazję Kontynentu?

Kiedy Wernher von Braun pokazał Hitlerowi wystrzelenie V-2 na kolorowym filmie, Hitler, nieskłonny do okazywania emocji, zerwał się z krzesła i ściskając rękę Brauna w największym podnieceniu, powiedział: „Oto jest decydująca broń wojny. Ludzie nigdy tego nie wytrzymają. Gdybym miał tę broń w 1939 roku, byłoby dziś po wojnie!”

Polski wywiad doniósł wczesną wiosną 1943r., że naziści produkują nową, tajemniczą broń w Peenemünde na wyspie Uznam na Bałtyku. Późniejsze polskie raporty i mapy, doręczone brytyjskiemu wywiadowi były bardziej precyzyjne i stwierdzały, że w budowie są makiety zdolne do masowego zniszczenia.

Brytyjczycy przekonani o prawdziwości tych doniesień i mając potrzebne informacje, 17 sierpnia 1943 r. zbombardowali i zniszczyli stację doświadczalną V-1 i V-2 w Peenemünde. 433 bombowce zrzuciły 1600 ton bomb i 280 ton bomb zapalających. Akcja ta miała kryptonim HYDRA. Nad Peenemünde zginęło 40 bombowców i jeden Mosquito nad Berlinem. Wspominam Berlin dlatego, że cała akcja była prowadzona tak, jakby chodziło o regularny nalot na Berlin. Dla Niemców był to wtedy cios znacznie większy niż to sobie alianci wyobrażali. Gen. Hans Jeschonek, szef sztabu niemieckiego lotnictwa, Luftwaffe, który powinien był zapobiec temu bombardowaniu, popełnił samobójstwo, zostawiając list: „Nienawidzę Goeringa, Heil Hitler”. Herman Goering był naczelnym zwierzchnikiem Luftwaffe.

Hitler natychmiast powierzył całą odpowiedzialność za pro-

dukcję tych pocisków Heinrichowi Himmlerowi, ministrowi spraw wewnętrznych Reichu i dowódcy potężnego i groźnego SS. Himmler w błyskawicznym tempie przeniósł produkcję tej broni do głębokich tunelów w górach Harzu. Próby były jednak konieczne i były przeprowadzane w Polsce, poczynając od października 1943. Oficerowie polskiego wywiadu, którzy dowiedzieli się o próbach V-1 i V-2 od Armii Krajowej, zawiadomili Brytyjczyków, że wiedzą, gdzie próby będą robione i Brytyjczycy, pewni, że Polacy mogą wszystko zrobić, zapytali czy przypadkiem nie mogliby ukraść jednej V-2 i przysłać do Anglii. Polskie podziemie właśnie to zrobiło: ukradło raketę V-2, najbardziej strzeżony sekret Trzeciego Reichu.

Stało się to wtedy, gdy jedna z rakiet wylądowała w czasie próby na błotnistym brzegu Bugu, nie wybuchając. Żołnierze polskiego Podziemia właśnie czekali na taki moment i zakamufłowali raketę. Gdy patrole niemieckie przestały jej szukać, Polacy wyciągnęli w nocy za pomocą sześciu koni raketę, która ugrzęzła w błocie i schowali ją w pustej stodole. Później czterech polskich specjalistów naukowych rozebrało ją i zapakowało do pustych beczek. Czekaając na samolot, który Anglicy obiecali przysłać, Polacy studiowali system kierowania (rakiet). Gdy w końcu samolot – Dakota C47 – przyleciał z por. Cullifordem jako pilotem, załadowanie do niego ciężkiego ładunku i czterech polskich specjalistów odbyło się gorączkowo z powodu bliskości Niemców.

Motorom Dakoty C47 trudno było podnieść ciężki samolot z mokrego, błotnistej pola. Podczas licznych prób startu, ukazały się dalekie światła niemieckiego samochodu na sąsiedniej drodze. Zdenerwowanie obecnych rosło i por. Culliford wydał rozkaz wysadzenia w powietrze samolotu za pomocą przygotowanego dynamitu. Ale około stu obecnych członków armii podziemnej wyprosiło jeszcze jedną próbę startu. Gołymi i krwawiącymi rękami rozgarniali błoto, aby samolot mógł ruszyć. Ostatnia szansa. Ostatnia próba. W końcu koła ruszyły i powoli zaczęły się toczyć po prowizorycznym pasie startowym. C47 uniósł się w powietrze ze swym cennym ładunkiem. Obecni Polacy szybko zniknęli w pobliskich lasach, jakich Niemcy unikali, zwłaszcza w nocy.

Niektórzy historycy uważają, że nieprawdopodobna operacja spadochronowa „Market-Garden”, która miała zabezpieczyć mosty na Renie i zdobyć Arnhem, została przyspieszona przez dwa zdarzenia. Jednym z nich było mianowanie gen. Bernarda Montgomery Polnym Marszałkiem, a drugim oczekiwane bombardowanie pociskami V-2. Trzy spadochronowe dywizje i jedna

polska brygada miały zniszczyć wyrzutnie groźnych V-2. Niestety, operacja skończyła się sromotną klęską, chociaż Marszałek Montgomery bronił jej w swoich pamiętnikach.

Niemiecki gen. Fritz Kraemer szybko przerzucił rakiety V-2 do centrum Hagi, w Holandii, gdy tylko operacja „Market-Garden” została zatrzymana przez Niemców, i V-2 zaczęło znowu spadać na Londyn i na Antwerpię. Ale ataki te nie trwały długo, były to ostatnie konwulsje zdychającej niemieckiej bestii. Ostatnia rakietą V-2 spadła na Londyn 27 marca, zabijając 127 niewinnych ludzi.

Co by się stało, gdyby Niemcy mieli V-2 o rok wcześniej? Przepraszam, że powtarzam to retoryczne pytanie na koniec pierwszej części mojego opracowania, ale jeśli się nad tym nie zastanowić, mówiłbym na próżno.

Drugim moim tematem jest Enigma. I na ten temat napisano już wiele książek. Niektóre z nich, jak „Seizing the Enigma” Davida Kahna uczciwie i sprawiedliwie rozważają sprawę, ale wielu innych autorów szybko i niedokładnie załatwia się z prawdą o tym jak niemieckie szyfry zostały złamane. Są nawet tacy, jak Squadron Leader Frederick W. Winterbotham, szef wywiadu lotnictwa przy MI-6 i gen. Kenneth W.D. Strong, Anglik dobrze poinformowany jako szef wywiadu alianckiego – przy gen. Eisenhowerze, którzy zdecydowali się kłamać na temat Enigmy, zapewne na chwałę swego kraju. Michel de Montaigne, XVI-wieczny filozof powiedział: „Gdyby kłamstwo, tak jak prawda, miało tylko jedną twarz, byłibyśmy na równych prawach. Ale przeciwieństwo prawdy ma setki tysięcy twarzy i niezmierzone pole działania”.

Jestem w pełni świadomy, że moje zdanie o tych panach, którzy nie trzymali się prawdy, jest raczej mocne, ale jeśli weźmie się pod uwagę, że byli blisko dobrze poinformowanych osób: Alastaira Dennistona, który przed drugą wojną światową jako kapitan, był wysłany do Warszawy, aby zebrać materiały o Enigmie, uzyskane przez polski wywiad; Alfreda Dilvyna Knoxa, znanego angielskiego kryptografa; Humphrey’a Sandwitha i gen. Sir Stewarda Grahama Menziesa, szefa sławnej brytyjskiej MI-6 – trudno przypuścić, żeby nie wiedzieli, że to właśnie byli ludzie, którzy razem ze zbudowaną przez Polaków Enigmą przywieźli teoretyczne i praktyczne wiadomości o niej w lipcu 1939 do rządowej Code And Cipher School w Bletchley Park w Anglii. Jako komentarz do tego, dodaję moje ulubione powiedzenie: „Kiedy tylko wybijesz się w świecie, strzeż się osobników, którzy będą chcieli cię wymazać”.

Praca w ukryciu jest bardzo niewdzięczna. Tak łatwo odebrać jednym zasługę i przypisać ją innym, co niestety często się zdarza. Nie ma różnicy zdań wśród historyków, że wywiad w Bletchley Park był dosłownie bezcenny i – według gen. Eisenhowera – niezmiernie ułatwił jego zadanie, jako dowodzącego aliancką armią, która dokonała desantu we Francji w czerwcu 1944. Potwierdził to w swoim liście z lipca 1945 do gen. Stewarda Menziesa.

W książce Winterbothama pt. „The Ultra Secret” czytamy: „Gdy moja książka już była skończona, polscy oficerowie, mieszkający obecnie w Brytanii, oświadczyli, że polski wywiad zbudował szereg maszyn Enigma na podstawie informacji, uzyskanych z fabryki w Niemczech i przy pomocy własnych kryptografów. Prawdopodobnie jedna z tych maszyn została nam dostarczona. Jest to zapewne prawda i niewątpliwie polscy matematycy i technicy wykazali świetną umiejętność i wielką odwagę, ale wersja, którą ja podałem, zgadzała się z tym co mi przedtem powiedziano”.

Proszę mi pozwolić powiedzieć prawdziwą historię Enigmy. Pierwsza z nich została wynaleziona i opatentowana jako Gehelmschifmaschine w 1919 r. przez Holendra Hugo Kocha z Delft. Nie miał on możliwości zbudowania prototypu i sprzedał swój patent Niemcowi, mieszkającemu w Berlinie, Scherbiusowi, który zbudował prymitywny model motorowej maszyny szyfrowej i nazwał ją Enigma. Maszyna ta była wystawiona na widok publiczny w 1924 r. Jemu też się nie powiodło i sprzedał patent Enigmy innej kompanii, Heimsoeth & Rinke. W owym czasie maszyny Enigmy mógł sobie każdy kupić. Dopiero po latach Wehrmacht doszedł do przekonania, że nie leży w ludzkich możliwościach złamanie szyfru Gehelmschifmaschine. Ostateczny, udoskonalony model z wymiennymi częściami („plug boards and discs”) powiększył liczbę możliwych permutacji do 10,5 quadrylionów. Według jednego obliczenia, jeśli tysiąc kryptologów, każdy z jedną Enigmą, próbowałoby cztery klucze na minutę przez cały dzień, każdego dnia – zespół potrzebowałby 1,8 biliona lat, by wypróbować wszystkie.

Do 1945 r. zostało zbudowanych 120 tysięcy Enigmy dla Wehrmachtu, SS, SD, policji i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Enigma stała się oficjalną Chifriermaschine dla całego totalitarnego państwa niemieckiego i była używana na lądzie, w powietrzu i na morzu przez sztab Hitlera, wywiad polityczny i służby bezpieczeństwa, Abwehrę i wszystkie służby Wehrmachtu.

Szyfry wcześniejszej wojskowej Enigmy zostały już przedtem

złamane przez polskich matematyków: Mariana Rejewskiego, Jerzego Różyckiego i Henryka Zygalskiego, którzy starali się rozebrać i zrozumieć coraz bardziej komplikowaną przez Niemiec wynalazców maszynę.

Pomoc nadeszła z niespodziewanej strony, z Niemiec przez Francję. Do francuskiego kapitana Gustave'a Bertranda (poźniejszego generała) z francuskiego Drugiego Oddziału, zwrócił się niemiecki urzędnik głównego kryptograficznego urzędu Trzeciej Rzeszy. Jego brat, Rudolf, był podpułkownikiem. Urzędnik nazywał się Hans Schmidt a Francuzi zaszyfrowali jego imię jako „Asch”. Dostarczył on bardzo cenną kolekcję pomocniczych materiałów takich jak podręcznik tajnych instrukcji jak używać maszynę, tekst zaszyfrowany i jego oryginalną wersję. Kpt Bertrand przekazał te dokumenty do swojego biura, ale francuscy kryptolodzy nie wiedzieli w jaki sposób te papiery mogą być zużytkowane. Wtedy zwrócił się do wybitnego angielskiego kryptologa, A.D. Knoxa, który zajmował się Enigmą w W. Brytanii. Kpt. Bertrand wiedział również, że polscy kryptolodzy osiągnęli już duże rezultaty w badaniu Enigmy i dostał pozwolenie, by te cenne materiały przekazać polskim matematykom z wywiadu kryptograficznego departamentu BS-4, który mógłby natychmiast robić użytek z tych cennych dokumentów. Mając instrukcje, Polacy zdecydowali się zbudować bardziej skomplikowaną Enigmę. W rzeczywistości, pewna liczba takich maszyn została zbudowana w największym sekrecie przez firmę AVA w Warszawie. Istnienie takich maszyn było absolutnie niezbędne do konstrukcji cyklometra i „Bomby”. Była to szafka 8 stóp wysokości i 8 szerokości u podstawy. Na dnie miała uzbrojenie elektryczne, które odpowiadało prądowi elektrycznemu Enigmy. Pracował nad tym Marian Rejewski, matematyk o prawdziwie genialnym umyśle.

Gen. Gustave Bertrand napisał w swych pamiętnikach: „Tylko im (Polakom) należy się pełna chwała za fachowe kierownictwo w tej nieprawdopodobnej historii. Tylko dzięki ich niezrównanej wiedzy i wytrwałości mogli pokonać trudności, które – według przekonania Niemców – były nie do przezwyciężenia”.

Niemiec, P. Fischer, w swym artykule pt. „Die Raisemashine” napisał we Frankfurcie w 1975 r. że teorem Rejewskiego był dziełem absolutnego geniuszu.

W lipcu 1939 Polacy, wiedząc, że wojna jest nieunikniona, zaprosili Francuzów i Brytyjczyków na konferencję w miejscu polskiego wywiadu w lesie w Pyrach pod Warszawą i wręczyli Anglikom wszystko co dotyczyło Enigmy. Ze strony francuskiej był obecny kpt. Bertrand i jego ekspert kryptolog Henri

Braquenie, a z Anglii A. Deniston, A.D. Knox i H. Sandwith. Gospodarzami byli Gwido Langer, szef polskiego kontrwywiadu BS-4, Maksymilian Ciężki i trzech młodych matematyków, o których już była mowa: Rejewski, Różycki i Zygałski. Goście zostali oprowadzeni po najtajniejszych kryptologicznych urządzeniach w dobrze strzeżonym ośrodku. Pokazano im Enigmę, zbudowaną przez Polaków, cyklometr i pierwszą polską „Bombę”. Gdy Rejewski wyjaśnił gościom jak może odczytać wiadomości, nadawane przez Niemców w dwie godziny od chwili ich odbioru, zdumieni goście wymienili między sobą niedowierzające spojrzenia. W końcu Dennison zapytał czy może przysłać brytyjskich kryptologów i ich techników, by mogli skopiować Enigmę, zbudowaną przez Polaków. Gościom trudno było przyjść do siebie, gdy im powiedziano, że nie będzie to potrzebne, gdyż zarówno Brytyjczycy jak i Francuzi dostaną maszynę jako prezent od polskiego sprzymierzeńca.

Wiemy dzisiaj jak niezmiernie cenną pomocą była Enigma podczas wojny. Dzięki Enigmie, alianci wiedzieli wszystko o niemieckich planach politycznych i wojskowych jak i o ruchach niemieckiej armii.

Gdy wojna się skończyła, F.W. Winterbotham zwrócił się do wszystkich alianckich dowódców i ich sztabów, prosząc, by nie zdradzali źródła informacji, jakie otrzymują. Enigma była wciąż otoczona tajemnicą. Nawet dzisiaj, po 50 latach, niektóre fakty jej dotyczące są zazdrośnie strzeżone i zachowane w tajemnicy. Nie sądzę, by chodziło tu o powstanie Enigmy, skoro istniało na to mało dowodów, które mogły być być łatwo zniszczone. Niektórzy historycy przypuszczają, że w kilku ostatnich miesiącach wojny niektóre działania były bardzo i niewybaczalnie spartaczone i wyjawienie ich dzisiaj przemieniłoby bohaterów w przestępców.

I znowu pytanie. Co byłoby, gdybyśmy nie byli mogli odczytywać nazistowskich rozkazów? Gdybyśmy nie mieli obliczeń Rejewskiego, które pomogły złamać Enigmę? Myślę, że nawet gdybyśmy nie odczytywali nazistowskich rozkazów, nawet jeśli naziści zwyciężaliby na wszystkich frontach aż do letnich miesięcy 1945, najprawdopodobniej bomba atomowa byłaby wybuchła nad Berlinem przed Hiroszimą i tak czy owak wojna byłaby się wtedy skończyła.

Gdy mnie niedawno zapytano czy jako stary człowiek mam jakieś filozoficzne uwagi na temat wojny, odpowiedziałem, powtarzając to co od kogoś kiedyś usłyszałem: „W końcu nie ważne jest kto miał rację. Ale na pewno ważne jest kto pozostał”.

Hanna ŚWIDERSKA

Z DZIEJÓW POLSKIEJ PRASY W ANGLII*

Formowanie się prasy emigracyjnej, 1946-47

Koniec wojny przyniósł zniesienie cenzury prasy w Anglii i pozwolił nieco powiększyć przydziały papieru. Co więcej, znikła możliwość nacisku na krnąbrne czasopisma, jaką podczas wojny stanowiła groźba odebrania papieru. W listopadzie 1945 wyszły nowe przepisy racjonowania tego cennego towaru i odtąd wolno było wydawać periodyki i biuletyny, o ile nie zużywały więcej niż 8 cwt (hundredweight – 50,8 kg) papieru na kwartał. Umożliwiło to nakłady ok. 2 tys. egzemplarzy małego formatu co 2 tygodnie. Co więcej, czasopisma, które istniały w r. 1940 otrzymały prawo do dodatkowego przydziału na podstawie indywidualnej licencji¹. Ograniczenia papieru przetrwały jednak aż do 1955 r. wskutek kryzysu dolarowego, który ciężko dotknął wyczerpaną wojną Anglię, oraz wojny w Korei, która ograniczyła import.

Zniesienie cenzury jednak nie rozluźniło nadzoru nad

* Artykuł oparty na materiałach Foreign Office. Nawiązuje do moich poprzednich opracowań: „Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45”, „Z dziejów polskiej prasy w Anglii 1944-45” i „Z dziejów polskiej prasy w Anglii. Likwidacja prasy 2 Korpusu” w *Zeszytach Historycznych* nr 101 (1992), nr 115 (1996) i nr 126 (1998).

1. FO 371/56500: N 4573; FO 371/66144: N 6270.

polską prasą niepodległościową. Choć władze angielskie były mocno zaniepokojone adoracją Wielkiego Alianta w swych mediach i opinii publicznej, będącą skutkiem ich własnej propagandy z czasów wojny, to polskie czasopisma były jednak źle widziane wskutek ich roli w zniechęcaniu swych odbiorców do powrotu do „wyzwolonej” Polski. „Kontrolowanie” ich utrudniały jednak nowe przepisy o przydziale papieru i oficjalna propaganda swobody informacji.



W tych warunkach formowała się prasa emigracyjna. Z czasów wojny przetrwał *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* oraz *Polska Walcząca* – oba uprzywilejowane dzięki swej magicznej dacie 1940. Niepokój *Dziennika* o jego pozycję na rynku emigracyjnym zagrożoną możliwością zjechania do Anglii prasy 2 Korpusu, skłonił jego filary Tadeusza Horkę (redaktor *Dziennika* 1947-59) i Leszka Kirkiena do zadeklarowania chęci pomocy Anglikom w możliwie bezkonfliktowej demobilizacji Korpusu. 4 VI 1946 złożyli wizytę Frankowi Savery, nieoficjalnemu „polskiemu ekspertowi” w ścisłej współpracy z Północnym Departamentem Foreign Office. Pragnęli mianowicie wyjaśnić stosunek gospodarzy do prasy Korpusu, przy czym Kirkien podkreślił, że mimo nacisku „londyńskich Polaków” *Dziennik* jest chętny informować członków sprowadzanego tu Korpusu o sprawach angielskich i w tym celu pragnie zapewnić sobie dystrybucję w obozach wojskowych oraz papier na zwiększenie nakładu².

FO nadal roztaczało baczny nadzór nad polską prasą na swym terenie i jego dział badań (FO Research Department) jak dawniej sporządzał sprawozdania o jej zawartości. W 1946 r. obejmowały one *Dziennik Polski*, *Trybunę* (organ NiD-u), *Myśl Polską* (Stronnictwo Narodowe – od dawna cież w boku FO podczas wojny nieraz zagrożony odebraniem papieru), *Światpol Press Information Bulletin*, *Nową Polskę*, *Myśl Lotniczą*, *Biuletyn Lotniczy*, Mikołajczykowskie i subwencjonowane przez Anglików (!) *Jutro Polski* oraz

2. FO 371/56501: N 7374.

Polskę Walczącą, która – co gorsza – w maju tego roku zaczęła wydawać miesięcznik literacki pod wieloznacznym tytułem *Przed świtem*³. Polish Press Report szybko poinformował Departament Północny o jego pożałowania godnym charakterze: „Choć jego ogólny ton jest na ogół umiarkowany, to jego ogólnym dążeniem jest utrzymać polskie wojsko z dala od Polski i zachęcić je do przygotowania się duchowo i fizycznie do nowej wojny z Rosją... Całe nastawienie tego pisma jest przeciwne brytyjskiej polityce zachęcania polskiego wojska do powrotu do Polski”. Nowe pismo powitał również protest reżymowej ambasady w FO⁴.

W r. 1947 lista obejmowanych nadzorem Polish Press Reports rozszerzyła się o miesięcznik *Przegląd Polski*, tygodnik *Na przelomie* (organ 1 Korpusu), dziennik *Słowo Polskie*, organ PPS *Robotnik Polski* (wychodzący podczas wojny i zamknięty w 1945 przez odebranie papieru), *Przed świtem* i *Biuletyn Informacyjny Koła AK*. Mniejsze zainteresowanie FO budziły „nadal wychodzące i rzadko budzące zastrzeżenia, a więc nie przewidziane do dalszego nadzoru” *Bellona* (Instytut im. Gen. Sikorskiego), sympatyzująca z Warszawą *Nowa Polska*, *Polska na morzach*, *Poradnik Świetlicowy* (YMCA), *Wiadomości Polskiej Misji Katolickiej* i *Biuletyn Stowarzyszenia Polskich Techników w Wielkiej Brytanii*⁵. Nadzór nad głównymi grzesznikami teraz przejął Savery. Były to *Polska Walcząca*, *Wiadomości* (obecnie „bezprymiotnikowe”) oraz *Lwów i Wilno*. Przesyłał on uwagi o ich zawartości, wraz z tłumaczeniami najdrażliwszych tekstów, R.N. Hankeyowi, znawcy spraw polskich w Północnym Departamencie. Obaj panowie szczególnie interesowali się działalnością St. Mackiewicza, Zygmunta Nowakowskiego i Hemara⁶.

Mackiewicz, którego deportacji lub przynajmniej internowania domagała się podczas wojny sowiecka ambasada, skorzystał z nowych ulg „papierowych” by wreszcie zacząć wydawać własne pismo zamiast słynnych broszur wojennych

3. FO 371/56501: N 7813.

4. FO 371/56472: N 7075, N 7865.

5. FO 371/66204: N 704.

6. FO 371/66204: N 1407.

na pokątnie zdobytym papierze. W listopadzie 1946 ruszył nader irytujący gospodarzy tygodnik *Lwów i Wilno*, który przedstawił się czytelnikom jako pismo „niezależne, z otwartymi łamami dla tych wszystkich, którzy szukają drogi do odzyskania wolności Wilna i wolności Lwowa, bez różnicy poglądów partyjnych, społecznych czy poglądu na przeszłość polityczną Polski”. Savery próbował uspokoić Hankeya, że – jak dowiedział się od jakiegoś Polaka – „Mackiewicz jest obecnie zdyskredytowany wśród polskiej emigracji. Wątpię czy jego pismo i jego artykuły mają większy wpływ na jego rodaków na Zachodzie, ale słyszę że jego artykuły – a być może w większym nawet stopniu Zygmunta Nowakowskiego – cytuje reżymowa prasa w Polsce (jak gadzinówki podczas okupacji niemieckiej! – H.S.) dla poparcia swych napadów na nas i naszą polską politykę”⁷.

W tych latach polskiej „kolonizacji” Wysp Brytyjskich Edward Raczyński pełnił rolę nieoficjalnego rzecznika wobec władz angielskich, toteż zaniepokojony Hankey zwrócił się doń w sprawie Mackiewicza: „Wiem oczywiście, że Mackiewicz zawsze był nieobliczalny i niepodatny na jakąś kontrolę i racjonalne myślenie, ale teraz jestem dość poruszony jego poczynaniami, które – jak sądzę – są obliczone na wywołanie uraz między polską i brytyjską opinią publiczną... Oczywiście zaślepia go wściekłość z powodu utraty wschodnich ziem i jest ciężko zawiedziony tym co się stało, łącznie z cofnięciem uznania rządowi londyńskiemu i ugodą jałtańską. Faktycznie wszyscy jesteście zawiedzeni, zwłaszcza że zostaliśmy skandalicznie oszukani co do Jałty. Ale oskarżanie nas o oszustwo jest przewrotne i nie pojmuję co to da Polakom, a zaszkodzi Mackiewiczowi jeśli będzie dalej szedł w tym kierunku. Jego gazeta może nie jest tutaj zbyt poczytna, ale co jakiś czas jest cytowana w Polsce i warszawska propaganda może ją przedstawiać jako rzecznika polskiej opinii publicznej w Wielkiej Brytanii”. Hankey prosi więc Raczyńskiego o wyjaśnienie czy ktokolwiek jest w stanie nań wpłynąć – „nawet Pragier nie może chcieć żeby wypisywał takie rzeczy i może by pomógł”. Raczyński odpowiedział, że Pragier też

7. tamże.

jest bezsilny i obiecał rozmówić się z winowajcą⁸. Niewiele to dało. *Lwów i Wilno* cieszyło się współpracą wybitnych piór i przetrwało do jesieni 1950 r.

Największym jednak ewenementem w pionierskich latach prasy emigracyjnej było zmartwychwstanie *Wiadomości* zlikwidowanych przez Anglików w lutym 1944 r. Korzystając z nowej sytuacji „papierowej” wznowiły działalność w kwietniu 1946 r. w objętości 2 stron i nakładzie 700 egzemplarzy. Drukowała je londyńska firma William Lea Co, a od 21 IX 1947 La Colonne w Brukseli (gdzie również wychodził *Orzeł Biały*). Jej trzon stanowiła niemiecka drukarnia partyjna ukryta w okolicy Wilhelmshaven i w r. 1945 skonfiskowana przez Polaków do użytku *Dziennika Żołnierza i Dywizji Pancerniej*, przeniesiona do Brukseli przez Rolanda Węckowskiego (byłego konsula w Królewcu) i uruchomiona przy fachowej pomocy drukarza Edmunda Golla z *Dziennika Żołnierza*. *Wiadomości* zwabiła do Brukseli osiągalność papieru na tamtejszym rynku, co umożliwiło wydawanie czterostronicowych numerów. We wrześniu 1950 *Wiadomości* powróciły do Londynu.

Pismo to szybko znów wzbudziło niezadowolenie gospodarzy. Savery ubolewał, że tym razem nie da się go zlikwidować przez odebranie papieru i choć osoby jego wydawców nie rokują nic dobrego: „właścicielem *Wiadomości* jest człowiek rasy żydowskiej nazwiskiem Borman, który nie jest zbyt inteligentny i nie ma większego znaczenia. Redaktorem od wielu lat jest Grydzewski, również żydowskiej rasy. Jest to człowiek najbardziej ograniczony i uparty jak muł jakiego kiedykolwiek widziałem”⁹. Nic więc dziwnego, że w piśmie ukazywały się bluźnierstwa w rodzaju wiersza Hemara „Dawid i Goliat” w nrze z 29 XII 1946, który Savery przesłał do Hankeya:

...Nie mieliście przyjaciół
Wierniejszych ani szczerzych,
Skwapliwszych do wysługi,
Do umierania pierwszych.

8. FO 371/56500: N 1407, N 1703.

9. FO 371/66144: N 1705.

*Nie mieliście przyjaciół
Bardziej od nas oddanych,
I bardziej ufających
I bardziej zaufanych.
I nikogo na świecie
W tej świętej wojnie bożej
Nie skrzywdziliście bardziej,
Nie zawiedliście gorzej...*

Rozgoryczenie Polaków w Anglii Savery przypisywał nie Jaćcie, tylko brakowi zainteresowania Anglików losami byłych polskich jeńców wojennych w Niemczech i odmowie wpuszczenia ich do Anglii. Niezadowolenie Polaków miało też wynikać z wrogiego stosunku angielskich związków zawodowych do szukających pracy członków PKPR, a także z ciężkich warunków w obozach wojskowych, szczególnie dotkliwych dla przybyszów z południa¹⁰.

Jeszcze bardziej obraźliwy był artykuł Włodzimierza Karpuszki „O liście p. Dereka Selby” w *Wiadomościach* z 19 I 1947. Ten dziennikarz angielski, świeżo wydany z Polski, 7 XII 1946 ogłosił list w *The Times*, w którym twierdził, że odmowa powrotu przez żołnierzy gen. Andersa jest wielkim osiągnięciem rządu warszawskiego, bo gdyby wrócili, to by głosowali przeciw niemu. Przez rok pobytu w Polsce Selby nie widział pociągów wywożących więźniów na Sybir, pogłoski które powstrzymywały Polaków od powrotu. Tymczasem wracający „prosi ludzie” (ale nie oficerowie) nie są w Polsce gorzej prześladowani niż reszta ludności i dla własnego dobra powinni wrócić.

Odpowiedź Karpuszki była ostra: „Już takich zapewnień bez jakiegokolwiek pokrycia nasłuchaliśmy się do przesyty od byłego premiera brytyjskiego... gdy odmieniał dla nas we wszystkich przypadkach słowa ‘suwerenność’, ‘niezawistość’, ‘niepodległość’, ‘wolność’, ‘bezpieczeństwo’, ‘spokój’, ‘szczęście’ i uroczyście zapewniał, że czynami dowiedzie o prawdziwości tych obietnic... My do tutejszych beczek śmiechu i baraków nie wpraszailiśmy się i nie po łaskę tu przybyli... Do chleba, dachu i pracy mamy nie mniejsze prawa niż brytyjscy obywatele”.

10. FO 371/66144: N 404.

Savery obdarzył Hankeya streszczeniem tego artykułu, a ten znów poprosił Raczyńskiego o interwencję w redakcji¹¹.

W tych warunkach Hankey był zaniepokojony wzrostem nastrojów antybrytyjskich wśród tutejszych Polaków podjudzanych przez *Wiadomości* i *Lwów i Wilno* i obawiał się, że doprowadzi to do powstania jakiejś polskiej 5 kolumny pod egidą reżymowej ambasady. Zachęcał więc Savery'ego do baczego śledzenia tej prasy, którą jakoś trzeba będzie przykrócić jeśli będzie szerzyć nienawiść do Anglii¹². Ze swej strony ambasada w swej gazecie *Tygodnik Polski* próbowała mącić przeciw PKPR oskarżając Anglię o powstrzymywanie PSZ od powrotu i twierdząc (skądinąd słusznie! – H.S.), że Polacy są teraz w Anglii niepożądani i dostają najgorszą pracę¹³.

Wreszcie sytuacją zaniepokoił się sam Bevin i polecił Północnemu Departamentowi zbadać stan polskiej prasy w Londynie i opracować plan ograniczenia lub zamknięcia gazet tutejszego polskiego rządu. W maju 1947 Hankey przedłożył mu opinię swego departamentu: „W aktualnej sytuacji prawnej nie istnieje żaden sposób zamknięcia gazet. Nie znamy żadnej gazety wydawanej obecnie przez rząd Raczkiewicza... Co do dzienników, które rzeczywiście nie darzą sympatią Warszawy *de facto* my używamy ich do ogłaszania pożytecznego materiału i informowania Polaków na naszym terenie...

Warto – jak sądzę – dodać, że nasz Departament Prasowy jest bardzo zaniepokojony skutkami odebrania licencji, co mogłoby spowodować bankructwo, a to w niektórych wypadkach równałoby się ich zamknięciu. Uważa on, że to by wywołało kłopotliwą wrzawę polityczną, co teraz jest jak najbardziej niepożądane wobec naszego stanowiska w Komisji Praw Człowieka w sprawie swobody informacji”¹⁴.

Dalsze losy prasy emigracyjnej potoczyły się bez zakłóceń ze strony gospodarzy.

Hanna ŚWIDERSKA

11. FO 371/66144: N 1705.

12. FO 371/66144: N 256.

13. FO 371/66144: N 85.

14. FO 371/66144: N 6270.

Janusz DUNIN-HORKAWICZ

JAK SZANOWAĆ LITWĘ?

NURTY WILEŃSKIEGO MYŚLENIA

Na fali ogólnej liberalizacji poczęli zbierać się i organizować w kraju kresowiaczy. Spotkanie konstytucyjne wilnian odbyło się na Uniwersytecie Toruńskim w styczniu r. 1989. Goście przybyli licznie, nastrój był podniosły, zapął do działania ogólny. W ten sposób powstało Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Ziemi Wileńskiej. Złożono deklarację uznania istniejących granic, ale większość głosów w dyskusji za główne zadanie nowego Towarzystwa uznawało troskę o odbudowę polskiego stanu posiadania na ziemiach przez nas opuszczonych, co w praktyce działania miało oznaczać zwykle bezrefleksyjne popieranie działań Polaków pozostających na Litwie.

Mój głos należał do mniejszości, która inaczej widziała zadania takiej organizacji. Również doceniała potrzebę forum dla działania ludzi, których korzenie pozostały na ziemiach Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale kładłem nacisk na dwie sprawy:

Po pierwsze to, aby kulturowe tradycje ludzi ukształtowanych na danych ziemiach kresowych stały się żywym składnikiem świadomości współczesnych Polaków. Wydawało mi się przeto celowe odbudowanie więzi ludzi o podobnych doświadczeniach, zbadanie i opisanie spraw wiążących się z dawnymi kresami, zgromadzenie wspomnień i rozproszonych pamiątek. Tu widzieliśmy nie tylko problem odbudowy mię-

dzyludzkich więzi, ale też podsumowania tego co kresowcy wnieśli do kultury współczesnej Polski, a czasem i świata.

Za drugie i być może istotniejsze zadanie Towarzystwa grupa ta uznawała próby odbudowy kontaktów i zrozumienia między nami i Litwinami. Umożliwienie kontaktów i wymiany, wzajemną pomoc etc. Istotne było poparcie dla aspiracji naszego sąsiada właśnie walczącego o swą niezależność. Byłem przekonany, że dopiero to może stanowić trwałą płaszczyznę również do ulżenia doli Polaków na ziemi litewskiej.

Mowę moją oklaskano, ale codzienność nowego Towarzystwa nie potoczyła się w postulowanym przeze mnie kierunku. Zgodnie z polską tradycją prawie równocześnie zaczęło działać Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Grodna, które nie przedstawiło odrębnej propozycji ideowej. Obie organizacje powołały szereg inicjatyw, spotkań i konferencji, organizowały wycieczki na ziemie utracone, doprowadziły do powstania szeregu publikacji – m.in. od r. 1990 ukazuje się w Bydgoszczy piśmko *Wileńskie Rozmaitości* z dodatkiem *Słownik Polski walczącej na kresach północnowschodnich Rzeczypospolitej* oraz dwie serie „Biblioteki Wileńskich Rozmaitości”. Publikacje tego typu przynoszą niekiedy interesujące materiały wspomnieniowe i dokumentacyjne, niektóre jednak o wątpliwej wartości literackiej i ideowej nie potrafiące wznieść się ponad dawne resentymenty i to, co Anglicy określają jako *self pity*. Dokumentacja zbrodni litewskich z czasu wojny powtarza znane fakty, zdaje się nie tylko jednostronna, ale przenosi owe resentymenty w przyszłość. *Rozmaitości* publikowały niezbyt przemyślane protesty ziomkostwa przeciw nie najgorszej polityce władz RP wobec Litwy, domagano się jej zaostreżenia. W latach 1993/94 drukowano w tym piśmie jeszcze wojenne opracowanie prof. Konrada Górskiego „Divide et impera”, które powstało w okresie nasilonej walki o utrzymanie polskości Wilna i miało w całości silnie antylitewski charakter. Tekst stanowiący ważny dokument, opublikowany w czasie gdy zniewolona Litwa wybijała się na niepodległość i zyskiwaliśmy niezależnego sąsiada, nabierał nowego znaczenia i szkoda, że nie spotkał się na łamach tego pisma z głębszą, współczesną refleksją. Naturalnie wartość

bydgoskich publikacji jest zróżnicowana, np. niewielkie wspomnienie Kazimierza Iwanowskiego p.t. „Zapis dla syna” (Bydgoszcz 1993) zawiera obok wojennej faktografii wartościowe refleksje czynione na jej temat. Piśmiennictwo poświęcone kresom jest obszerne. Już na emigracji zarysowały się dwa nurty. Jeden z nich reprezentowała broszura Michała K. Pawlikowskiego „Sumienie Polski. Rzecz o Wilnie i kraju wileńskim” (1946) pełna tonów sentymentalnych i apologetycznych, a obok tego pojawiały się utwory Józefa Mackiewicz’a i Sergiusza Piaseckiego z dystansem odnoszące się do niektórych działań Polaków na tych ziemiach. Charakterystyczne jest, że kiedy grupa wilnian na emigracji przygotowywała reprezentacyjne dzieło zbiorowe „Pamiętnik wileński”, który ukazał się ostatecznie w Londynie w r. 1972. Czesław Miłosz odmówił w nim swego udziału, nie ufając obiektywizmowi tej inicjatywy. Oba nurty współistnieją również obecnie w pozbawionym cenzury kraju. Paradoksem jest, że właśnie nie te liczne solenno-patriotyczne wspomnienia, a satyryczny obraz podwileńskiego zaścianka zdobył sobie czytelników – „Boża podszewka” Teresy Lubkiewicz Urbanowskiej. Autorka ściągnęła na siebie protesty organizacji kombatanckich. Przeoczono, że maluje ona z dużą dozą sympatii ten dziwny i barwny zaginiony już świat kresowej prowincji z jej gwarą, obyczajem, patriotyzmem ale i ksenofobią. Polskojęzyczne piśmiennictwo dotyczące spraw WKL na emigracji, w powojennej Polsce, a ostatnio również na Litwie, jest bardzo obszerne. Ukazało się wiele dzieł dokumentacyjnych, literackich i wspomnieniowych przybliżających te tak ważne dla naszych dziejów ziemie i ich kulturę, wystarczy wspomnieć prace Konwickiego i Miłosza. Publikowano przewodniki, publicystykę różnej wartości, mniej i bardziej obiektywne prace naukowe i popularne. W r. 1997 ukazała się obszerna rozprawa Stanisławy Lewandowskiej „Życie codzienne Wilna w latach II wojny światowej”. Dokumentuje ona prawdziwe pandemonium jakie spadło na ten zamieszkały przez Polaków skrawek ziemi, ale również uzmysławia, że nie wszystko było tak proste jak się niektórym po latach wydaje i nie za wszystkie nasze cierpienia można winić Litwinów. Ukazały się monografie wileńskiego uniwersytetu

i szkół, które odbiły swoje piętno na kształcie inteligencji polskiej. Nie brak wśród poświęconych Wilnu pozycji rysujących Ziemie Wschodnie jako raj utracony. Np. bogato ilustrowany tom Jacka Kolbuszewskiego „Kresy” we wrocławskiej serii „A to Polska właśnie”, czy książka wspomnień gastronomicznych zebranych przez Barbarę Hołub „Przy wileńskim stole” (1992). Postulat ponownego wprowadzenia do świadomości Polaków istnienia tradycji i problematyki dawnych kresów został w znacznej mierze zrealizowany. Trzeba jednak nie tracić z oka tego, że następują również zmiany w poglądach inteligencji litewskiej. Ponad 50 lat ostatniej okupacji potrafiło uświadomić licznym Litwinom, że zagrożenie tożsamości narodowej płynie z innej niż Polska strony. Istnieje jeszcze na Litwie sporo niepewności co do polskich zamiarów. Systemy ekonomiczne i polityczne panujące po obu stronach granicy, wiele tradycji historycznych i religijnych jest w obu krajach bardzo zbliżone. To są podstawy, na których można budować nowe stosunki między naszymi społeczeństwami.

Trwa na Litwie teoria, że wyznacznikiem niezależności kraju jest język państwowy, który może być uzupełniany tylko przez inne, międzynarodowo uznane, natomiast użycie innych, np. w napisach czy informacji, godziłoby w prestiż Narodu. Chodzi tu nie tylko o akceptację tradycyjnych polskich nazw miejscowych (z którymi przestano walczyć przynajmniej w tekstach polskojęzycznych, ale o proste informacje ułatwiające obcokrajowcowi życie. Na przykład już na polsko-litewskiej granicy widnieją napisy – informacje angielskie i rosyjskie, gdyż są to języki o statusie międzynarodowym. Nawet polska kawiarnia w Wilnie jest karana za wystawienie napisu w naszym języku. Sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie aby w miejscach ważnych dla obu narodów np. w zamkach i pałacach królów czy polach wspólnych bitew kurtuazyjnie umieścić również napisy litewskie witające przybyszów z tego kraju. Przy okazji warto wspomnieć o nieporozumieniu, które zrobiło po obu stronach wiele tzw. złej krwi. Oba języki należą do fleksyjnych i poprawność zmusza do uzupełniania słów nawet obcych końcówkami. Zapewne Anglika czy Francuza może razić to, że ich nazwiska

w kolejnych przypadkach przybierają w polszczyźnie obce im brzmienie. Język litewski należy do tych, które jak i łacina mają specyficzne końcówki również w mianowniku – Homer brzmi Homerus i tylko tak jest poprawnie, nie gorszy nas, że Janicki staje się w łacinie Ianiciusem. Jednak jak się zdaje w tej sprawie nie tylko w naszych pojęciach istnieje poważny zamęt. Często Litwini również pisząc w innych językach domagają się tych nominatiwowych końcówek. Z kolei Polacy dodanie tej fleksyjnej części traktują agresywnie jako zamach na ich narodowość. Sprawie tej, która może wydać się marginesowa, trzeba poświęcić trochę uwagi. Brak zrozumienia istoty zagadnienia ciągle jest zarzewiem konfliktów.

Prawdą jest, że w toku historii naród litewski, zwłaszcza jego elity ulegały stopniowej polonizacji. Nie odbywało się to jednak za pomocą szczególnie drastycznych metod nacisku. Podobne procesy znamy z terenów zachodniej i północnej Polski, gdzie polszczyznę wypierał język niemiecki. Tak jak kiedyś skromni nauczyciele ludowi, księża i drukarze stali się budzicielami polskości Śląska, Pomorza i Mazur, tak podobni im litewscy działacze poczynszy od połowy XIX wieku przywrócili litewszczyznę kulturze pisanej. Tu i tam odbywało się to w konflikcie z panującym językiem. Litwini mają własne opowiadania o wypadkach analogicznych do tych jakie my pamiętamy ze szkoły we Wrześni. Tu i tam większość elit wraz ze zmianą języka pozostała poza wspólnotą narodową, ale były też nieodosobnione przypadki wybierania mowy i kultury zachowanej w ludzie.

Świadomość tych faktów ciągle nie jest dostateczna w obu narodach. Osoby podejmujące temat narażają się na anatemy. Pierwsi poważnie podjęli sprawę poeci Czesław Miłosz i Tomas Venclova w swym „Dialogu o Wilnie” na łamach *Kultury* r. 1979, a przedrukowany w kraju poza cenzurą w pamiętnym roku 1981. Szczególnie istotne wydaje się stwierdzenie Venclovy, skierowane do tych swoich rodaków, którzy ciągle obawiają się kulturowej dominacji polszczyzny i rewizjonizmu dążącego do zmiany granic. Powinni oni docenić siłę własnych osiągnięć przede wszystkim w czasie dwudziestolecia niepodległości. Kultura litewska, język, świadomość, okrzepły na tyle, że bezpośrednia

polonizacja już im nie zagraża. Znajomość realiów polskich pozwala natomiast twierdzić, że w naszym kraju nie ma poważnych środowisk dążących do zmiany obecnych granic i że niezależnie od oceny podstaw prawnych, które spowodowały ukształtowanie obecnego stanu naszej części Europy.

Zmieniają się postawy samych Litwinów, coraz częściej doceniane są w dorobku narodu prace polskojęzycznych obywateli WKL. Prof. Uniw. Wileńskiego, polonista i lituanista Algis Kaleda na spotkaniu polsko-litewskim w Druskiemikach w r. 1998 postawił tezę, że uznanie za litewskie jedynie piśmiennictwa tworzonego w języku narodowym prowadzi do jego zubożenia i widzenia go jedynie jako ludowe i prowincjonalne. To coś jakby u nas usunąć z kanonu piśmiennictwa narodowego dzieła tworzone w języku łacińskim. Ten sposób myślenia prezentuje wydana w Wilnie obszerna antologia polskojęzycznej literatury „Litwo nasza matko miła” (1998). Nic nie umniejsza kultury, do której przyznaje się kilka narodów. Wzmacniane jest jej znaczenie.

Sprawy związane z przyszłością stosunków polsko-litewskich muszą być uzgadniane z Litwinami. Na pośrednictwo zamieszkałych tam Polaków nie bardzo można liczyć. Świadomość narodowa pogranicza jest zawsze silnie określana w konflikcie wobec obcych na wspólnej ziemi, którzy odczuwani są jako zagrożenie. Poza tym w Związku Sowieckim, w którym Polacy nie cieszyli się zwykle zaufaniem i poparciem, w Litwie pozbawiona swojej tradycyjnej inteligencji Polonia stała się przedmiotem zabiegów władz sowieckich. Tam łatwiej zezwalano na polskojęzyczne szkoły, gazety czy zespoły artystyczne. Polacy byli raczej skłonni utożsamiać się z mniejszością rosyjskojęzyczną, a część z nich obawiała się niepodległej Litwy, czemu dała wyraz w czasie lat rozpadu ZSSR. Do dziś istnieje podział mniejszości polskiej na podstawie różnic w stosunku do państwa litewskiego. Sprawy tej Polonii stanowiące konglomerat słusznych oczekiwań wobec rządu litewskiego i nieracjonalnych resentymentów i nadziei są skomplikowane i wykraczają poza obecne rozważania. Można liczyć jedynie na grupę nowej polskiej inteligencji, która potrafi nawiązywać kontakty na miejscu. Mam na myśli przede wszystkim środowisko radia

„Znad Wilii” i gazetę o tym samym tytule. Jednak wydaje się, że przyszłe położenie mniejszości polskiej na Litwie będzie funkcją dwu spraw – sytuacji ekonomiczno-społecznej w tym kraju i stosunków międzypaństwowych z Polską, która może tu pośredniczyć.

Właśnie minęło 10 lat od powstania kolejnej inicjatywy, wywodzącej się przede wszystkim z kręgów byłych repatriantów, do których dołączyły inne osoby, zainteresowane stosunkami międzynarodowymi. W r. 1989 powstał z inicjatywy małżonków dr Leona i Danuty Brodowskich „Klub Miłośników Litwy” nastawiony na organizowanie współpracy przede wszystkim elit. Klub wydaje pismo *Lithuania*, uruchomił wydawnictwo książkowe, organizuje spotkania polskolitewskie. Ma swój odpowiednik na Litwie, w ludziach skupionych wokół historyka Alfredasa Bumblauskasa.

Klub Miłośników Litwy działa na ciągle bardzo trudnym i konfliktogennym terenie. Polaków i Litwinów powinny dziś i w przyszłości łączyć nie abstrakcyjna nieco „miłość”, ale przede wszystkim poczucie po obu stronach granicy, że niepodległa Polska i niepodległa Litwa są w naszym rejonie konieczne i wzajemnie sobie potrzebne. Jedyne co pozostaje to przyjąć jako wyroki historii i dbać aby nie przeistoczyły się w trwałe konflikty w bałkańskim stylu.

Janusz DUNIN-HORKAWICZ

Grzegorz MOTYKA

OSTRO TAK, ALE CZY ZAWSZE PRAWDZIWIE?

Sprawa polsko-ukraińskich zaszłości z czasów II wojny światowej wciąż budzi żywe emocje. Ilość opinii na ten temat mających niewiele wspólnego z prawdą historyczną, a wypowiadanych z dużym przekonaniem budzi prawdziwy przestraszenie. Pół biedy, gdy takie sądy głoszą niepoważni publicyści. Znacznie gorzej, kiedy padają one z ust ludzi zasługujących ze wszech miar na szacunek, a jest tak niewątpliwie w wypadku znanego polskiego pisarza, autora głośnej powieści „Zasypie wszystko, zawieje” Włodzimierza Odojewskiego. W wywiadzie opublikowanym w *Przeglądzie Tygodniowym* z 10 marca 1999 r. zatytułowanym „Widzę ostro, nie do zniesienia” wygłosił on szereg twierdzeń z którymi trudno się zgodzić.

Włodzimierz Odojewski jako jedną z głównych przeszkód na drodze do pełnego unormowania stosunków pomiędzy Polakami a zachodnimi Ukraińcami wskazuje historię. Chodzi mu między innymi o poczynania Ukraińskiej Powstańczej Armii, które wynikały – według niego – z ideologii faszystowskiej „własnego wytworu”. I dalej stwierdza kategorycznie: „Bo Ukraińcy (...) mieli własnego oryginalnego ideologa Dmitri Doncowa, przy którego dziełach pisma Rosenberga, Hitlera i Mussoliniego to ‘kaszka z mleczkiem’,

człowieka, (...) który stworzył najbardziej doskonałą (...) wyrafinowaną teorię faszystowską”. Używając takiego sformułowania Odojewski, świadomie lub nie, uznaje UPA za gorszą od SS, gestapo i włoskich „czarnych koszul” razem wziętych. Niewątpliwie przeprowadzona przez OUN-UPA w latach 1943-1944 tzw. antypolska akcja mająca na celu wypędzenie Polaków z Wołynia i Galicji Wschodniej miała okrutny przebieg. W jej wyniku zginęło około 100 tysięcy Polaków. Jednak, jak by nie oceniać działań ukraińskiej partyzantki, to chodziło jej o zdobycie spornych ziem. Tymczasem hitlerowcy zmierzali do kolonizacji całej Polski i zamienienia Polaków w naród niewolników. Z tego powodu prowadzili planową eksterminację polskiej inteligencji. Dla ukraińskich nacjonalistów Polacy byli zniechodzonymi okupantami, dla nazistów stojącymi na niższym szczeblu rasowym podludźmi. Wydaje mi się, że jest to dość wyraźna różnica. Nawet jeśli by uznać – czego W. Odojewski nie czyni – iż zabijanie cyklonem B jest bardziej humanitarne niż siekierą czy kosą.

Wróćmy jeszcze na chwilę do Doncowa. W. Odojewski wspomina, jak pewien „wybitny emigrant mający duży wpływ na kształtowanie opinii w kraju” (chodzi o Jerzego Giedroycia) zarzucił mu przesadę, gdyż Doncow po wrześniu 1939 r. solidaryzując się z pokonaną Rzeczpospolitą, poprosił w Bukareszcie o polski paszport. Znakomity polski prozaik komentując słowa Giedroycia stwierdza krótko: „uśmiechnąłem się na tę opinię”. Po czym sugeruje, iż starania Doncowa były spowodowane najprawdopodobniej chęcią wyrwania się z obszaru wojny. Być może nawet tak było. Ciekawe jednak, dlaczego taki faszysta jak Doncow wyjechał do Bukaresztu, a nie Berlina. Poza tym, przyjęcie polskiego paszportu – o czym autor „Zasypie...” zapewne nie wie – nie było dla ukraińskich nacjonalistów rzeczą obojętną. W roku 1944 dowódca OUN-UPA Roman Szuchewycz nakazał komórkom swojej organizacji likwidować tych Ukraińców, którzy uchodząc na Zachód przed Armią Czerwoną korzystali z polskich dokumentów. Z kolei w latach 1945-1946 banderowcy organizowali wśród emigrantów w zachodnich Niemczech akcję nie przyznawania się do polskiego obywatelstwa, choć taka odmowa

groziła wówczas deportacją do ZSSR prosto do łagru.

Swoją wiedzę na temat Doncowa – jak się domyślam – W. Odojewski czerpie z książek Wiktora Poliszczuka. Niestety, pozostawiają one wiele do życzenia, nosząc charakter publicystyki politycznej. Znacznie bardziej miarodajne pod tym względem są ustalenia doktora Tomasza Stryka z Instytutu Studiów Politycznych PAN (jego książka dotycząca m.in. Doncowa ma ukazać się niebawem). Zastanawia mnie np. dlaczego W. Poliszczuk oraz za nim (?) W. Odojewski pomijają całkowitym milczeniem koncepcje polityczne Doncowa dotyczące Polski. Tymczasem za głównego przeciwnika Ukrainy uważał on Rosję. Konflikt z Polską był dla niego czymś drugorzędnym, o lokalnym znaczeniu. Opowiadał się za istnieniem silnej Polski, która mogłaby pomóc Ukrainie wywalczyć niepodległość nad Dnieprem. Polityków ukraińskich uznających Polskę za głównego przeciwnika oskarżał o to, że logika kapituluje u nich przed emocjami.

Nie chcę tu bronić poglądów Doncowa. Stworzona przez niego ideologia jest mi więcej niż obca i nie ma nic wspólnego z zasadami liberalnej demokracji. Sądzę jednak, że jeśli ktoś decyduje się na wypowiedzianie autorytatywnym tonem uwag na pewien temat, nie powinien pomijać wątków nie pasujących do jego z góry założonej tezy.

Włodzimierz Odojewski w swoim wywiadzie sprzeciwia się relatywizowaniu zbrodni UPA na Polakach. Słusznie. Śmierć dziesiątków tysięcy ludzi nie powinna być kwitowana eufemizmami czy kłopotliwym milczeniem. Dlaczego jednak jednocześnie relatywizuje zbrodnie polskie na Ukraińcach? Określa je lekceważąco jako „kilka akcji odwetowych”. Z polskiej ręki zginęło wówczas 15-20 tysięcy Ukraińców, w większości cywilów. Nie chcę stawiać znaku równości pomiędzy akcjami UPA a polskim odwetem (z prostego zestawienia cyfr widać zresztą, że na jednego zabitego Ukraińca przypada co najmniej 5-6 Polaków), ale jest to przecież liczba bardzo duża i budząca zażenowanie.

W jednej tylko masowej polskiej akcji przeprowadzonej w marcu 1944 r. w powiecie hrubieszowskim spalono ponad 20 ukraińskich wiosek i zabito około 1,5 tysiąca Ukraińców. O sile UPA w tych miejscowościach świadczy fakt, iż straty

polskiej partyzantki wyniosły 1-2 zabitych i 3-5 rannych. Z kolei w lutym-kwietniu 1945 r. w pasie od Lubaczowa po Sanok spalono kilkadziesiąt ukraińskich wsi zabijając w nich około 3 tysięcy osób. Jeszcze więcej ograbiono. Były partyzant L. Jurewicz tak wspominał jednego z kolegów z oddziału: „Karabin kupiła mu rodzina za 1500 złotych po to, ażeby poszedł do partyzantów i przy okazji zabrał Ukraińcom krowę (...) Zabranie czegoś Ukraińcom uważane było za rzecz normalną, jako odpłata za pożogi, rzeź i rabunki na wschodzie”. (L. Jurewicz, „Niepotrzebny”, Londyn 1977, s. 73).

Opisane fakty były odwetem. Ale czy należy je relatywizować? Nie powinniśmy zapominać, iż polskie akcje dotknęły w przeważającej mierze osoby nie mające nic wspólnego z mordami na Polakach. W jaki bowiem sposób 6-miesięczna Kasia Izdebska zabita w styczniu 1946 r. w Zawadce Morochowskiej w Bieszczadach odpowiada za Polaków zabitych w sierpniu 1943 r. na Wołyniu? A w jaki sposób za inne mordy odpowiadał 3-letni Sławko Borkiński zabity 6 kwietnia 1945 r. w Gorajcu? A nie były to ofiary ani jedyne, ani przypadkowe.

Przepraszam, jeszcze jeden przykład, który „idzie za mną” od kilku lat. W 1991 r. rozmawiałem z członkiem oddziału sowieckiej partyzantki złożonego w większości z Polaków (po przejściu frontu przeformowano go w „batalion niszcycielski” pomagający NKWD w pacyfikacji ukraińskich wiosek). Opowiedział mi, jak jeszcze w czasie walk partyzanckich schwyтали sanitariuszkę UPA. Była to młoda dziewczyna, która przerwała naukę, by iść walczyć o niepodległą Ukrainę. Za faszystowską Ukrainę – dopowiedziałby zapewne W. Odojewski. Dziewczyna była ładna, więc dowódca oddziału postanowił oszczędzić jej życie i kazał wybrać któregoś z partyzantów za męża. Odmówiła. Dano jej 24 godziny do namysłu. Spróbowała ucieczki. „Poddaliśmy ją badaniu – opowiadał mi dalej partyzant – nie była już dziewicą. To ty, taka nietaka (poleciała wiązka przekleństw) z banderowcami tak, a z nami nie chcesz?! Zlikwidowaliśmy ją”. Mam nadzieję, że ją po prostu rozstrzelano.

Wiem, z polskiej strony można takich historii przytoczyć znacznie więcej i to zapewne okrutniejszych. Ale czy na-

prawdę usprawiedliwia to lekceważenie cierpienia Ukraińców?

Autor „Zasypie...” nie widzi nic złego także w akcji „Wisła”. Według niego: „Akcja była decyzją obronną, chroniącą terytorium dawnej Polski”. Ludności ukraińskiej „nie wysiedlano (...) w straszliwych warunkach w nieznane – ale ‘przesiedlano’ (...) najczęściej na tereny o wyższym standardzie gospodarczym”. Osoby zwracające się do Sejmu o potępienie „Wisły” uważa za „kierujących się emocjami panów o znanych nazwiskach, ale o historii i polityce nie mających pojęcia”. Z tych słów można wnosić, iż osoba je wypowiadająca na historii zna się doskonale. W rzeczywistości stwierdzenia te są nieporozumieniem.

We wrześniu 1944 r. dowództwo UPA zakazało dalszych akcji przeciwko polskiej ludności. Rozkaz ten nie zawsze był przestrzegany, lecz zdarzające się napady od tej pory nie wynikały z generalnej linii organizacji. Zmiana charakteru działań UPA i komunistyczne represje skłoniły nawet polskie podziemie poakowskie do zawarcia porozumienia z Ukraińcami. Ze strony AK-WiN zawierali je ludzie, którzy kilka miesięcy wcześniej uratowali tysiące Polaków przed śmiercią z ręki UPA. Trudno zatem powiedzieć, że nie wiedzieli co robią. Porozumienia te – prawda o lokalnym charakterze – przetrwały w województwie lubelskim do 1947 r. W ich efekcie przeprowadzono nawet parę wspólnych akcji przeciwko komunistom.

Celem działania UPA w Polsce nie było tworzenie jakiegos „ukraińskiego Piemontu”. Jej przywódcom chodziło przede wszystkim o stworzenie kanałów łączności pomiędzy Zachodem i Ukrainą. Dopiero przymusowe wysiedlenia Ukraińców do ZSSR skłoniły ich we wrześniu 1945 r. do rozbudowy oddziałów partyzanckich (ich liczba z kilku szybko wzrosła do kilkunastu). Akcje UPA w Polsce od połowy 1945 r. w odróżnieniu od sytuacji z lat 1943-1944 nie były polowaniem na polską ludność, lecz próbą przeciwstawienia się wypędzaniu z własnych domów. Walczono przeważnie z regularnym wojskiem i niejednokrotnie odnoszono sukcesy w otwartych bitwach. Jeśli palono wsie zamieszkałe przez polską ludność to pod hasłem odwetu za brutalność Wojska Polskiego i z wyraźnym zakazem zabijania cywili.

Jest dla mnie niezwykle interesujące, że dziś tyle osób widzi w ówczesnych działaniach UPA tak wielkie zagrożenie integralności kraju. Dlaczego jednak nie widziano go w latach 1945-1947. Jeśli UPA była tak niebezpieczna, to czemu rozprawiono się z nią na szarym końcu, po wcześniejszym rozgromieniu WiN, NZW i PSL? Przecież zimą 1946/1947 roku istniała realna szansa zniszczenia UPA. Jeżeli tego nie zrobiono, to tylko dlatego, że wszystkie siły rzucono do fałszowania wyborów do Sejmu.

Wszyscy specjaliści są zgodni, iż w czasie „Wisły” po raz pierwszy użyto przeciwko UPA sił aż nadto wystarczających. Było tego w sumie 21 tysięcy żołnierzy WP, KBW, WOP oraz milicjantów, sokistów i funkcjonariuszy UB. Warto przypomnieć, że do fałszowania referendum 1946 r. użyto 36 tys. żołnierzy WP i 7970 KBW, nie licząc MO, ORMO i UB. Zimą 1947 r. polskie podziemie i PSL zwalczało już 56 tysięcy samych tylko żołnierzy WP. Nierzadko podkreśla się, iż operacją „Wisła” dowodził gen. Stefan Mossor „przedwojenny polski oficer”. W domyśle to oznacza „wiedział, co robi”. Dlaczego jednak nikt nie zwraca uwagi, że właśnie on w marcu 1946 r. uznał za najbardziej niebezpieczne „bandy” WiN i NSZ? Oddziały UPA w tymże raporcie określił, jako mające charakter przejściowy. Dlaczego też w czasie „Wisły” wysiedlano niektórych Polaków? Problem ten jest zupełnie pomijany, a wzmianki na ten temat można znaleźć chociażby w propagandowej literaturze z czasów PRL-u. W wydany w 1976 r. w Przemyśle zbiorze „PPR w województwie przemyskim” na stronie 73 czytamy: „Zdarzało się jednak i to dosyć często, że w jednym transporcie jechały rodziny ukraińskie, których członkowie byli w UPA, i rodziny polskie, które straciły swych najbliższych w wyniku działalności ukraińskiego faszystwu”. Rozkazy o wysiedleniach Polaków wydawał sam gen. Mossor.

Akcja „Wisła” nie była konieczna do zlikwidowania UPA. W Beskidzie Niskim ukraińska partyzantka była nie-liczna i utrzymywała się z najwyższym trudem z powodu niechęci do niej miejscowej ludności. A pomimo to ludność tę wysiedlono! A po co wysiedlano Łemków ze wsi Jaworki, koło znanego wąwozu Homole w roku 1950? Przecież UPA

tam nigdy, a już szczególnie w roku 1950 nie działała. Jeszcze jedno porównanie: całości II RP nie zagroziło 5 mln Ukraińców żyjących w zwartych enklawach, jak zatem ówczesnej Polsce zagrozić mogło 140 tys. Ukraińców rozproszonych od Białej Podlaskiej po Krynicę?

Może warto sobie w końcu uświadomić tę prostą prawdę, że wysiedlenia Polaków i Ukraińców w latach 1945-1947 miałyby miejsce niezależnie od tego, czy UPA przeprowadziłaby swoją antypolską akcję, czy nie. Operacja banderowców dostarczyła władzom komunistycznym jedynie znakomitego usprawiedliwienia dla własnych działań. Jak widać, efekty propagandowych poczynąń komunistów są widoczne do dzisiaj.

Zupełnym szokiem była dla mnie odpowiedź W. Odojewskiego na pytanie: „Kim był generał Karol Świerczewski, agentem NKWD czy bohaterem narodowym?”. Z wywiadu dowiedziałem się, że „Walter” „był postacią bardzo niejednoznaczną”. Przypomnijmy, K. Świerczewski w roku 1920 walczył przeciwko Polsce w Armii Czerwonej, a w roku 1944 podpisywał wyroki śmierci na żołnierzy AK. Ciekawy jestem, co jeszcze powinien był zrobić, aby stać się jednoznaczny? Przepraszam, wiem. Powinien dać się zabić nie UPA, a oddziałowi WiN lub NZW. Wówczas nikt, by nie miał wątpliwości. A tak... UPA przecież z definicji zabijała jedynie niewinnych.

Włodzimierz Odojewski dużo miejsca poświęca ostrzeżeniom przed mającym „wielu zwolenników” na Zachodniej Ukrainie nacjonalizmem. Nie wiem na czym opiera on swoje obawy. W ostatnich wyborach parlamentarnych ugrupowania odwołujące się do haseł nacjonalistycznych poniosły klęskę. Przypuszczam, iż za zachowania nacjonalistyczne Odojewski uważa pielęgnowanie tradycji UPA. Jeśli tak, to jest to kolejne nieporozumienie. UPA prowadziła bowiem walkę nie tylko z Polakami, lecz także z Niemcami i Sowietami. Opór ukraińskiego podziemia wobec władzy komunistycznej trwał aż do lat pięćdziesiątych. Ostatnią grupę partyzancką zlikwidowano dopiero w 1956 r. Przy zwalczaniu OUN-UPA oddziały NKWD stosowały bezwzględny terror. W wyniku represji zabito, zamordowano, aresztowano lub deportowano

według niepełnych danych około 500 tysięcy Ukraińców. Stanowiło to mniej więcej 10% populacji Zachodniej Ukrainy. Nic więc dziwnego, że po upadku ZSSR miejscowa ludność postanowiła upamiętnić członków własnych rodzin poprzez np. budowę pomników. Poszanowanie pamięci UPA na Ukrainie nie oznacza pochwały zabijania Polaków, lecz walki z Sowietami i Niemcami. Oczywiście, jest to niepełna historia UPA i nie musimy na to patrzeć z radością. Nie ma jednak potrzeby demonizowania tych zachowań.

Wiem, że wiele osób moje słowa może przyjąć ze zdziwieniem, czy nawet oburzeniem. Zdaję sobie sprawę, jak okrutne były wołyńskie „czerwone noce”. Jeszcze jako dziecko często słyszałem opowiadane w mojej rodzinie różne historie o ukraińskim postępowaniu. Dziadek wspominając udział w kampanii wrześniowej zawsze nie omieszczał wspomnień o swoim strachu przed otrzymaniem strzału w plecy od Ukraińców. Poznałem wiele relacji osób, które cudem przeżyły upowskie akcje, tracąc w nich mniejszą lub większą część swojej rodziny. Znam też te wydarzenia ze źródła dla mnie najbardziej wstrząsającego – ze sprawozdań samych banderowców. Z suchych opisów, w których np. dowódca bojówki SB nieśmiało żali się, że „Polacy zabarykowali się w domach i ciężko było dostać się do środka”.

Wydarzenia na Wołyniu i w Galicji Wschodniej były jednym z najkrwawszych polskich epizodów II wojny światowej i z pewnością nie powinny być zapomniane. Doceniam wkład, jaki dla utrwalenia tego fragmentu historii zrobił W. Odojewski choćby swoją powieścią „Zasypie wszystko, zawieje”. Tak jak i W. Odojewskiego boli mnie omijanie tego tematu przez część ukraińskich badaczy, ewentualnie zbywanie go niewiele znaczącymi ogólnikami czy eufemizmami. Nie uważam jednak, aby mówienie otwarcie o tym, co było faktycznie złe z naszej strony w jakikolwiek sposób przeszkadzało w upamiętnieniu ofiar Wołynia. Nie rozumiem też dlaczego tak wiele osób prawdę o antypolskiej akcji musi jednocześnie łączyć z obroną stalinowskich przesiedleń i robieniem z UPA wroga znacznie gorszego od hitlerowców czy Sowietów. Wydaje mi się, że takie postawy są jedynie świadectwem emocjonalnego zaangażowania.

To, co rozdziela nas i Ukraińców, to nie tyle historia, co wypływające z niej różne lęki i uprzedzenia. Nasze, polskie, by Ukraińcy nie podjęli kiedyś próby zdobycia Przemyśla czy Chełma. I ukraińskie, o to aby Polacy ponownie nie sięgnęli po Lwów i Tarnopol. Niewątpliwie, przemilczanie antypolskiej akcji przez ukraińskich badaczy podsyca polskie obawy. Ale jest też tak, że odrzucanie z góry wszystkich ustaleń ukraińskich historyków powiększa obawy Ukraińców. Nie ma innego wyjścia z tego zakłętego kręgu muzy Klio, jak poprzez otwarte i szczere dyskusje, w których operuje się faktami i rzeczową argumentacją, a nie emocjami.

Piszę to wszystko, bez większych złudzeń, co do siły przekonywania własnych słów. Cóż bowiem znaczy przytoczona przeze mnie garść faktów wobec zakorzenionych społecznych mitów? Niewiele. A cóż znaczą słowa młodego stażem historyka przy opiniach wybitnego polskiego pisarza? Jeszcze mniej.

Grzegorz MOTYKA

Autor jest pracownikiem ISP PAN. Razem z Rafałem Wnukiem opublikował książkę „‘Pany’ i ‘rezuny’. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947”.

WSPOMNIENIA

Zbigniew SROCZYŃSKI

KONSPIRACJA KRAKOWSKA 1939-1945

WSTĘP

Patriotyczną antyniemiecką konspirację podjęto w Krakowie wcześniej, już w październiku 1939 r. Jedną z pierwszych organizacji niepodległościowych, która powstała po klęsce wrześniowej był mało dziś znany Związek Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR) zawiązany w Warszawie. Miał sześć oddziałów terenowych. W Krakowie ukonstytuował się „OKRĘG nr 3 ZOR KRAKÓW” i prowadził tajną działalność wojskowo-propagandową przez pierwsze lata okupacji. W 1943 r. ZOR scalił się z AK. Blisko 1700 żołnierzy krakowskiego ZOR-u zasiliło szeregi Armii Krajowej.



Przy segregowaniu archiwum rodzinnego po mojej matce odnalazła się dokumentacja ilustrująca działalność jej brata Adama Żeleńskiego w konspiracji w Krakowie w latach 1939-1945. Jest to zbiór wspomnień i relacji członków Krakowskiego Okręgu ZOR spisanych w 1971 r. Materiały te mają dużą wartość historyczną, zawierają program ideowy ZOR-u, ilustrują charakter działalności ZOR-u, upamiętniają dziesiątki nazwisk członków i ich patriotyczne zaangażowanie. Wielu z nich przeszło przez więzienia i obozy, część zapłaciła życiem.

Krakowski Okręg ZOR utworzył adwokat dr Kazimierz Ostrowski, został pierwszym dowódcą. Pozyskał współpracę inteligencji, młodzieży, robotników, rzemieślników, zorganizował siatkę terenową. Nadał kierunek działania. Zmuszony do opuszczenia Krakowa w 1942 r. przekazał komendę Okręgu Adamowi Żeleńskiemu (właścicielowi Zakładu Witrażów), który zakończył podjętą akcję włączenia ZOR-u do AK.



Odnalezione wspomnienia skłoniły mnie do poszukiwania dalszych informacji o Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Nie znalazłem ich w gronie kolegów w prezydium ZG Światowego Związku Żołnierzy AK. Zwróciłem się do dwóch historyków Polskiego Państwa Podziemnego. Udzielili mi odpowiedzi, że znana im jest ta organizacja, ale nie ma dotychczas pracy omawiającej szerzej działalność ZOR-u. Uzyskałem jednak cenne informacje i wskazówki, z których oczywiście skorzystałem.

Dr Marek Ney-Krwawicz poinformował mnie, że wiadomości o ZOR zawarte są w biogramie twórcy ZOR-u Tadeusza Żenczykowskiego, wybitnego działacza BIP KG ZWZ-AK. Ze wzmianki o szeregu działaczy BIP, związanych z ZOR-em znajdę w pracy dr Grzegorza Mazura „BIP...”¹. Po śmierci Tadeusza Żenczykowskiego wiosną 1997 r. *Gazeta Wyborcza* zamieściła wspomnienie wraz z jego życiorysem.

Prof. dr habilitowany Stanisław Salmonowicz z Torunia (prawnik, zajmujący się też historią polskiej konspiracji czasu II wojny) w liście z 24.04.98 pisze: „...dzieje ZOR-u są mało znane” i kieruje mnie do Polskiego Słownika Biograficznego, do biogramów „jeśli są”: Kazimierza Ostrowskiego, Tadeusza Nowackiego, Jana K. Kostrzewskiego, Aleksandra Mazurka. Jedyną chyba szerszą informację o ZOR – pisze Profesor – znajdę w książce (pracy zbiorowej) o przedwojennej organizacji „ZET”², w której jest rozdział o Związku Odbudowy

1. Grzegorz Mazur „Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945” (wyd. IW PAX, Warszawa 1987).

2. „ZET w walce o niepodległość i budowę państwa. Szkice i wspomnienia” (wyd. PWN, Warszawa 1996).

Rzeczypospolitej. Z „ZET” wywodzą się czołowi działacze ZOR-u (Tadeusz Żenczykowski, Kazimierz Ostrowski i inni), wymieniony jest też kpt. Adam Żeleński.

Korzystając z tych cennych wskazówek odnalazłem jeszcze artykuł o „ZET” Janusza Rakowskiego w paryskich *Zeszytach Historycznych*, z wzmianką o ZOR.

ZAWIĄZKI KONSPIRACJI W PIERWSZYM OKRESIE OKUPACJI HITLEROWSKIEJ

W dniu 27 września 1939 r. już po zajęciu Polski przez dwóch najeźdźców, ale jeszcze w oblężonej Warszawie, została zawiązana SŁUŻBA ZWYCIĘSTWU POLSKI. Wkrótce przemianowana w ZWZ, później w AK, stała się główną zbrojną podziemną formacją wojskową, organizacją niepodległościową na terenie Kraju.

Już na pierwszym zebraniu konspiracyjnym SZP podjęto decyzję o utworzeniu Oddziału Politycznego, późniejszego BIURA INFORMACJI i PROPAGANDY KOMENDY GŁÓWNEJ.

W myśl zarządzeń niemieckiego okupanta wszyscy oficerowie, zarówno służby czynnej, jak i rezerwy, bez względu na wiek, winni byli zarejestrować się. Byli osadzani w „Oflagach” – obozach jenieckich. Oficerowie, którzy nie podporządkowali się zarządzeniu i uniknęli niewoli wiązali się z konspiracją w swoich środowiskach jednostek bądź formacji wojskowych z licznym udziałem podchorążych, podoficerów, żołnierzy i cywilnych ochotników. Oni pierwsi znaleźli się w szeregach SZP, lub nieco później ZWZ. Kolejni Komendanci Główni SZP, ZWZ, AK byli nominowani przez Naczelnego Wodza WP na Zachodzie, tajna armia w Kraju podlegała legalnym władzom RP, Polskiemu Rządowi na emigracji.

W Armii Krajowej służyło ponad 300 tysięcy żołnierzy z dużym udziałem kobiet. Niektórzy historycy szacują stan liczbowy AK na 400 tysięcy.

Kłamiwa PRL-owska historia Polski czasu II wojny świa-

towej zaniżała udział AK w antyhitlerowskiej walce podziemnej. Eksponowała główną rolę bojówek komunistycznych Gwardii Ludowej i Armii Ludowej pomijając fakt, że polscy komuniści sterowani z Moskwy nie traktowali Niemców w pierwszych latach wojny jako wroga. Wynikało to z „paktu Ribbentrop-Mołotow” z sierpnia '39. Sytuacja uległa zmianie dopiero w połowie 1941 r. po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, ale działania zbrojne przeciw Niemcom nastąpiły w ostatniej fazie okupacji.

Zanim SZP zdołała zbudować sieć terenową w okupowanym kraju, tworzyły się samorzutnie przeróżne podziemne związki niepodległościowe. Tworzyli je politycy, środowiska zawodowe, młodzież, harcerze, niekiedy indywidualne aktywne osoby. Wiele tych organizacji miało krótki żywot i później AK prowadziła intensywną akcję scalania, nierzadko bez efektu.

Związek Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR) zawiązany w drugim miesiącu wojny był organizacją patriotyczną o charakterze wojskowym, uznającą zwierzchnictwo Rządu RP. Poddął się scaleniu z AK, a nawet sam współdziałał przy scalaniu luźnych grup z Armią Krajową, ale w pewnym stopniu zachował swoją odrębność.

Niektóre ugrupowania o wyraźnych obliczach politycznych niechętnie lub wcale nie podporządkowały się AK. Werbowwały członków nie zawsze ujawniając im swoją opcję. Znam to z własnych wspomnień.

Wychowałem się w rodzinnych tradycjach powstań narodowych XIX wieku, udziału członków rodziny w Legionach Piłsudskiego i w wojnie bolszewickiej. Obce mi były skrajne ideologie polityczne. We wrześniu 1939 r. znalazłem się w Warszawie w nieznanym mi środowisku. Miałem wówczas niespełna 17 lat. Podjąłem naukę na tajnych kompletach w programie przedmaturalnym, przeszedłem krótkie staże w mniej lub bardziej poważnych grupach konspiracyjnych. Z końcem 1940 r. koledzy, już wówczas w szkole Wawelberga, wciągnęli mnie do Konfederacji Narodu. Nie miałem pojęcia o jej skrajnie prawicowej ideologii. Zostałem zaprzysiężony przez dowódcę, o charakterystycznym wyrazie twarzy. Nie miałem wątpliwości, że był nim Bolesław Piasecki, gdy go zobaczyłem po 25 latach. Powierzono mi

kolportaż bibuły i doręczanie przesyłek. Trwało to krótko, nastąpiła jakaś wyspa, ostrzeżony zamieniłem mieszkanie na parę tygodni. Kontakt się zerwał. Pozbyłem się reszty „bonów narodowych” powierzonych mi do sprzedaży.

Nie spotkałem się w powojennej publicystyce z informacją o tych bonach. Były drukowane w kilku nominatach, wzbudzały zastrzeżenia kupujących, zawierały bowiem tekst, który przytaczam z pamięci: „Zachować i okazać we właściwym czasie w określonym miejscu”.

Z ZWZ związałem się dopiero wiosną 1941 r.

ZET – ZWIĄZEK MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Fragmenty wstępu do książki „ZET...” (*vide* przypis 2):

„ZET był tajną organizacją powołaną w 1886 r. z inicjatywy Zygmunta Miłkowskiego (T.T. Jeża) pod nazwą „Związek Młodzieży Polskiej”. W latach niewoli organizował konspiracyjną polską szkołę wewnątrz szkoły zaborczej. Pełnił funkcję polskiej władzy edukacyjnej...”.

„Po Powstaniu Styczniowym był pierwszą na ziemiach polskich organizacją, która dążyła od odzyskania niepodległości i wsparła później ruch legionowy Józefa Piłsudskiego...”.

„Z szeregów ZET-u wyszło wielu znakomitych działaczy społecznych i politycznych, pracowników oświaty, naukowców i wojskowych...”.

ZOR – ZWIĄZEK ODBUDOWY RZECZYPOSPOLITEJ

W rozdziale pt. „Związek Odbudowy Rzeczypospolitej” Zbigniewa Czeczot-Gawraka i Józefa Pietruszy w cytowanej wyżej książce „ZET...” czytamy, że trzonem kierowniczym byli członkowie ZET-u i ZPMD (Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej). Twórcą ZOR-u i pierwszym kendantem był por./kpt. rez. Tadeusz Żenczykowski. Liczne grono czołowych działaczy ZOR-u związało się w 1940/41 r. z Biurem Informacji i Propagandy KG ZWZ-AK.

Ze wzmianek w pracy dr G. Mazura „BIP...” wiadomo, że niektórzy identyfikowali się z ZOR-em jeszcze w 1945 r.

ZOR brał udział w różnych akcjach dywersyjnych i sabotażowych, w których uczestniczyli też kolejarze. Do szczególnie ważnych działań należał transport broni, a od 1941 r. organizowanie i zapewnienie bojowej osłony placówek zrzuconych ZWZ-AK tworzonych w celu przyjmowania skoczaków spadochronowych oraz przesyłek lotniczych z Anglii i Włoch.

Janusz Rakowski, autor artykułu „Zetowcy i Piłsudczycy” (*Zeszyty Historyczne* 56/1981, Instytut Literacki, Paryż, str. 54-55): „Informacje o ZOR z listu do mnie Tadeusza Żenczykowskiego (Zawadzkiego) z dnia 8 I 1981, który w Biurze BIP kierował wydziałami „N” i „R” i był szefem propagandy AK w okresie Powstania”.

Cytuję cały akapit:

...organizacją polityczno-wojskową był Związek Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR) założony w październiku 1939 r. z inicjatywy Tadeusza Żenczykowskiego (Zawadzkiego), który uciekł z niewoli. Trzon organizacyjny opierał się na zetowcach, ZPMD-owcach i działaczach Związku Strzeleckiego. ZOR miał 6 okręgów (Warszawa miasto, Warszawa województwo, Kraków, w Lubelszczyźnie, w województwie łódzkim i na wschodzie kraju). Pod koniec 1943 roku Związek oddał swoje oddziały – około 10.000 ludzi – do AK. Na siatce wojskowej ZOR stworzył nadbudówkę polityczną pod nazwą „Związek Wolnej Polski”, który połączył się ze Stronnictwem Demokratycznym i organizacją „Jutro Polski Niepodległej”, tworząc wspólnie „Zjednoczenie Demokratyczne”, reprezentowane w Radzie Jedności Narodowej przez Eugeniusza Czarnowskiego.

Wśród 16-tu przywódców Polski Podziemnej, porwanych do Rosji i sądzonych w procesie moskiewskim – oprócz b. zetowca i członka pierwszego KC „Związku Patriotycznego”, delegata Rządu Jana Stanisława Jankowskiego – było dwóch reprezentantów Zjednoczenia Demokratycznego: Stanisław Michałowski i Eugeniusz Czarnowski. Pierwszy z nich był w Związku Patriotycznym, a

drugi w ZECIE akademickim. Obydwaj byli członkami ZOR-u.

Głównym pismem ZOR-u był dwutygodnik *Wolna Polska*, redagowany przez Żenczykowskiego. Oprócz powyżej wymienionych w ZOR działali wybitni zetowcy najmłodszego pokolenia (Bronisław Butkiewicz, Władysław Fiszer, Józef Horodyński, Jan Kostrzewski, Mieczysław Peszczyński, Przemysław Szczekowski, Wacław Szyszkowski, Barbara Wolska) i wielu członków ZPMD.

ZOR – OKRĘG NR 3 KRAKÓW

Zbigniew Czeczot-Gawrak i Józef Pietrusza mylą się pisząc, że Okręg Krakowski ZOR ukształtował się dopiero w lecie 1940 r. Z relacji członków wiemy, że miało to miejsce już w jesieni 1939 r. Ale podają też szereg informacji o krakowskim ZOR i ludziach, którzy go tworzyli.

Okręg nr 3 obejmował miasto Kraków oraz teren od północy z obwodem w Miechowie, a od południa z Zakopanem.

Głównym organizatorem i pierwszym komendantem (dowódcą) był adwokat dr Kazimierz Ostrowski³ dawniejszy prezes ZPMD, a do jego najbliższych współpracowników należeli: dr med. Józef Horodyński, dr med. Jan Karol Kostrzewski (później oficer łącznikowy Kom. Okr. ZOR przy KG AK), dr med. Józef Korpała i Stanisława Jamrozówna (sekretarz Okr. ZOR) – seniorzy ZPMD. Z tego środowiska wywodzili się też dość liczni przedstawiciele aktywu terenowego ZOR, jak m.in. rodzeństwo Aleksander i Irena Mazurkowie, dr

3. Kazimierz Ostrowski – dr prawa, adwokat w Krakowie. Przed wojną związany z ZET ZPMD. W X/XI 1939 zorganizował w Krakowie Oddział nr 3 ZOR, był jego komendantem do 1942 r. Przeniósł się do Warszawy, czynny w BIP KG ZWZ-AK, kier. Podwydziału „P”. Opracowywał „Tygodniowe sprawozdania prasowe” z gromadzonej wszelkiej prasy podziemnej, tzw. „śmietnika”. W Powstaniu Warszawskim kier. placówki radiowej „Anna”, po Powstaniu w Pruszkowie w ekspozyturze BIP „Mleczarnia”. Pseudonimy: Zaleski, Łaski, Nowina, Sulima, Olesza. Odzn. KW. Autor relacji oraz „Udział adwokatów polskich w konspiracji wojskowej 1939-45” (*Palestra* nr 8 1983). Po wojnie wrócił do praktyki adwokackiej w Krakowie. (Oprac. wg wzmianek w „BIP...” G. Mazura)

Marian Baran, dr Wanda Lewicka oraz dawni prezesi ZPMD, absolwenci UJ – polonista dr Tadeusz Nowacki i prawnik Emil Słomka. Ponadto Maria Nowacka, żona Tadeusza.

Autorzy piszą o wypadkach, aresztowaniach i zsyłkach do obozów koncentracyjnych: w maju 1941 r. po wyspie w jednostce zakopiańskiej, w czerwcu 1942 r. i w tym samym roku we wrześniu. Wymieniają kpt. Adama Żeleńskiego, który wówczas objął kierownictwo Okr. Krakowskiego ZOR i w pierwszej połowie 1943 r. doprowadził do połączenia z Armią Krajową. Scalenie ZOR z AK odbyło się wg stanu na 31 marca 1943. Zgodnie z raportem potwierdzonym z ramienia AK przez płk. Antoniego Sanojcę, Okręg Krakowski ZOR wprowadził do Armii Krajowej 1700 swoich żołnierzy.

ADAM ŻELEŃSKI, członek ZOR od jesieni 1939 r., mianowany dowódcą ZOR Okręgu Kraków w 1942 r.

W biogramie Adama Żeleńskiego w mojej książce „Żeleńscy”⁴ informacje o jego działalności konspiracyjnej oparłem

4. Biogram Adama Żeleńskiego w książce „Żeleńscy” Zbigniewa Sroczyńskiego (wyd. Adiutor, Warszawa 1997 – str. 129-130): Adam (1905-1963) młodszy syn Stanisława Gabriela i Izabelli z Madeyskich. Studia w SGH w Warszawie. Od 1928 r. witrażysta, prowadził wraz z matką rodzinny „Krakowski Zakład Witrażów S.G. Żeleński” do upaństwowienia w 1952 r. Miał szerokie zainteresowania, był żeglarzem, modelarzem (jego model bitwy morskiej pod Oliwą był w lecie 1939 r. wystawiony w gmachu portu w Gdyni, wybuch wojny uniemożliwił realizację transakcji). Był kolekcjonerem dzieł sztuki, obrazów i sztychów o tematyce żeglarskiej, genealogiem własnej i spokrewnionych rodzin. Z pocz. II wojny podjął działalność konspiracyjną w organizacji „Zet”. Później był żołnierzem AK Okr. Kraków. W jesieni 1944 r. aresztowany, torturowany przez Gestapo, więzien Montelupich i obozu koncentr. w Flossenburгу do kapitulacji Niemiec.

Kuzyn Juliusz Łoś relacjonuje w liście do ZS z 22 II 1996 r.: *Na Montelupich siedziałem już wtedy, gdy wuj Adam został wywieziony do obozu koncentracyjnego (1944). Więźniowie opowiadali, że właściciel fabryki witraży namalował w jednej z cel obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Obraz ten był jeszcze za moich czasów, mówił mi o tym rusunku więzień przy pomocy „wystukiwania”. Już po wojnie wuj Adam to potwierdził. Adam ożenił się w 1945 r. 1° v. ze Stefanią z Lewakowskich h. Habdank (1901-1955) c. Zygmunta i Emilii z Kobylańskich, wdową po dyplomacie Macieju Biesiadeckim; 2° v. w 1963 r. z Haliną z Rowińskich rozw. Wallewein (1913-1991). Bezdzietny. Odznaczony Krzyżem AK. Pochowany w grobowcu rodzinnym na Cm. Rakowickim.*

na zachowanej kopii listu do przyjaciela w USA pisanego w 1958 r.:

w działaniach wojennych udziału nie brałem. Uczestniczyłem w tajnej robocie antyhitlerowskiej w organizacji ZET, później w AK, co odcierpiałem więzieniem, torturami sławnego Gestapo, obozem koncentracyjnym. Ale przeżywałem to, wróciłem żywy, co nie każdemu się udało...

Nie wiem, dlaczego „Zet”, a nie ZOR albo ZWZ. Czyżby Adam był związany przed wojną z ZET-em? Nie wiedziałem też, że miał stopień kapitana. Może był to stopień „czasu wojny”, bowiem przed wojną w wojsku nie służył. Za późno odnalazłem dokumenty o jego służbie w ZOR. Książkę o historii rodziny wydałem pół roku wcześniej. Adam nie był skłonny do zwierzeń, nigdy nie zdradzał szczegółów swojej działalności w konspiracji i współpracowników. Obawiał się niewątpliwie organów UB, narażania kolegów. Gdy w 1952 r. przejęto Zakład Witrażów pod zarząd państwowy, Adam, już wówczas chory, przeżył ciężko ten cios, liczył się z dalszymi szykanami, aresztowaniem. Oczyszczył dom ze wszelkich dokumentów związanych z wojenną robotą konspiracyjną i tę swoją historię zabrał do grobu.



W *Zeszytach Historycznych WiN-u*⁵ ukazały się wspomnienia Wacława H. Bnińskiego, oficera AK i WiN zawierające relacje z jego kontaktów z Adamem Żeleńskim w AK-owskiej służbie w Krakowie w latach 1943-45. Te wspomnienia pozwoliły mi uporządkować i uzupełnić wojenny życiorys

5. *Zeszyty Historyczne WiN-u* Zeszyt nr 10, wrzesień 1997 (wyd. Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, Kraków). Wacław H. Bniński „Fragmenty wspomnień z lat 1945-1948” (str. 149).

Wacław Hilary Bniński (1923-1998) ps. Wioślarz, Key. Ppor. AK i WiN. Adiutant płk. Józefa Spychalskiego (ps. Luty i in.) dow. Okr. AK Kraków. Oficer ds. zleceń szefa sztabu K.O.AK Kraków płk. Jana Lasoty ps. Przyzba i jego za-cy płk. Kazimierza Rolewicza, szefa BIP KO AK Kraków. W 1945 w Delegaturze Sił Zbrojnych i WiN w Krakowie. Od sierpnia 1946 na emigracji. Pracował m.in. w rozgłośni Głosu Ameryki.

Adama Żeleńskiego, który był wówczas skarbnikiem Komendy Okręgu AK. Będzie więc i opis sensacyjnej historii „skarbu” Krakowskiej Komendy AK pochodzącego ze zrzutów ukrytego przez Adama Żeleńskiego przed aresztowaniem. Skarb przeleżał się w ukryciu kilkanaście miesięcy, Bniński przejął go dla Delegatury Sił Zbrojnych już po rozwiązaniu AK, oddał się do dyspozycji kierownictwu WiN-u. „Dla zabezpieczenia” ten skarb przechodził z rąk do rąk, z piwnicy do piwnicy, aby w końcu trafić w najmniej powołane ręce.

Z RELACJI KRAKOWSKICH DZIAŁACZY ZOR-u

W maju 1971 r. dr med. Jadwiga Beaupré zebrała i spisała wspomnienia kilku aktywnych działaczy ZOR-u w Krakowie. Wynika z nich, że ZOR podjął tu działalność już w jesieni 1939 r., że Służba Zwycięstwu Polski utworzona w Warszawie z końcem września jeszcze się w Krakowie nie sformowała, skoro twórcy ZOR-u zdołali pozyskać zaufanie i współpracę tak szerokiego grona z miejscowej społeczności. Na tym terenie była to pierwsza, lub jedna z pierwszych organizacji niepodległościowych w konspiracji.

Dr KAZIMIERZ OSTROWSKI, adwokat, ul. Grodzka 50 wspomina:

Oparłem się na swoich dawnych współpracownikach ZPMD, ale też włączyła się liczna grupa osób ze środowisk robotniczych, rzemieślniczych, młodzieży... Organem drukowanym ZOR-u krakowskiego był Biuletyn Informacyjny. Wiadomości czerpano z kilku źródeł, w celu podtrzymania ducha społecznego, publikowane wiadomości były nierzadko redagowane tendencyjnie...

Adama Żeleńskiego poznałem przed II wojną światową w Związku Filaretów w Krakowie, którego prezesem był brat Adama, Władysław Żeleński⁶. Mając do Adama pełne

6. Władysław Żeleński (ur. 1903) starszy brat Adama. Do wojny prokurator ds. politycznych w dyspozycji Min. Sprawiedliwości w War-

zaufanie, w jesieni 1939 r. przedstawiłem mu ideologię i program działania Związku Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR), który w tym okresie zawiązany został na terenie Krakowa. Po uzyskaniu od niego zgody na włączenie się do tej organizacji krystalizującego się powoli ruchu oporu podziemnego, jako komendant Okręgu ZOR zaprzysięgłem go osobiście.

Początkowo Adam Ż. brał udział w organizowaniu małych grupiek konspiracyjnych, a wkrótce potem zajął się także sprawami druku i kolportażu Biuletynu Informacyjnego. Następnie Adam Ż. został mianowany dowódcą kompanii ZOR (po aresztowaniu Edwarda Grocholskiego-Popiela – przyp. ZS). Od 1942 r. po wielkiej wyspie ZOR, gdy musiałem uciekać z Krakowa, Adam Ż. został mianowany dowódcą ZOR okręgu. Po scaleniu ZOR w ramach Armii Krajowej został mianowany skarbnikiem dowództwa obszaru AK, którego zasięg obejmował całą południową Polskę.

W 1942 r. tuż przed wielką wyspą wykańczaliśmy już stadium scalania drobnych grup organizacyjnych w ramach ZWZ... Zostało ono doprowadzone do końca u schyłku 1942 r. już osobiście przez Adama Żeleńskiego jako dowódcy Okręgu Krakowskiego ZOR.

Jednym z pierwszych przedstawicieli formującego się podziemia, który zgłosił się do ZOR w celu poddania się akcji scalania był Józef Cyrankiewicz, pracujący wtedy w sztabie BOR'u. (W tym czasie płk Tadeusz Komorowski używał jeszcze przeważnie pseudonimu Korczak – przypis ZS). Pilotem Cyrankiewicza w tym zakresie, tj. w ramach ZOR-u był członek nasz Orzelski. Zawiadomione o wizycie Cyrankiewicza kierownictwo ZOR-u w Warszawie odpowiedziało, że scalenie to zostanie zrobione odgórnie przez organa warszawskie.

szawie. Oficer WP w wojnie niemiecko-francuskiej w 1940 r. Internowany w Szwajcarii, uciekł do II Korpusu we Włoszech. Emigrant polityczny we Francji, mieszka w Paryżu. Działacz polonijny, publicysta *Kultury* i in. prasy emigracyjnej. T. Żenczykowski mówił mu, że w zimie 1939/1940 r. poznał w Krakowie Adama Żeleńskiego, mieszkał u niego i spotykał się w jego domu z kadrą krakowską ZOR.

Uzupełnienie tej relacji:

Od dr Marka Ney-Krwawicza uzyskałem informację, że Józef Cyrankiewicz był działaczem Gwardii Ludowej PPS scalonej później z Armią Krajową (nie mylić z Gwardią Ludową PPR!).

Wymieniony przez K. Ostrowskiego Orzelski to inż. chemii Tadeusz Orzelski, dyrektor Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Krakowie. W ZOR i ZWZ używał pseudonimu „Tadeusz”. O nim piszą Wincenty Hein i Czesława Jakubiec w książce „Montelupich” (Wydawnictwo Literackie Kraków-Wrocław 1985, str. 389-390), że był komisarzem cywilnym Obszaru IV ZWZ, zaaresztowany w 1940 r. i zesłany do Oświęcimia. W kwietniu 1941 r. krakowskie Gestapo prowadziło śledztwo przeciw grupie żołnierzy ZWZ, padło nazwisko Orzelskiego. Prawdopodobnie ktoś z przesłuchiwanym wydał nazwisko Orzelskiego w przekonaniu, że już mu to nie zaszkodzi. Orzelskiego sprowadzono z Oświęcimia do więzienia na Montelupich na konfrontację, ale był w tak złym stanie zdrowia, że umieszczono go w szpitalu św. Łazarza. W czerwcu 1941 r. żona Orzelskiego spoiła pilnującego go „granatowego” policjanta winem z dodatkiem środka nasennego. Więźnia wykradziono ze szpitala, Orzelscy ukryli się w Warszawie i przeżyli wojnę.

Łącznie w czasie okupacji niemieckiej miało miejsce czternaście udanych ucieczek więźniów Montelupich. Ten przypadek był jednym z pierwszych.

STANISŁAWA JAMROZ, ul. Miodowa 7 m. 4, sekretarka adw. K. Ostrowskiego wspomina:

W listopadzie 1939 r. zostałam zaprzysiężona przez adwokata Adama Dobrowolskiego⁷. Używałam pseudo

7. Adam Dobrowolski (1903-1981), dr prawa, adwokat w Krakowie od 1933. Od XII 1939 w ZOR, czł. Komendy Okr. nr 3 ZOR Kraków. Aresztowany 1 maja 1940 (więziony na Montelupich, w Tarnowie i Oświęcimiu – nr obozowy 587) zwolniony 14 czerwca 1941. Skreślony przez Niemców z listy adwokatów. Aresztowany ponownie, więziony na Montelupich od czerwca do listopada 1942. Przeniósł się do Warszawy, czynny w BIP KG AK w Wydz. Informacji. Ppor. czasu wojny. W Pow-

„Sława”, potem „Magda”. Dobrowolski był bardzo czynny w konspiracji do chwili aresztowania przez Gestapo w 1940 r.

Poznałam Adama Żeleńskiego zaraz po moim zaprzysiężeniu. Jego pseudonim „Budzisz”. Po wcieleniu go do 3 kompanii ZOR, której dowódcą był Edward Grocholski ps. „Popiel”. Adam Żeleński używał pseudonimu „Praojciec”.

Przy komendzie Okręgu ZOR wydawany był „Biuletyn Informacyjny” oparty na serwisie radiowym dostarczany przez szereg osób. Aparat radiowy dostaliśmy od Elżbiety Osterwianki-Nowotnowej, a inż. Stefan Świszczowski umieścił go na niedokończonej jeszcze budowie w dzielnicy Dębniki, którą to budowę prowadził do wybuchu wojny. Było to bardzo dobre schronienie. Korzystaliśmy z niego aż do aresztowania inż. Świszczowskiego (razem z malarzem Stopką), które nastąpiło w lipcu 1941 r. W 3-ciej kompanii ZOR zorganizowany był m.in. niejaki Sołtysik, który będąc subiektem w sklepie z papierem przy ul. Starowiślnej w Krakowie, dostarczał nam papier i inne materiały, jak np. matryce, pastę itp. Papier dawała też (bezpłatnie) pani Guniowa, właścicielka sklepu z papierem przy ul. Karmelickiej.

Adam Żeleński dostarczał stale wiadomości do Biuletynu Informacyjnego, ale nie wiem, czy nasłuch prowadził sam, czy też wiadomości otrzymywał od innych osób. Biuletyn odbijany był początkowo w Kongregacji Kupców przy ul. Wielopole 11, w tejże bowiem Kongregacji pracował jako adwokat Adam Dobrowolski, a że zajmował lokal piętro niżej pod pomieszczeniami Kongregacji, stuk rotacyjnego „Gestetnera”, na którym biuletyn był odbijany, dochodził tylko do mieszkania Dobrowolskiego.

Po aresztowaniu Adama Dobrowolskiego w maju 1940 r. i wywiezieniu go do Oświęcimia, trzeba było szukać innego miejsca na drukowanie biuletynu. Ofiarował je

staniu Warszawskim dow. placówki inf.-radiowej „Kowal”, później „Anna”. Po kapitulacji Powstania współpracował z Kaz. Moczarskim w BIP KG AK. Powrócił do praktyki adwokackiej. Odzn. KW oraz Sr. i Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Pseudonimy: Adamski, Kowalski, Sawicki.

Adam Żeleński w swoim domu przy Al. Krasińskiego 23, w warsztatach pracowni witrażów mieszczących się na parterze. Na drugim piętrze mieszkał Adam z matką swą panią Izą Żeleńską, która również brała czynny udział w naszej pracy konspiracyjnej. Zakład Witrażów stanowił znakomite pomieszczenie dla naszych potrzeb. Pełen był różnych materiałów, jak szkło, blacha, itd., nadawał się więc bardzo dobrze na schowanie w nim cyklostylu, jak również materiałów piśmiennych. Korzystaliśmy też z niego od lipca 1940 r. aż do czerwca 1942 r. czyli przez pełne 2 lata. Zawdzięczaliśmy to wyłącznie zmysłowi zaradności, umiejętnościom organizacyjnym, odwadze i poświęceniu Adama Żeleńskiego. Wystarał się on w tym okresie o płaski cyklostyl, bardzo dobry. Gromadziliśmy się zwykle wieczorami: członkowie 3-ciej kompanii ZOR i ja, najczęściej także Popiel-Grocholski. Matryce wypisywałam z reguły ja w kancelarii K. Ostrowskiego. Niekiedy pisał je ktoś inny i wtedy spotykałam się w mieście z Adamem Żeleńskim i wręczałam mu paczki z matrycami, pastą i papierem. Był to, w razie aresztowania, niezwykle trefny materiał, jednak Adam nigdy od zadania tego nie uchylał się, nikogo innego nie przysyłał, tylko sam skrupulatnie na te spotkania przychodził.

Jeden z członków 3-ciej kompanii, Adam Pasierb, z zawodu drukarz, zdobył małą maszynę drukarską. Nie miał jednak właściwych dla niej czcionek. Brakowi temu zapobiegł Adam Żeleński, który pewnego dnia dostarczył mu całą kasotę czcionek (skąd je zdobył – nie wiem). Od tego momentu mogliśmy wszystko na niej drukować – nie tylko materiały prasowe, także „lewe” kartki żywnościowe dla rodzin osób uwięzionych oraz jeńców znajdujących się w „Oflagach”. Do drukowania biuletynu używaliśmy tej maszyny rzadko, robiła bowiem duży hałas i przez cały czas jej pracy trzeba było bez przerwy przerzucać węgiel w piwnicy składu węgla, w której była umieszczana. Nazwiska właściciela składu niestety nie pamiętam.

W pomieszczeniach Zakładu Witrażów przechowywana była także broń i naboje. Znany mi jest ten fakt dobrze, ponieważ to ja właśnie zaopatrywałam w te materiały

naszą 3-cią kompanię przenosząc broń i naboje na ul. Józefa. Źródło pochodzenia tej broni było i jest mi nieznane.

W dniu 20 VI 1942 r. zostałam aresztowana przez Gestapo w ramach wielkiej wsypy całego ZOR. Zginęli wtedy w Oświęcimiu niemal wszyscy członkowie 3-ciej kompanii, łącznie z Popielem. Adama jednak nikt nie wyspał, choć nieomal wszyscy go znali. Był uwielbiany przez swoich towarzyszy roboty podziemnej. Szanowali go wszyscy za powagę w działaniu i wydawaniu poleceń, jak również za odwagę. Lubili za jego zawsze pogodne usposobienie i za jego uczynność. Ja, po ciężkich i długotrwałych przesłuchiowaniach w krakowskim Gestapo, zostałam wywieziona do Oświęcimia, skąd wyszłam w dniu 8 V 1945 r.

JADWIGA BIERNAKIEWICZ z d. WOJCIECHOWSKA, ul. Smoleńsk 12; absolwentka W. Szkoły Wychowania Fizycznego, anglistka, koleżanka szkolna siostry Adama Żeleńskiego, Walerii Sroczyńskiej – wspomina:

Do konspiracji wciągnął mnie Adam Żeleński w 1943 r. i zaprzysiężył. W jesieni tegoż roku powiedział mi, że trzeba gdzieś dobrze przechować dużą kwotę pieniędzy. Wynalazłam do tego celu schowek w piwnicy u pana Dygi w domu przy ul. Filareckiej 13. I do tego to miejsca pieniądze przyniósł Adam osobiście i też osobiście schował. Co do dalszych losów tych pieniędzy nic mi nie było i nie jest wiadomo.

W jesieni 1944 r. Adam został aresztowany przez Gestapo u siebie w domu – wraz z matką swą (którą wypuszczono po 10 dniach) i przyszlą swą żoną panią Biesiadecką (którą wypuszczono po 30 dniach). W więzieniu przy ul. Montelupich i w gmachu Gestapo Adam był przesłuchiwany przez Koernera. Choć Koerner usiłował wydobyć z niego zeznania biciem i torturami, Adam nie przyznał się do niczego, mimo, że wiedział przecież wszystko i znał mnóstwo ludzi. Nie wydał nikogo. Wtedy, jak zawsze przedtem, podziwialiśmy hart jego ducha. A z niszczącej siły destrukcyjnej tortur gestapowskich zdawaliśmy sobie zawsze dobrze sprawę.

JANINA KROPACZKOWA z d. PIELÓWNA, ul.
Filipa 5 – wspomina:

W czasie okupacji hitlerowskiej prowadziłam mały sklep spożywczy i w sąsiadującym z tym sklepikiem pokoju – kawiarenkę, gdzie z reguły schodziło się wiele osób. Adam Żeleński miał zorganizowane kontakty u mnie – w tej właśnie kawiarence, ponadto zaś wiadomo mi jest, że podobny punkt kontaktowy miał u pani Lili Myczkowskiej przy ul. Rajskiej oraz u pani Zofii Nowińskiej, nauczycielki (adresu jej nie pamiętam).

W jakimś okresie ostrzegłam Adama Żeleńskiego, żeby do mojej kawiarenki nie przychodził, bowiem zaczął tam kręcić się i ludziom przyglądać dentysta Pietroń (niebezpieczny konfident Gestapo, który niedługo później zabity został z wyroku naszego sądu podziemnego).

W 1943 r. (18 maja – przyp. ZS) wpadł do mojej kawiarenki Koerner (Rudolf Fritz Körner, funkcjonariusz krakowskiego Gestapo – przyp. ZS) i wywiózł dwie pełne ciężarówki osób, które w tym momencie znajdowały się w niej, a także mnie i moją 17-letnią córkę. Siedziałyśmy w więzieniu na Montelupich od maja do września 1943 r. Dopiero PCK w osobie pułkownika Stanisława Plapperta w jakiś sposób spowodował zwolnienie tych wszystkich ludzi (znajdował się wśród nich ojciec pisarza Wojciecha Żukrowskiego, jak również jakiś wyższy oficer AK, którego zaraz wciągnięto do pracy w kuchni więziennej).

W sierpniu 1944 r. – w tzw. „czarną niedzielę” – zostałam wraz z córką aresztowana po raz drugi przez Gestapo i wkrótce potem wywieziona do obozu w Ravensbrück.

Przy wszystkich przesłuchiowaniach byłam zapytywana o kontakty z Adamem Żeleńskim oraz z Warszawą. Z Adamem więcej nie zetknęłam się. Słyszałam tylko od różnych spotkanych osób o jego nieugiętej postawie po aresztowaniu przez Gestapo.

Przypisek ZS: Zima 1943. Przyjechałam służbowo do Krakowa z mojej placówki AK na spotkanie z nieznanym mi łącznikiem z innej jednostki. Miejsce: kawiarnia p. Kropacz-

kowej przy ul. Karmelickiej. Mieliśmy się rozpoznać po jakimś charakterystycznym szaliku. Lokal wybrany niefortunnie, bo dwaj młodzi ludzie w butach z cholewami, tzw. oficerkach wzbudzili sensację, a nawet popłoch. Powiedziałem o tym wujowi Adamowi i babce, wuj obiecał uspokoić właścicielkę kawiarni i sklepu, „bo często u niej robi zakupy”.

Dr JADWIGA BEAUPRÉ, lekarka, ul. Basztowa 4 m. 6
pisze:

Pracę w konspiracji rozpoczęłam właściwie już w październiku 1939 r. Zatrudniona byłam w szpitalu PCK dla jeńców wojennych przy ul. Skarbowej 2 (dawna bursa ks. Kuznowicza) w Krakowie, założonym wówczas przez mojego ojca, Zygmunta Klemensiewicza, który był prezesem krakowskiego PCK. W konspiracyjnym współdziałaniu pomagaliśmy mu w uwalnianiu oficerów WP. Polegało to przede wszystkim na ułatwianiu ucieczki z karetek Pogotowia Ratunkowego oficerom, którzy byli przewożeni do szpitala z tymczasowych obozów na Dąbiu i na terenie Szkoły Podchorążych w Bronowicach. Podobną zresztą akcję prowadziliśmy także i potem tj. po zupełnym zlikwidowaniu tych tymczasowych obozów. Różnymi – mianowicie – sposobami jeńcy wymykali się ze szpitala na wolność, przy naszej oczywiście pomocy. Ta pierwsza nasza działalność konspiracyjna skończyła się jednak z chwilą, gdy Niemcy zakończyli rejestrację wszystkich jeńców i wykonali ściśle ich spisy.

Spośród nazwisk zwolnionych przez nas ze szpitala osób wojskowych pamiętam: płk. Wierońskiego, płk. Kamińskiego i por. Brodzikowskiego. Niestety inne nazwiska kilkudziesięciu osób uwolnionych zatarły mi się w pamięci. Pod moją bezpośrednią opieką w szpitalu pozostawał oficer Legionów, gen. art. Wincenty Kowalski. Zmógł go na polu walki (we wrześniu 39) wyjątkowo silny atak kamicy nerkowej. Niemcy bardzo go honorowali, a przed jego pokojem w szpitalu stała stale warta. Był to wspaniały człowiek. Nigdy nie zapomnę, że on jedyny spośród setek oficerów przebywających w szpitalu – ledwie tylko po

ciężkiej chorobie mógł stanąć na nogach – odwiedzał codziennie chorych i rannych żołnierzy przebywających w tym samym szpitalu. Doceniając znaczenie tego człowieka postanowiliśmy, za jego zgodą, zorganizować mu ucieczkę. Szczegóły jej zostały precyzyjnie obmyślane i drobiazgowo przygotowane. Niestety w przeddzień wyznaczonego terminu ucieczki Niemcy wywieźli generała do Oslagu, ku naszemu głębokiemu żalowi.

W tymże szpitalu pracował ze mną dr Gustaw Nowotny, mój kolega ze studiów. Ponieważ znaliśmy się od dawna, miał do mnie zaufanie. On też pewnego dnia zaproponował mi wstąpienie do ruchu oporu, do organizacji, do której sam od niedawna należał. Zgodę wyraziłam. Wkrótce też zaprowadził mnie do mieszkania (przebywającego w tym czasie w Genewie) dra Witolda Langroda przy ul. Karmelickiej i w tym mieszkaniu zostałam przedstawiona drowi Kazimierzowi Ostrowskiemu, który zaprzysiągł mnie jako pierwszy Komendant ZOR na teren krakowski. Odbyło się to w styczniu 1940 r. Przybrałam w owym czasie pseudo „Sikorska”.

Bardzo niedługo potem poznałam Adama Żeleńskiego (pseudo „Budzisz”). Odbyło się to w jego mieszkaniu przy Al. Krasińskiego 23. Do zadań moich należało wtedy współdziałanie w organizowaniu sieci łączności ZOR oraz funkcja łączniczki pomiędzy K. Ostrowskim i A. Żeleńskim. W tym okresie spotykałam się często z Adamem Ż. Nadał on naszym spotkaniom charakter towarzyski. Przedstawił mnie więc swojej matce, pani Izcie Żeleńskiej, która zresztą również pomagała mu w pracy konspiracyjnej. Dzięki takiemu ustawieniu warunków mej pracy podziemnej, szukając Adama, wchodziłam wprost na II piętro do ich prywatnego mieszkania.

Kilka razy Adam spotykał się z Kazimierzem Ostrowskim u mnie, w moim mieszkaniu przy ul. Sobieskiego 5, także z dr Józefem Horodyńskim (neurologiem) i dr med. Józefem Korpałą.

Wiosną 1942 r. po stwierdzonej śmierci mego męża, Feliksa Beaupré w obozie w Oświęcimiu (wywiezionego tam po łapanie w Kawiarni Plastyków przy ul. Łobzowskiej) i

po wielkiej wyspie ZOR, zostałam wyprawiona przez moje władze podziemne na stałe do Warszawy. Tam przez płk. Antoniego Sanojcę (pseudo „Kortum”) zostałam umieszczona w służbie łączności Komendy Głównej AK, gdzie pracowałam już bez przerwy do Powstania Warszawskiego włącznie i do momentu wywiezienia mnie do obozu w Niemczech.

Po przymusowym wycofaniu się dra K. Ostrowskiego z terenu Krakowa, po wyspie ZOR, Adam Żeleński został komendantem Okręgu ZOR i on to dokończył dzieła włączenia organizacji ZOR do AK. W nowym układzie pełnił funkcję skarbnika Komendy Okręgu Krakowskiego AK. Aresztowany w 1944 r. wywieziony został do obozu w Flossenbурgu. W czasie przesłuchiwań przez Gestapo nie powiedział ani słowa o swoich powiązaniach i pracach podziemnych, pomimo, że był nieludzko pobity.

Spotkałam się z nim dopiero po wojnie, w 1956 r., po moim pierwszym pobycie w Paryżu. Spędziliśmy wówczas szereg godzin na rozmowie o dawnej wspólnej pracy. Był już wtedy chory na serce, a miał zaledwie 51 lat.

Adam Żeleński pozostał mi w pamięci jako człowiek niezwykle oddany naszej pracy konspiracyjnej. Cechowała go wyjątkowa skrupulatność. Wszystkie jego poczynania charakteryzowały się nie liczącą się z niczym osobistą odwagą, a także wielką troską o podlegających mu ludzi. Pozornie cechy te nie licowały z jego zewnętrznym wyglądem, elegancją i wytwornym sposobem bycia, a także wielkim urokiem osobistym. Ale to tylko pozornie. Podwładni uwielbiali go. Oni to – żołnierze 3-ciej kompanii ZOR – nadali mu pseudonim „Praojciec”, w którym znalazła swój wyraz zarówno wdzięczność za ojcowską opiekę, pomoc i dobrą radę, jak i uznanie za wyjątkową dzielność w działaniu organizacyjnym.

ZBIGNIEW MADEYSKI, Warszawa, ul. Tamka 19 m. 64⁸

Wyciąg z zapisków własnych dotyczący osoby Adama Żeleńskiego w okresie okupacji hitlerowskiej 1939-1945 r.

8. Zbigniew Madeyski (1897-1984) dr prawa, przed II wojną poseł do Sejmu RP.

Na przełomie 1939/1940 r. przebywałem w Wilnie. Na terenie tym znalazłem się w pierwszej połowie września 1939 r. Zostałem mianowicie delegowany na ten teren przez Ogólnopolski Komitet Samopomocy Społecznej (i dodatkowo przez Polską YMCA) w celu zorganizowania na terenie trzech województw północno-wschodnich (wileńskie, białostockie i nowogrodzkie) sieci organów tego Komitetu na czas wojny. Po wkroczeniu na teren Wileńszczyzny wojsk radzieckich mandat mój automatycznie wygasł. Przemianowałem go wobec tego na „Komitet Pomocy Uchodźcom”, którego prezesem został prof. Kazimierz Pelczar, a ja sekretarzem generalnym.

Po przejściu władzy przez Litwę Kowieńską (tak to się ona wówczas nieoficjalnie nazywała) Komitet ten został przemianowany na „Polską Sekcję Pomocy przy Litewskim Czerwonym Krzyżu” (Lietuvos Raudonas Kryžius). Komitet rozwinął szeroką akcję wielostronnej pomocy dla kilkudziesięciu tysięcy osób, zgrupowanych w kilkunastu grupach zawodowych.

W marcu 1940 r. Prezes powiadomił mnie, że przez władze litewskie zostałem uznany za „persona non grata” i że w związku z tym muszę opuścić teren Wilna i Litwy w ogóle. W wykonaniu tej dyspozycji znalazłem się w pociągu idącym do Warszawy (gdzie przed wojną stale mieszkalem), który na granicy litewsko-niemieckiej został przejęty przez umundurowane oddziały niemieckie. Wszyscy Polacy zostali internowani w obozie Stalag IB (na polach Grunwaldu, tuż przy Mauzoleum Hindenburga). Po powrocie z tego obozu w czerwcu 1940 r. zamieszkałem w Warszawie przy ul. Mokotowskiej 14, a żona moja Krystyna, wraz z dziećmi, w Wilkowie (pow. miechowski), później w Krakowie przy Al. Mickiewicza 61.

W październiku 1939 r. nadeszła do Wilna instrukcja z Warszawy, podpisana przez gen. Karaszewicza-Tokarszewskiego, w sprawie zorganizowania na terenie wileńszczyzny Związku Walki Zbrojnej (ZWZ) i podjęcia podziemnej walki z okupantem niemieckim. W 4-osobowym zespole (b. poseł Władysław Kamiński, dyrektor wileńskiej Ubezpieczalni Społecznej Galiński, późniejszy generał Aleksan-

der Krzyżanowski i ja) utworzyliśmy pierwszy na tym terenie załazek przyszłej Armii Krajowej. Raport o powołaniu go przywiozła do Warszawy moja żona Krystyna, która przez zieloną granicę dotarła do Warszawy jeszcze w październiku 1939 r.

Po powrocie z obozu do Warszawy, w czerwcu 1940 r. będąc w Krakowie powiadomiłem o wynikach naszych prac organizacyjnych m.in. także Kazimierza Ostrowskiego, z którym byłem zaprzyjaźniony z czasów międzywojennych. Z jego strony otrzymałem wiadomość o prowadzonej już na terenie Krakowa analogicznej akcji podziemnej przez Związek Odbudowy Rzeczypospolitej (ZOR). W wyniku naszych rozmów włączyłem się do tej organizacji i – za zgodą Kazia – wciągnąłem do niej także moją żonę. W jej to mieszkaniu (adres j.w.) w Krakowie zorganizowany został punkt łączności organów ZOR i rozdzielnia tajnych wydawnictw prasowych. Do miejsca tego zgłaszały się kolporterki, które po otrzymaniu pakietów z odpowiednią ilością egzemplarzy prasy rozprowadzały je na terenie miasta Krakowa i województwa krakowskiego. Ja sam mieszkalem wówczas w Krakowie (adres j.w.).

*Odwiedzając od czasu do czasu Krystynę i dzieci otrzymywałem wiadomości o przebiegu jej prac podziemnych. Omawialiśmy wspólnie różne związane z ruchem oporu problemy, informowałem ją o tym, co w tymże czasie działo się w Warszawie, gdzie z kolei ja byłem czynny. Odkrywałem w niej wysoki stopień zaangażowania się w tę robotę. Była twarda, zdyscyplinowana, odważna, z czasem nawet ryzykancka. W jej mieszkaniu robota przebiegała sprawnie. Umiała ustawić ją dostatecznie „poufnie”, co przedstawiało nie małą trudność z uwagi na obecność w domu pomocnicy domowej, naszej przedwojennej jeszcze, Marysi Rylskiej oraz małoletniego syna. W mieszkaniu tym odbywały się spotkania osób z kierownictwa ZOR. Opo-
wiadala mi, że w jakimś dniu, gdy sama otwierała drzwi wejściowe na umówiony sygnał dzwonkowy, za drzwiami ukazał się Adam Żeleński, którego znała osobiście, jako że byliśmy krewnymi. Zgodnie z instrukcją potraktowała go oczywiście poufnie, tj. jakby go nie znała. W obradach,*

które odbywały się w jednym z pokoiów, Krystyna udziału nie brała.

W końcu kwietnia 1940 r. jedna z kolportererek ZOR wpadła w ręce Gestapo przewożąc w pociągu transport bibuły. Podczas badania nie wytrzymała bicia i wyspała adres przy Al. Mickiewicza 61 jako miejsca dystrybucji prasy podziemnej. Krystyna – uprzedzona o tym fakcie, z polecenia Kazia Ostrowskiego, który otrzymał alarmowy sygnał od swego wywiadu, zgodnie z otrzymanym poleceniem, natychmiast odstawiła chorego syna do domu mej matki (przy Al. Krasieńskiego 14) i sama ukryła się najpierw na terenie Krakowa, a potem – na terenie województwa kieleckiego pracując w różnych miejscach i w różnym charakterze (najdłużej na terenie m. Proszowice w Związku Plantatorów Tytoniu). Mieszkanie przy Al. Mickiewicza pozostawało pod opieką Marysi Rylskiej. Później okazało się, że w całym tym dramacie odegrała ona rolę pozytywną, zarówno przy badaniu jej przez Gestapowców, jak i w okresie zorganizowanego przez Gestapo „kotła” w tym mieszkaniu.

W związku z tą wpadką zostałem i ja aresztowany w Warszawie. Od razu podczas nalotu gestapowskiego na moje mieszkanie domyśliłem się, że chodziło o robotę krakowską. Po tygodniowym pobycie w podziemiach przy Al. Szucha i na Pawiaku zostałem przewieziony do więzienia Montelupich w Krakowie.

Podczas całonocnej podróży pociągiem do Krakowa, domyśliwszy się sytuacji, w jakiej znalazł się punkt ZOR przy Al. Mickiewicza, opracowałem sobie koncepcję samoobrony i obrony, która polegała na wykorzystaniu faktu oddzielnego zamieszkania mego i Krystyny; nie żyliśmy już ze sobą od dłuższego czasu, mianowicie prowadziliśmy życie oddzielne i łączyła nas tylko wspólna opieka nad dziećmi. Teza ta do końca wytrzymała próbę. Pomimo bardzo wnikliwych badań i fizycznej udręki w krakowskim Gestapo i więzieniu, udało mi się osłonić wszystkie znane mi fakty i nazwiska związane z organizacją ZOR. Ponieważ w toku wielokrotnych badań w pytaniach stawianych przez Gestapowców, w szczególności przez mojego „Sacharbeitera”, przewijała się postać

Marysi Rylskiej, mogłem już wtedy zdać sobie sprawę z faktu, że nie wydobyli oni z niej nic więcej, poza tym, co było oczywiste i nie ulegało wątpliwości. W każdym razie nie otrzymali oni od niej żadnych informacji, które zaszkodziłyby ludziom ZOR.

Po Montelupich przewieziony zostałem na zapotrzebowanie Gestapo warszawskiego do więzienia na Pawiaku; oczekiwała mnie nowa sprawa spowodowana wpadką kuriera londyńskiego uchwyczonego przy przechodzeniu Karpat.

Z Adamem Żeleńskim spotykałem się później, gdy już po wyjściu z więzień przebywałem czasem u mej matki mieszkającej już wtedy w Olszy w domu Potockich. Matka moja lubiła bardzo Adama, jak zresztą i my wszyscy. Adam też chętnie matkę odwiedzał, jak to doraźnie obserwowałem. O dalszej działalności podziemnej Adama nie miałem już wiadomości, choć obaj wiedzieliśmy o sobie, że siedzimy w tajnej robocie niepodległościowej, ja w szeregach AK w Warszawie, w zgrupowaniu KRYBAR, oraz w Delegaturze Rządu, w Departamencie Pracy i Opieki Społecznej.

Po wojnie spotykaliśmy się rzadko: w Warszawie, dokąd od czasu do czasu dojeżdżał, lub u niego przy Al. Krasińskiego 23. Ostatni raz, gdy go odwiedzałem, był już po pierwszym zawale serca. Rozmowa toczyła się oczywiście nad problemami polskiej rzeczywistości. W naszej długiej rozmowie oraliśmy te problemy. Żegnając mnie, dopiero wtedy dał mi odczuć swój stan depresji życiowej. „Nie jestem pewny, czy się jeszcze kiedy spotkamy...” – powiedział. Jasne jest, że w owym momencie nie poddałem się tej złowróżbnej ocenie. Wtedy też widziałem go po raz ostatni.



Na tym kończą się zebrane relacje krakowskich żołnierzy Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Może zachowały się w domowych archiwach Krakowian egzemplarze tajnych wydawnictw ZOR-u? Albo wspomnienia rodzinne?

Nie jestem historykiem, nie podejmę więc dalszych poszukiwań i szerszego opracowania dziejów ZOR-u. Może mój artykuł posłuży historykom – badaczom historii Polskiego Państwa Podziemnego i skłoni ich do zajęcia się pełną monografią tej organizacji.

●

Fragmenty relacji Bnińskiego:

W kwietniu 1945 r. NKWD/UB podjęły intensywną akcję przeciw krakowskiemu podziemi. Na Plantach zamordowano dowódcę Batalionów Chłopskich okręgów Kraków i Śląsk. Na Wielopolu postrzelono i aresztowano płk. Lasotę-Przyzbę i przewieziono do Moskwy. Płk Rolewicz⁹ był zdania, że w Komisji Likwidacyjnej AK w Krakowie znalazła się wtyczka NKWD w osobie AK-owca pseudonim Andrzej.

...Utworzenie tymczasowego Rządu Jedności Narodowej i przyjazd do Polski Stanisława Mikołajczyka (27 VI 1945) zmieniły nastroje i klimat polityczny. Zawitał promień nadziei oparty w znacznej mierze na rachubach, że Stany Zjednoczone i Anglia wymogą na Związku Radzieckim i na rodzimych komunistach przeprowadzenie wolnych wyborów i ukrócenie terroru politycznego. Ważne było pojawienie się na scenie politycznej Polskiego Stronnictwa Ludowego reprezentującego duży odłam społeczeństwa.

●

Adam Żeleński wrócił do Krakowa 2 września 1945 r. W liście do przyjaciela Antoniego Molińskiego w Żywcu z dnia 5 września pisze:

Wróciłem w niedzielę. Dzieje moje były urozmaicone, w obozie byłem do 13.04.br., do chwili ewakuacji po zbombardowaniu fabryki. W czasie marszu ewakuacyjnego

9. Kazimierz Rolewicz – płk. Z-ca szefa sztabu K.O.AK Kraków i szef BIP Okr. AK Kraków, w 1945 r. z-ca dow. WiN. Pseudonimy: Solski, Zbyszek. Od sierpnia 1946 r. na emigracji.

w pierwszą noc uciekłem, ale następnej nocy złapała mnie i kolegów Schutzpolizei i ostatecznie osiedliśmy w kryminalu, w więzieniu w Klingentahlu w Sudetach, skąd uwolnili nas Amerykanie 7 maja... Amerykanie odpaśli mnie w Oelnitz i Coburgu, wyglądał jak paczek w maśle...

De facto nie wyglądał tak dobrze. Pamiętam jego powrót. Był szary, wyniszczony, słaby, dolegało mu serce.

Rodzinę Molińskich wspominał z wdzięcznością za paczki żywnościowe przysyłane mu do obozu. Relacjonował swoje przeżycia. Ciężkie tortury Gestapo, bicie, przypalanie papierosami; zachowały się blizny na rękach. *Wiedziałem, że mnie zabiją, więc wypierałem się wszystkiego, niczego się ode mnie nie dowiedzieli, żadnego nazwiska.* Na Montelupich poznał wspaniałych ludzi, współwięźniów.

Z obozu, o którym wiele opowiadał, najgłębiej utkwiał mu w pamięci stały głód, uciążliwe kolejki do porcji „wasserzupki”. Po powrocie przypinał sobie do klapy marynarki skrawek pasiaka. Łudził się, że ta odznaka powinna więźniom dawać pierwszeństwo we wszystkich kolejkach... O działalności konspiracyjnej nie mówił nic.

„SKARB”

Po wojnie Wacław Bniński osiadł na emigracji. Jako pracownik radia „Głos Ameryki” przeprowadził wywiad z Władysławem Żeleńskim, starszym bratem Adama, publicystą pism emigracyjnych. Zrelacjonował mu wówczas swoje kontakty z Adamem w Krakowie i opowiedział o przejęciu osobistej depozytu w złocie i dolarach dla Delegatury Sił Zbrojnych w październiku 1945 r.

Relacja Bnińskiego zamieszczona w *Zeszytach Historycznych WiN-u* zawiera szczegóły tej operacji.

Bniński pisze, że Adam Żeleński po swoim powrocie do Krakowa szukał kontaktu z Komendą Okręgu AK. Bnińskiego powiadomił przez Mieczysława Boczara¹⁰. Doszło do

10. Mieczysław Boczar – pracownik, a od 1945 dyr. Państw. Wytwórni Papierów Wartościowych w Krakowie. Żołnierz AK. Dzięki niemu w

spotkania. Adam Żeleński poinformował Bnińskiego, że przed aresztowaniem, z końcem lipca 1944 r. płk Lasota-Przyzba zlecił mu zamelinowanie paczek, wyjaśniając, że zawierają złoto i złote dolary ze zrzutu lotniczego dla Komendy Okręgu AK Kraków. Że zakopał te paczki w sobie tylko znanym miejscu i stwierdził po powrocie, że „skarb” jest nienaruszony i bezpieczny. Od Bnińskiego dowiedział się o aktualnej strukturze podziemia i o aresztowaniu płk. Lasoty-Przyzby. „I co my teraz z tym fantem zrobimy” – zastanawiali się wspólnie. Adam Żeleński nie znał wartości depozytu.

W historii tego „skarbu” miałem swój epizodyczny udział, bowiem jakiś czas po powrocie do Krakowa wuj Adam Żeleński – zastrzegając tajemnicę – poprosił mnie o pomoc. Wykopałem w piwnicy budynku Zakładu Witrażów 2 skrzynki metalowe zaplombowane i zabezpieczone przed wilgocią i zaniósłem do kancelarii Zakładu. Nie komentował, ja nie pytałem. Skojarzyłem sobie oczywiście wizyty „Małego” i dopytywanie o depozyt AK przyjęty przez Adama przed aresztowaniem.

Do Krakowa przyjechała pani Antosia Budzisz z kaszubskiej rodziny rybaków na półwyspie Helskim. Adam był z nimi od lat zaprzyjaźniony, spędzał u nich urlopy, wspólnie wypływali na połowy. Adam ją gościł, pokazywał Kraków. Przy mnie informował ją, że w konspiracji przyjął pseudonim „Budzisz”, ale szybko zmienił, aby nie narazić ich rodziny. Spytałem go wówczas, czy spisze historię swojej działalności podziemnej. Odpowiedział, że nie pora jeszcze na to, że wciąż obowiązuje go tajemnica.

Z końcem 1945 r. Adam ożenił się. Prowadził nadal Zakład Witrażów, który został wkrótce upaństwowiony. W 1955 r. owdowiał, w następnym roku zmarła jego matka. Chorował, przeżył dwa zawały. W 1963 r. ożenił się ponownie, zmarł nagle po miesiącu.

Przypomnieliśmy sobie wówczas o testamencie u księdza infułata Ferdynanda Machaya.

PWPW i Drukarni Narodowej w Krakowie była drukowana tajna prasa AK i w 1945 r. zatrudniani żołnierze AK. Kolega i przyjaciel Adama Żeleńskiego.

Poszedłem do Kościoła Mariackiego, przedstawiłem się księdzu, zamówiłem mszę św. Poprosiłem księdza Machaya o udział w pogrzebie. Odmówił tłumacząc się złym stanem zdrowia. Złożył mi kondolencje dla rodziny. O Adamie mówił ciepło, po imieniu, że znał rodzinę od wielu lat, że łączyła ich współpraca witrażowa. Spytałem wówczas, czy wuj zostawił u niego testament. Oświadczył, że nie. Powiedziałem o informacji udzielonej nam przez śp. Iżę Żeleńską przed laty. Potwierdził. Opowiedział, że Adam przyszedł do niego zagrożony aresztowaniem, wyśpowiadał się, i poprosił o przechowanie dokumentu i oddanie go wiarygodnej osobie w przypadku jego śmierci. *Treści dokumentu nie znam, zażądałem, aby zakleił kopertę. Zjawił się u mnie po powrocie z obozu i kopertę odebrał.*

Historię „skarbu” i epilog poznałem teraz dopiero, po przeszło 50 latach. Wróćmy zatem do wspomnień Bnińskiego.

Bniński powiadomił o istnieniu depozytu płk. Kazimierza Rolewicza, który był przypadkowo aresztowany w lipcu 1945 r. w mieszkaniu, w którym UB założyło kocioł. Już 21 sierpnia po ogłoszeniu ustawy amnestyjnej wyszedł na wolność. Nakazał Bnińskiemu przekazanie depozytu do centrali Delegatury Sił Zbrojnych. Adam Żeleński zgodził się na to, skoro Delegatura jest sukcesorem AK i Komendy Okręgu AK Kraków. Sam nie zadeklarował ponownego włączenia się do działalności konspiracyjnej.

Wkrótce Delegatura przestała istnieć, w jej miejsce powołano WiN, szefem («kierownikiem») został płk dypl. dr Jan Rzepecki, były szef BIP KG AK.

EPILOG

„Skarb” przejął od Adama Żeleńskiego osobiście Bniński, przechować go miała Maria Starowieyska, która po aresztowaniu w sierpniu 1944 r. i zesłaniu do Ravensbrück wróciła w czerwcu 1945 do Krakowa przez Szwecję.

Cytuję relację Bnińskiego:

W dwóch blaszanych pudełkach wykopanych w jednej

z piwnic Zakładów Witraży znajdowało się:

1) ponad trzy tysiące dolarów w złotych monetach dwudziesto- i dziesięciodolarowych,

2) sześć tysięcygramowych cegiełek złota; dwie z nich miały sygnatury ZSRR; cztery nie były oznakowane,

3) dwadzieścia brylantów, prawdopodobnie cztero- albo sześciokaratowych, czystych, o nowym szlifie. Ponadto kilka (osiem, dziesięć?) dużych brylantów w oprawie złotych męskich i damskich pierścionków.

Po zinwentaryzowaniu i przeliczeniu sporządziliśmy z A. Żeleńskim dwa kwity zdawczo-odbiorcze, spisując je na bibulce japońskiej. Ja podpisałem kwit pseudonimem «Wioślarz», którego nie używałem od lata 1942 r., gdy odbywałem Podchorążówkę Piechoty przy Komendzie miasta Kraków. A. Żeleński podpisał pseudonimem z okresu ZOR. Zatrzymał jeden kwit, drugi oddałem K. Rolewiczowi. Tego samego wieczora za dwoma nawrotami przenieśliśmy z moją żoną «skarb» do mieszkania Marii Starowieyskiej.

Od Marii Starowieyskiej 2 października odebrała depozyt „bardzo miła i ujmująca pani po wymianie hasła”. Bniński był tego świadkiem i w kilka lat później rozpoznał tę panią z fotografii. Była to sławna „Marcysia”, Emilia Malessa¹¹,

11. Emilia Marcelina Izdebska (1909-1949) 1^{ov}. Malessa, 2^{ov}. Piwnik (żona por. AK Jana Piwnika ps. Ponury, c.c.), 3^{ov}. Stanul. W konspiracji od 1939 r. w KG ZWZ-AK. Uczestnik Powstania Warszawskiego, później w sztabie Delegatury Sił Zbrojnych i Kierownictwa WiN. W X 1945 zgłosiła odejście z WiN (uzyskała zgodę). Aresztowana przez UB 31 X 1945. W procesie WiN-u z pocz. 1947 r. skazana na 2 lata więzienia, ułaskawiona przez Bieruta (wraz z płk. J. Rzepeckim) zwolniona 5 lutego 1947 r. W uzasadnieniu wyroku: „przy wymiarze kary uwzględniono... osk. Malessa przedstawia typ tragicznie oszukanego i błędzącego «akowca», któremu zgubna polityka dowódców uniemożliwiła i utrudniła wyjście z matni. Jeszcze przed aresztowaniem uznała niecelowość swej dalszej pracy konspiracyjnej i zażądała zwolnienia. Okoliczność ta świadczy, że jest jednostką, która pożytecznie jeszcze może pracować dla społeczeństwa polskiego”.

Pisała w życiorysie: „...wobec negatywnego stanowiska do dalszej konspiracji we własnym państwie, po bezpośrednim zetknięciu się z władzami bezpieczeństwa, polskimi, nie NKWD, to jest z obcą policją... wobec zapewnienia przez czynnik oficjalny, jakim jest Bezpieczeństwo,

która aresztowana przez UB ujawniła w śledztwie nazwiska przywódców WiN-u, płk. J. Rzepeckiego, płk. Antoniego Sanojcy, ppłk. Ludwika Muzyczki i innych. Potwierdziła to w swoim autobiogramie; o ujawnieniu depozytu nie wspomina.

W październiku 1945 r. na polecenie płk. Jana Rzepeckiego „skarb” został zdeponowany w kolejnej piwnicy, tym razem u krakowskiego adwokata (nazwisko nieznane), przyjaciela Stefana Korbońskiego. Po aresztowaniu płk. Rzepeckiego, o czym nikt tu jeszcze nie wiedział, zgłosił się „zaufany” z jego rozkazem wydania „skarbu”.



Wacław Bniński z rodziną i płk Kazimierz Rolewicz wyjechali na Zachód 10 sierpnia 1946 r. w transporcie zorganizowanym przez „Białego Kapitana” Stefana Rybickiego. Ani Bniński do chwili wyjazdu, ani Starowieyska do śmierci w 1951 r., ani Adam Żeleński nie byli nagabywani przez UB w sprawie tego skarbu. Można więc wysnuć wniosek, że „skarb” nie zasilił budżetu PRL, a zagarnęli go prywatnie funkcjonariusze UB.

Pisane w maju 1998 r.

Zbigniew SROCYŃSKI

SKRÓTY (niektóre):

AK – Armia Krajowa

BIP – Biuro Informacji i Propagandy (w ramach ZWZ i AK)

wolności ujawnionym kolegom, podjęłam z więzienia akcję ujawniania...”

Jacek (Józef) Różański z Min. Bezpieczeństwa Publicznego zapewnił ją wówczas, że żadna z ujawnionych osób nie będzie więziona i sądzona. Podjęła interwencje u ministra bezp. publicznego i prezydenta Bieruta o dotrzymanie umowy i zwolnienie skazanych i więzionych nadal. Nie odniosło to skutku, Malessa popełniła samobójstwo.

Pseudonimy: Maniuta, Marcysia. Odznaczona KW (1943) i VM (1944).

Oprac. na podstawie: A.K.Kunert „Słownik Biogr. Konspiracji Warszawskiej 1939-1944”, Zeszyt 3 (wyd.IW PAX 1991) i in.

c.c. – cichociemny
KG – Komenda Główna
KO – Komenda Okręgu
KW – Krzyż Walecznych
NKWD – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych
Oflag – niemiecki oficerski obóz jeńców
PPR – Polska Partia Robotnicza
PPS – Polska Partia Socjalistyczna
Stalag – niemiecki obóz jeńców dla podoficerów i żołnierzy
SZP – Służba Zwycięstwu Polski
TWZW – Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze (w ramach
BIP KG ZWZ-AK)
VM – Krzyż Virtuti Militari
WiN – Wolność i Niezawisłość
ZET – Związek Młodzieży Polskiej
ZOR – Związek Odbudowy Rzeczypospolitej
ZPMD – Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej
ZWZ – Związek Walki Zbrojnej

Stanisław TAMOWICZ

PLUTON ŁĄCZNOŚCI KANAŁAMI

Stan Plutonu Łączności „Kanałowej” jest trudny do ustalenia, w trakcie koncentracji na Szpitalnej było nas 15 do 20 osób, ale byli to nie wszyscy. Można więc przyjąć, że liczył minimum 25 osób, w tym 60 do 70% to kobiety. Zapamiętałem następujące pseudonimy i nazwiska: d-ca patrolu st. strzel. z cenzusem Leonard, 20 lat; strzelec ps. Jędrak, wtedy 17-letni, Andrzej Żubr zamieszkały w Świdniku ul. Willowa 12; strz. ps. Magda (Danuta Wrzosińska).

Osobiście występowałem na legitymacji AK różowej pod ps. Stasiek, a na białej pod ps. Stefan, miałem wtedy 16 lat. Pluton był tworem specyficznym, zorganizowanym z oddelegowanych żołnierzy z jednostek macierzystych, przez uszczuplenie swoich stanów. Pluton podlegał mjr. H.K. (Janina Karaś).

Przed Powstaniem Warszawskim od początku czerwca 1944 r. byłem łącznikiem w Komórce Legalizacyjnej V Oddz. Sztabu AK. Dowódcą Komórki był kpt. Kos. Komórka Legalizacyjna mieściła się przy ul. Ciepłej 6, wejście od podwórka, lewa klatka schodowa, IV piętro, mieszkanie z prawej strony. Skrytki były zlokalizowane pod posadzką – klepką. W stropie.

W końcu pierwszej dekady sierpnia 44 zostałem skierowany z Jędrkiem z Komórki Legalizacyjnej do plutonu kanałarzy. W plutonie Kanałarzy bezpośrednim moim d-cą patrolu był st. strz. Leonard, ale kanałami chodziliśmy w różnym składzie również pod dowództwem dziewczyn. (Pseudonimów nie pamiętam, nie było zwyczaju udzielania niekoniecznych informacji, obowiązywała zasada: wiedzieć to co konieczne).

Na wstępie Leonard przeprowadził próbę naszej przydatności w plutonie „kanałarzy”. Po przebraniu się i wyposażeniu w kijki długości ca 40 cm Leonard oraz Jędrzek i ja weszliśmy do kanału. Kanał był zlokalizowany przy ul. Świętokrzyskiej. Był ciemny, wilgotny, wypełniony niewielką ilością ścieków o przekroju niesymetrycznej elipsy, wysokość kanału, około metra. Marsz odbywał się zawsze w małych kanałach 80-110 cm w pozycji na czworakach – opierając się rękami o kijek oparty na owalu kanału – należało przyginać grzbiet, aby nie trzeć kręgosłupem o sklepienia kanału. Przeszliśmy do następnego wjazdu. Wyszliśmy z kanału. Leonard przyjrzał się nam i orzekł, że nadajemy się do plutonu „kanałarzy”. Zakwaterowani zostaliśmy w domu róg Moniuszki i Jasnej obok Adrii na II piętrze.

Stąd chodziliśmy na Mazowiecką do wjazdu, a następnie pod ulicą Mazowiecką, pl. Piłsudskiego, Wierzbową, pl. Teatralnym na Daniłowiczowską. Przemarsz na Stare Miasto trwał do trzech godzin. W kanale ścieków było niewiele. Wysokość kanałów 80 do 110 cm. Chodziliśmy wielokrotnie na Stare Miasto i z powrotem w różnym składzie osobowym. Patrol liczył cztery do sześciu osób.

Pierwszy raz posłaliśmy bez obciążenia tylko z meldunkami, wówczas jeszcze nie było kabla, ale w rozwidleniach były małe strzałki kredowe wyznaczające trasę. Żołnierze na

Daniłowiczowskiej przy włączu przywitali nas bardzo serdecznie. Pamiętam słowa żołnierza w panterce z autodemem – „Jak tu nie walczyć jak tacy są z nami”. Miałem 16 lat, Leonard 20 lat, Jędreł – 17. Dziewczyny też były w tym wieku. Pamiętam dobrze ten moment, bo byłem zaszkokowany tą wypowiedzią. W ogóle nie przypuszczałem, że nasz wkład się liczy.

Byliśmy bardzo podbudowani, jak zobaczyliśmy na Starówce wielu naszych żołnierzy w panterkach, hełmach i z autodemami. W Śródmieściu takie uzbrojenie i wyposażenie było nieczęsto spotykane. Początkowo zostaliśmy zaprowadzeni do sali w podziemiach prawdopodobnie pałacu Blanka. Byli tam żołnierze A.K.: chłopcy i sanitariuszki. Sala była oświetlona. Czyścili broń. Nucili piosenki akowskie, duch wspaniały. Ale na noc zakwaterowali nas w dawnym więzieniu na Daniłowiczowskiej. Widocznie bardzo cuchnęliśmy.

Na drugi dzień ktoś powiedział nam, że dalej na Daniłowiczowskiej są żołnierze AL. Poszliśmy zobaczyć jak oni wyglądają. Zastaliśmy w bramie dwóch żandarmów AL. Oddziałów AL nie widzieliśmy. Tego samego dnia wróciliśmy kanałem z Daniłowiczowskiej na Mazowiecką. Powrót był łatwiejszy. W rozgałęzieniach kanałów zwracaliśmy uwagę na strzałki kredowe, wytyczające kierunek trasy. Wszystko było w porządku, tylko kręgosłup bolał otarty o sklepienie kanału. Następnym razem szliśmy ze Śródmieścia na Starówkę z radiostacją. Nie pamiętam, czy wówczas był już kabel na dnie kanału.

Po założeniu kabla marsze na Starówkę zostały znacznie ułatwione. Odbýwały się po prostu po kablu. Nosiliśmy kanałami meldunki, medykamenty, amunicję. Transport odbywał się za pomocą specjalnie uszytych plecaków, które nosiło się na piersiach. W dniu 18 VIII 44 w Adrię, sąsiedni dom naszej kwatery trafiła „berta”, ale nie wybuchła. W dniu 20 VIII¹ około godziny 16-17 na Świętokrzyskiej odbyła się parada zwycięstwa. Żołnierze AK prowadzili grupę około pięćdziesięciu jeńców niemieckich wziętych z PAST-y na Zielonej. Ręce mieli podniesione, twarze ich były zmęczone

1. data podana przez p. Bankowską.

i przerażone, mundury wygniecione i brudne. Szli cicho. Tłum patrzył na nich w milczeniu i bezruchu. Obie strony czuły ciężar wojny. Myśmy byli górą pełni zwycięskiej dumy, ale nie widać było radości. W dniu 21 VIII przeprowadziliśmy kanałami z Mazowieckiej na Daniłowiczowską oficera rosyjskiego, sprawozdawcę prasowego – por. Siemiona². Ubrany był w wierzchnie ubranie cywilne. Nie posiadał broni długiej.

W drodze powrotnej ze Starówki, w okolicy Trębackiej zabłądziliśmy, woda wciągnęła nadmiar kabla w boczny kanał.

Po stwierdzeniu, że kabel „skończył się” wróciliśmy do właściwej trasy i szczęśliwie wyszliśmy na Mazowiecką. Wówczas w patrolu była również Magda (Danuta Wrzosińska). Dopóki nie było kabla w kanale, orientacja w nim była niezwykle trudna, bo rozgałęzienia kanałów tworzyły łagodne łuki, nie przypominające prostopadłych ulic lub skrzyżowań. Ponadto brak znaków szczególnych, wszystko jednakowe lub bardzo podobne. W kanale zgodnie z instrukcją należało zachować ciszę. Przed studzienkami – pod terenem zajmowanym przez Niemców – należało zatrzymać się, nasłuchiwać czy nie czai się niebezpieczeństwo. Następnie przechodzić pod studzienką pojedynczo, w odstępach. (Owszem nasłuchiwaaliśmy, ale przechodziliśmy razem bez zachowania odstępów).

W kanale było ciemno, cicho, mokro, brudno i słyszać było tylko godzinami nasze człapanie w ściekach, a w okolicy Wierzbowej i pl. Teatralnego czuć było zapach spalenizny.

Światło zapalaliśmy, kiedy szukaliśmy oznakowania strzałek kredowych, lub jeśli ktoś poszedł do przodu dla zbadania sytuacji i dawał nam znak, aby iść za nim. Po wyjściu z kanału lub w drodze do kanału – pytającym ciekawym mówiliśmy, że idziemy do pożaru lub od pożaru.

W stroju „kanałowym” należało przebywać na widoku możliwie najkrócej i w ogóle zachować w tajemnicy chodzenie kanałami przed całym otoczeniem. Wielogodzinne marsze w kanałach i brud nie zniechęcały nas. Byliśmy szczęśliwi, że przydajemy się Polsce i pewni, że zwyciężymy.

W dniu 23 VIII 44³ w budynku poczty na Świętokrzy-

2. Nazwisko ustalone po wojnie, nie wiem czy prawdziwe.

3. Datę ustalono po wojnie.

skiej w sali kasowej zastałem grupę około osiemdziesięciu policjantów granatowych, cicho i skromnie siedzących na posadzce. Żołnierze AK wzięli policjantów granatowych do niewoli w Komendzie Gł. Policji na Nowym Świecie. W trzeciej dekadzie sierpnia dostaliśmy rozkaz przejścia kanałami z Nowego Światu na plac Krasińskich, trasą pod Krakowskim Przedmieściem i Miodową. D-ca patrolu st. strzel. Leonard, strzel. Jędrak i ja weszliśmy do kanału na Nowym Świecie przy Wareckiej. Ubrany byłem w kombinezon i buty rybackie, spodnie wpuszczone w cholewy.

Leonard i Jędrak stali w dojściu do kanału, a ja wszedłem do wartko płynących ścieków. Głębokość ścieków była około metra! Ścieki nie wycisnęły całego powietrza z moich butów, ponadto niewiele ważyłem i mało brakowało abym popłynął. Próbowałem iść kanałem opierając się rękami o sklepienia.

Leonard i Jędrak wyciągnęli mnie do studzienki. Mimo naszych doświadczeń, w tych warunkach przejście kanałami na Starówkę było niemożliwe. Wróciliśmy do PROM-u na Świętokrzyską. Leonard otrzymał nowe informacje i instrukcje. Natychmiast poszliśmy na drugą stronę Al. Jerozolimskich. Doszliśmy na plac Trzech Krzyży do Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych. Z podwórka Instytutu weszliśmy (Leonard, Jędrak i ja) do kanału, doszliśmy nim do skrzyżowania Al. Jerozolimskich i Nowego Światu. Tam natrafiliśmy na komorę kanałową przy ścianie tunelu kolejowego. Kanał był zasyfonowany pod tunelem. (W BGK byli Niemcy). W Komorze przy blasku światła zobaczyliśmy metalową pokrywę i zasuwy zamykające burzowiec. Otworzyliśmy zasuwy i ścieki ruszyły skróconą trasą do Wisły w okolice Mostu Poniatowskiego. Trasa kanałowa z Nowego Światu na pl. Krasińskich została otwarta.

Uruchomienie nowej „wygodnej” trasy kanałowej ocaliło życie tysiącom ludzi, duże ilości cennego uzbrojenia, sprzętu i amunicji, to niewątpliwy liczący się sukces Wojsk Łączności, w tym – naszego plutonu Kanalarzy.

W kanałach od Wareckiej do pl. Krasińskich poziom ścieków obniżył się z 1 m do około 15 cm. Wysokość kanału pod Nowym Światem wynosiła ca 1,50 cm. Natomiast pod Krakowskim i Miodową ponad 2 m. Przekrój kanału pod

Krakowskim Przedmieściem był zbliżony do przekroju grzyba, na niskim zaokrąglonym korzonku.

Na Starówce zatrzymywaliśmy się na rogu Długiej i pl. Krasińskich. Tam pełnił służbę kpt. Kamień⁴. Innym razem – w kościele garnizonowym, w prawej nawie przed drzwiami do zakrystii. Leonard wchodził do tego pomieszczenia, a pozostali czekali. Było to w nocy. Naturalne nocne światło wpadało przez wybite okna. W kościele leżało na noszach dużo rannych. Innym razem szliśmy na Freta, po drodze na Franciszkańskiej spotkaliśmy znajomych, kol. Koczędę.

Rozpoczęła się ewakuacja Starego Miasta. Początkowo chodziliśmy w patrolu Leonard, Jędrak, ja i inni. W następnych patrolach Jędrak został wycofany w Śródmieściu. Natomiast dziewczyny, Leonard i ja krążyliśmy do końca. Początkowo wyprowadzaliśmy lekko rannych, którzy szli o własnych siłach, cywilów oraz część personelu sanitarnego. W kolumnie rannych siedł d-ca III Plutonu III Komp. z „Parasola” kpr. „Spokojny” – Chojecki Jerzy. Z w/w plutonu poległ 20 VIII 44 na Długiej – Zbigniew Romaniszyn, ps. Zorian. Grób jego był przed schodkami kościoła garnizonowego.

Kolumny kanałowe były formowane w następujący sposób: na początku kolumny szli jeden lub dwóch żołnierzy z plutonu „kanalarzy” (kolumna ca 50 osób) i znów kilku żołnierzy z Łączności, którzy ubezpieczali tych, co nie zdążyli za czołówką.

W jednej z kolumn zastosowano w kanale linkę⁵, której mieli się trzymać ranni, ale eksperyment nie powiódł się, bo nie wszyscy chcieli trzymać się jej, wobec czego linka przeszkadzała w marszu. Żołnierze Starówki wychodząc z kanału przy Wareckiej najbardziej byli zdziwieni, że tu jeszcze są szyby. Po kilku marszowych cyklach w ostatnich dniach sierpnia i pierwszych września ewakuowano zbrojne oddziały A.K. Obciążone były bronią, amunicją i drobnym ekwipunkiem. Żołnierze mimo wcześniejszego poinformowania

4. Kpt. Kamień polecił nam przygotować się do transportu kanałem do Śródmieścia materiałów wybuchowych, przed wymarszem zmieniono decyzję i przeprowadziliśmy tego dnia dużą grupę ludzi, nie zabierając materiałów wybuchowych.

5. Pomysł płk. Wachnowskiego.

ich o obowiązującej ciszy w kanale, głośno i brzydko klęli. Na trasie w okolicy Rady Ministrów był otwarty właz do kanału, wpadało dzienne światło. Przeszliśmy bardzo ostrożnie, nikt nas nie zaczepił.

Ostatni raz wracając kanałem ze Starówki ze zdziwieniem zobaczyliśmy w okolicy Karowej świecącą nieostrym światłem żarówkę!

Do kolumny ze Starego Miasta dołączono dwóch ciężko rannych na noszach. Spuszczenie noszy do kanału odbyło się najpierw bez rannego, potem spuszczone i ułożono rannego na noszach. W połowie marszu sanitariuszka stwierdziła, że jeden ranny zmarł. Kolumna dotarła do Wareckiej. My transportujący rannych z opóźnieniem wynieśliśmy ciężko rannego⁶ i zmarłego na Warecką. Ciężko rannego sanitariuszki zabrały do szpitala. My ze zmarłym zostaliśmy przy Wareckiej. Koledzy wykopali grób. Była cicha ciepła noc, mrok dookoła. Wszyscy uklękliśmy obok zmarłego żołnierza. Głośno odmówiliśmy „wieczny odpoczynek”. Ktoś jeszcze cicho powiedział: „Niech się Polska przyśni Tobie”. Wkrótce już tylko została mogiła. Wróciliśmy na kwaterę przy ul. Moniuszki róg Jasnej. Od początku września Niemcy wzmoгли ostrzeliwanie i bombardowanie Śródmieścia.

W pierwszych dniach września z Jędrkiem zostaliśmy wysłani do bratniej jednostki łączności z meldunkiem. Szliśmy ulicą Żółtą po zachodniej stronie Marszałkowskiej. Było pusto dookoła. Nadleciały z wielkim hukiem i wyciem Stukasy pikując zdawało się prosto na nas.

Z Jędrkiem kryjemy się w kilkunastocentymetrowej wnęcie budynku od strony ulicy, niemal przykleiliśmy się do ściany. Przekonany byłem, że jestem bezpieczny. Po drugiej stronie ulicy nie dalej jak 50 metrów bomby trafiają w wielopiętrowy budynek. Ściany zmieniają kształt z pionowej w lekki łuk. Kurz bucha z okien – budynek „wyzionął ducha” i ściana leży strzaskana na ulicy. W panikę nie wpadliśmy. Nie czuliśmy strachu. Patrzyłem na ścianę i na Jędrka. Pytam: coś ty taki „zielony” on odpowiada, a ty myślisz, że jesteś in-

6. Ciężko rannym, który przeżył podróż kanałem ze Starówki do Śródmieścia był prawdopodobnie wachmistrz pseud. „Anioł” – Suwała Władysław (nazwisko ustalono po wojnie).

ny? Widocznie organizm człowieka w takich sytuacjach załatwia sprawę instynktownie.

Na początku września nasza kwatera przy ulicy Moniuszki róg Jasnej spłonęła od bomb lotniczych. Pluton „kanalarzy” został skierowany na nową kwaterę przy ulicy Szpitalnej 7. Była tam duża sala na parterze, wyglądała na kawiarnię, stołówkę lub biuro. Największa koncentracja kanalarzy w jednym pomieszczeniu. Siedzieliśmy przy stolikach Leonard, Jędrzek i ja. Dziewczyny dzieliły damskie chusty na głowę. Darty na cztery części, aby starczyło dla wszystkich. Jeszcze przy trzech stołach siedziało po kilka osób. Zainteresowaniem – ze względu na niedostatki – cieszył się karton sztucznego miodu w papierowych kubkach. Miód ten miał być podzielony. Tam też zbombardowały nas „Stukasy” i zawałił się cały czteropiętrowy dom, ale myśmy cudem ocalili i przeszliśmy na Górskiego. Naraz słysząc warkot i wycie „Stukasów”. Spędzają nas do piwnic. Nie chcemy iść, bo jakże można tyle miodu zostawić bez opieki? Leonard pozostał przy miodzie i dobytku. Zeszliśmy do piwnic.

Staliśmy w piwnicy przy klatce, właśnie tam dostałem ćwiartkę chusty. Nagle zrobiło się ciemno. Huku jaki spowodowały wybuchy bomb i zawalenie się czteropiętrowego domu – nie słyszałem. Prawdopodobnie nurkujące „Stukasy” zagłuszyły swym wyciem wybuchy bomb. Wyjąłem zapalnik i zapalałem je, widać było tylko bardzo gęsty kurz. Po spaleniu się siarki zapalnik gasły. Nie wiedziałem co robić. Odczekaliśmy z Jędrkiem jakiś czas. Kurz pomału opadł. Ściany na klatce schodowej nie było. Łatwo można wyjść z budynku. Wyszliśmy z Jędrkiem do bramy przy ul. Przeskok. Gruz z czterech pięter nad naszą kwaterą zrównał się z parterem i piętrem. W czasie bombardowania coś mi spadło na nogę i nie mogłem iść. Pozostałem sam w bramie. Jędrzek żartując powiedział: „Nareszcie trafili cię” i poszedł w kierunku ul. Górskiego 7, gdzie kwatrowała nasza macierzysta Komórka Legalizacyjna.

Po bombardowaniu Niemcy „poprawiali” jeszcze miotaczami. Po tym pokuśtykałem pomalutku na ul. Górskiego 7. Powiedziałem kpt. Kosowi o losie naszej kwatery. Jędrka nie było. Pozostałem tam kilka dni, aż ustąpiły bóle i mogłem chodzić. Po kilku dniach dotarła do nas wiadomość, że w trakcie

bombardowania miotaczami m.in. Jędrak został ciężko ranny przy Domu Wedla. Z ulicy zabrali go do szpitala cywilnego przy ul. Górskiego. Następnego dnia z sanitariuszką przenieśliśmy Jędrka do szpitala wojskowego na ulicę Poznańską.

Stamtąd dostał się do niewoli. Wrócił. Żyje. Jest inwalidą wojennym, mieszka w Świdniku. Leonard ocalał z bombardowania. Wg informacji uzyskanych w czasie Powstania od kpt. Kosa – Leonard dalej działał na trasach kanałowych, tym razem Śródmieście – Żoliborz. Został odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*. Rozkazem gen. Bór-Komorowskiego z dn. 9.09.44 r. Jędrak i ja otrzymaliśmy odznaczenie Krzyżem *Walecznych*⁷. Pozostałem w Komórcie Legalizacyjnej.

Rozkaz o nadaniu Krzyży ogłosił mjr Kos. Mówił, że ten Krzyż „będzie nas wspierał całe życie, że to nasz honor i godność, że wyróżniliśmy się w ewakuacji Starego Miasta”. Jeszcze coś mówił o Ojczyźnie i jej Synach – było to niezwykle przeżycie.

Wiem, że mjr Kos był człowiekiem honoru, mówił to z pełnym przekonaniem. Ale widocznie nie przewidział pozostawienia swojemu losowi walczących żołnierzy Powstania Warszawskiego. Nie wiedział, że politycy urządują sobie kpiny z sojuszy, honoru, krwi żołnierskiej i ogromnych cierpień ludności cywilnej. W kraju nie załatwiono w należyty sposób spraw kombatanckich. Robiło się prezenty byłym żołnierzom z ich autentycznych czynów wojennych uznając je łaskawie za zweryfikowane. Powinna obowiązywać oczywista zasada, aby ludzie, którzy nie brali udziału w walce, nie korzystali z godności honorowych lub korzyści materialnych.

Opisałem to dla zachowania w pamięci czynów byłych żołnierzy Rzeczypospolitej.

Nasz pluton „kanalarzy” wypełniał nietypową funkcję, ale niezwykle przydatną naszej Armii Krajowej, która stanowiła część Wojska Polskiego.

styczeń 1984

Stanisław TAMOWICZ

7. Legitymacja Nr 35431 wyd. w Londynie 30 XII 1949. Nadanie ogłoszono w Dzienniku Personalnym Ministerstwa Obrony Narodowej Nr 4 z 11.1.1949 z podpisem ppłk. M. Wałęgi.

Uzupełnienie wspomnień:

Po kapitulacji Powstania otrzymałem 30 dol. USA i tysiąc złotych żołdu, były to pieniądze Polskiego Skarbu Państwa. Wcześniej nie pisałem o tym, gdyż niektórzy publicyści rozpowszechniali wiadomości, że byliśmy wynajęci i walczyliśmy za dolary.

Teraz to piszę żeby zaprzeczyć wiadomościom rozpowszechnianym przez *Przegląd Tygodniowy* jakoby oficerowie zdefraudowali pieniądze Skarbu Państwa Polski. Władza polska miała prawo płacić żołd w obcej walucie, bo polskiej waluty w obiegu nie było. Złotówki były obcą walutą emitowaną przez Niemiecki Bank Generalnej Guberni – władzę okupacyjną.

maj 1999

S.T.

CI, CO ODESZLI

Piotr WANDYCZ

POŻEGNANIE ALEKSANDRA GIEYSZTORA

Śmierć Aleksandra Gieysztora, 9 lutego, światowej sławy historyka i człowieka wielkiej kultury, była *horribile dictu* wybawieniem dla niego samego i Jego najbliższych. Sparaliżowany, utraciłszy mowę i nie mogący się właściwie porozumiewać z odwiedzającymi go ludźmi, leżący od miesięcy w szpitalu i należący jeszcze do tego świata, ale już właściwie poza nim, Gieysztor przechodził to, co tylko może być najgorsze. Do jakiego stopnia zachował resztki świadomości? Relacje bliskich mu osób różniły się od siebie. A Gieysztor był właśnie uosobieniem życia, energii, powiedziałbym nawet *joie de vivre*, której nie utracił do ostatnich miesięcy życia pomimo swych osiemdziesięciu dwóch lat.

Nie mogę pretendować do miana serdecznego przyjaciela Zmarłego, ale nasze wieloletnie stosunki nacechowane były obustronną życzliwością i sympatią. Profesora Gieysztora poznałem w 1958 roku w Paryżu i od tego czasu spotykaliśmy się nieregularnie w różnych punktach świata, przeważnie na konferencjach naukowych w Rzymie, Waszyngtonie, a później w Warszawie, Krakowie czy Lublinie. Zaproszony za moją sugestią przez Uniwersytet Yale z wykładem, jak zawsze oczarował słuchaczy. Bowiem cechą charakterystyczną Gieysztora był ogromny urok osobisty. Był człowiekiem ujmującym, o nienagannych manierach i powiedziałbym wielkopańskiej

prostocie. Od czasu kiedy zacząłem regularnie przyjeżdżać do Polski, do mego programu należało zawsze spotkanie z Gieysztozem, czasem u wspólnych przyjaciół, ale przeważnie na dobrym obiedzie, podczas którego kelnerzy starali się specjalnie dogodzić profesorowi, dyrektorowi, prezesowi, rektorowi, bo takie w różnych okresach pełnił funkcje.

Od chwili odbudowy zamku królewskiego, moje spotkania z Gieysztozem miały zazwyczaj miejsce na Starym Mieście. Pokazywał mi zamek w różnych stadiach jego odbudowy. Znał każdy zakamarek, wydawało się, że każdą cegłę i wszystkie materiały budowlane. Pokazując poszczególne sale mówił najpierw gdzie co będzie stało i wisiało, a później, gdy komnaty i salony wypełniały się sprzętami i obrazami, komentował je z wielkim znawstwem rzeczy. W tym okresie, a więc od ostatnich kilkunastu lat, żył zamkiem, który w dużym stopniu był Jego dzieckiem. Wydaje mi się, że wśród wszystkich zasług Gieyszтора dla historii i nauki, zamek królewski w Warszawie będzie na zawsze związany z Jego nazwiskiem i osobą.

Kim był Aleksander Gieysztor? Rodzina Jego wywodziła się z Litwy – jeden z jego antenatów był posłem na Wielki Sejm z województwa trockiego, a najbardziej znany przodek Jakub Gieysztor był przywódcą „Białych” na Żmudzi podczas Powstania Styczniowego. Aleksander urodził się 17 lipca 1916 r. w Moskwie jako syn Aleksandra i Barbary z domu Popiel. Przed wojną zdał maturę w Gimnazjum Lorentza w Warszawie i w 1937 r. ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Warszawskim. W kampanii wrześniowej walczył jako podchorąży w 8. pułku pp. Legionów a następnie w zgrupowaniach płk. Tataru i płk. Koca. Pod okupacją doktoryzował się jako uczeń Marcelego Handelsmana i Stanisława Kętrzyńskiego na tajnym Uniwersytecie Warszawskim w 1942 r. – oficjalnie został promowany po zakończeniu wojny w 1945 r.

Od wiosny 1940 r. Gieysztor pracował w konspiracji, ściślej w BIP-ie (Biuro Informacji i Propagandy Armii Krajowej) pod pseudonimami „Borodzicz”, „Lissowski”, „Olicki”, „Walda”. Kolegami Jego byli tacy historycy zwerbowani głównie przez Handelsmana i Tadeusza Manteuffla, jak

Stanisław Herbst, Stefan Kieniewicz czy Witold Kula. W czasie Powstania Warszawskiego pełnił funkcję sekretarza szefa BIP-u w Komendzie Głównej AK. (Zainteresowany czytelnik znajdzie więcej na ten temat w książce Grzegorza Mazura o BIP-ie z przedmową Gieysztora). Po upadku Powstania, Gieysztor był jeńcem w obozach Gross-Born, Sandbostel, Schwartau. W pierwszym z nich napisał wspólnie ze Stanisławem Płoskim broszurę o Powstaniu, która ukazała się drukiem w 1981 r.

Pod rządami komunistycznymi Gieysztor powrócił do nauki; habilitował się w 1946 r., przeszedł następnie przez normalne szczeble hierarchii akademickiej na Uniwersytecie Warszawskim: adiunkt, docent, profesor nadzwyczajny i zwyczajny, tym ostatnim został w 1960 r. W okresie popaździernikowym Gieysztor został dyrektorem Instytutu Historycznego UW (1955-75) a w latach 1956-59 prorektorem tej uczelni. W 1981 roku został prezesem Polskiej Akademii Nauk i pełnił tę funkcję przez dwa lata. Na tę tak ważną pozycję w polskiej nauce miał wrócić już po upadku komunizmu w 1990 r. Od 1980 do 1991 roku był dyrektorem Zamku.

Włączenie się, i to tak bardzo głęboko, w życie naukowe i organizacyjno-administracyjne, co w totalitarnym systemie musiało za sobą pociągać pewne polityczne serwituty, nie było z pewnością łatwą decyzją dla Gieysztora, który z komunizmem nigdy nie miał nic wspólnego. A działalność w tym układzie wymagała od Niego kompromisów. Nie mnie, który spędził te lata poza Krajem, jest sądzić czy mógł niektórych z nich uniknąć i czy i kiedy znajdował się w sytuacjach przymusowych. Cenny pod tym względem jest artykuł rozrachunkowy Stefana Kieniewicza, który znajdował się, podobnie jak Gieysztor, na świączniku. Nosi tytuł „Rachunek Sumienia”. Ukazał się w on w *Tygodniku Powszechnym* 24-31 grudnia 1989 r. i jest o ile mi wiadomo jedynym wyznaniem i analizą tego rodzaju.

Gieysztor nie przekroczył chyba nigdy granicy tego, co Herbert nazywał kwestią dobrego smaku. Gdy uważał, że musi zająć publiczne stanowisko, choćby było ono wyzwaniem dla rządu, robił to. Mam tu na myśli fakt podpisania

przezeń słynnego Listu 34 z 1964 r. w sprawie polityki kulturalnej, który wywołał wściekłość Gomułki. Popierał też i protegował młodych historyków, którzy znajdowali się w kolizji z partią. Mam tu na myśli m.in. Karola Modzelewskiego. Oczywiście nie mógł zbyt wiele zrobić, ale nazwisko Jego stało się autorytetem nie tylko naukowym. Kontynuował tradycję wielkich polskich historyków XIX w., z których niektórzy musieli też pisać pod cenzurą i w imię dobrej sprawy zmuszeni bywali do kompromisów.

Ta postawa, nazwijmy ją pozytywistyczną, pozwalała Gieysztorowi reprezentować polską naukę historyczną w świecie. Czynił to z godnością i taktem. Nie tylko jego wysoka pozycja naukowa, ale i wspólny język jaki miał z historykami zachodnimi – a chodzi tu o coś więcej niż biegłą znajomość wielu języków – wyjaśniają mir jakim cieszył się w światowych kręgach naukowych. Zapraszano Go na zleczone wykłady do najbardziej prestiżowych uczelni jak All Souls College w Oxfordzie, gdzie spędził szereg miesięcy jako *visiting fellow*, czy Collège de France, czy Uniwersytet Harvarda. Na długiej liście doktoratów *honoris causa* jakie otrzymał, figurują m.in. takie uczelnie jak Sorbona, Moskwa, Oxford, Budapeszt. W 1980 r. Gieysztor zostaje wybrany prezesem Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych na pięcioletnią kadencję. Był chyba jedynym Polakiem, którego spotkało tak zaszczytne wyróżnienie. Dzięki Niemu polska nauka historyczna jest nadal widziana – pomimo wszystkich ograniczeń ze strony władz – jako dziedzina w której można odnotować bardzo poważne osiągnięcia. Zapewne w specjalności Gieysztora, a mianowicie historii średniowiecznej, przeinaczenia, mówiąc delikatnie, i ingerencje cenzury nie są tak dotkliwe jak w historii najnowszej czy w tematyce „delikatnej” jak stosunki polsko-rosyjskie.

Dorobek naukowy Gieysztora jest imponujący, zwłaszcza jeśli pamiętamy o tym, iloma sprawami zajmował się jednocześnie i ile funkcji sprawował. Zapewne, gdyby mógł pracować naukowo bez tych wszystkich obciążeń i zobowiązań, liczba jego monografii byłaby dłuższa. Chwile wolne dla badań – jak na przykład paromiesięczny pobyt w centrum harwardzkim w Dumbarton Oaks – wykorzystywał w pełni.

Kiedy szereg lat temu miałem w ręce spis publikacji Gieysztor, znajdowało się na nim 60 prac większych i mniejszych, ogłoszonych w obcych językach z takich dziedzin jak gospodarka i społeczeństwo, instytucje polityczne i cywilizacja średniowieczna. Towarzystwo im ok. 20 pozycji w języku polskim. Oczywiście od tego czasu liczba dzieł Gieysztor znacznie się zwiększyła. Ale nie chodzi tu tylko o ilość wydawanych prac. Nie jestem mediewistą, więc nie mogę ocenić tego dorobku i znaczenia wkładu do historii średniowiecza Polski i Europy, tak jak zrobić by to mógł specjalista, ale wiadomo, że jest on wysoko notowany. Będąc natomiast słuchaczem kilku referatów Gieysztor przeznaczonych dla szerszego grona, byłem pod wrażeniem ogromnej erudycji Profesora, ciekawych sformułowań, klarowności wykładu. Nie mówię już o stylu i formie wypowiedzianych myśli i to w różnych językach.

Pozycja Aleksandra Gieysztor jako jednego z kilku czołowych polskich historyków o renomie międzynarodowej została ustalona szereg lat temu. Pozycja ta pozwalała Mu a jednocześnie zobowiązywała Go do uczestnictwa w ważnych procesach politycznych w Kraju. Czy droga, którą wybierał była zawsze słuszna? Zdania są podzielone. Mam tu na myśli między innymi jego obecność na obradach Okrągłego Stołu.

Wśród nazwisk wymienianych na kandydata na prezydenta RP padało też nazwisko Gieysztor i niewątpliwie urząd ten reprezentowałby godnie. Odznaczenie Go jako jednego z pierwszych orderem wznowionego Orła Białego było najbardziej zasłużone

Przejście Gieysztor na emeryturę czyli rezygnacja z dyrektorstwa Zamku a poprzednio prezesury PAN-u nie oznaczała końca Jego aktywności. Był nadal zapraszany i uczestniczył w konferencjach naukowych na całym świecie, a co więcej kontynuował systematyczne wykłady dla studentów. Wylew przerwał nagle Jego działalność, która jeszcze przed rokiem wydawała się w pełni toku. Na naszym ostatnim spotkaniu w Warszawie podziwiałem żywotność Uczonego i mówiłem Mu, że będąc od niego o siedem lat młodszy nie mogłbym się z Nim porównać. Ostatnim akordem naszych wieloletnich stosunków był ujmujący gest Gieysztor wobec

mnie. Widząc na Jego biurku ogromny i wspaniale wydany katalog wystawy „Pod dwiema koronami” (czasy saskie), która ominęła mnie tak w Warszawie jak i w Dreźnie, wyraziłem żal z tego powodu. Wkrótce potem poczta przyniosła mi do Stanów egzemplarz katalogu, który Gieysztor polecił wysłać do mnie. Rzecz może drobna, ale charakterystyczna dla Jego osobowości.

Jeśli patrzeć na osiągnięcia Aleksandra Gieysztora, życie Jego wydaje się pasmem sukcesów i takim niewątpliwie było. Jednocześnie los nie oszczędził Mu najcięższych doświadczeń. Jedyny syn zginął młodo w wypadku; Jego żona (Irena z Czarneckich) choruje obłóżnie od wielu lat. Pozostała córka i grono wiernych przyjaciół i współpracowników. Wydawało się nam, że Gieysztor ma przez sobą jeszcze wiele lat życia i może jeszcze dużo dać z siebie, zwłaszcza młodszemu pokoleniu. Nagły wylew a następnie niekończące się miesiące w szpitalu były dla wszystkich szokiem. Z Jego śmiercią powstała luka, której nie da się wypełnić. Żegnając Go możemy powiedzieć, że w życiu swoim dokonał bardzo wiele dla nauki historii i dla kultury polskiej.

Piotr WANDYCZ

Zenon WYSŁOUCH

POŻEGNANIE OJCA

Niełatwo jest pisać o Ojcu zachowując głęboki synowski sentyment i bezstronnie relacjonować fakty by scharakteryzować postać patrona jednej z oporowskich ulic.

Ale nie można też odmówić Przyjaciółom-Redaktorom *Biuletynu*, którzy z takim trudem budują tradycję i tożsamość Oporowa.

Zwłaszcza, że pierwsza funkcja uniwersytecka Ojca była związana z Oporowem.

W lipcu 1946 roku, kiedy przybyliśmy do Wrocławia, Oporów był przeznaczony dla pracowników Uniwersytetu i Fabryki Obrabiarek (dzisiejszy F.A.T.). Przewodniczącym Komisji Uniwersyteckiej przydzielającej oporowskie domy był właśnie Ojciec.

Później przyszły następne obowiązki: prorektor Uniwersytetu i Politechniki (1947-1952), Dziekan Wydziału Prawa (1956-1957), Kierownik Studium Administracyjnego (1959-1964) i wiele innych.

Jednak główną treścią tego ciekawego i aktywnego życia była nauka, ale pojmowana bardzo szeroko. W tym pojmowaniu można było zauważyć trzy nurty:

- prace badawcze oparte na źródłowych materiałach archiwalnych,
- dydaktyka ze świadomością misji publicznej,
- użyteczność dla interesów kraju i państwa.

Myślę, że wyborem dyscypliny – historii prawa polskiego – której Ojciec się poświęcił, był wybór sentymentalny – ciekawość własnej przeszłości.

Pierwsze Jego zainteresowania dotyczyły Polesia, okolic gdzie się urodził, by potem rozszerzyć je na całe Wielkie Księstwo Litewskie i Rzeczpospolitą Obojga Narodów.

We własnoręcznie napisanym życiorysie tak charakteryzuje swe ukształtowanie:

Urodziłem się 19 marca 1900 roku w majątku Pirkowicze, pow. Kobryń, Polesie w starym gnieździe rodziny Wystouchów, z Ojca Antoniego i Matki Seweryny ze Skarżyńskich.

Dzieciństwo aż do lat jedenastu spędziłem w Pirkowiczach. Był to okres szczególnie ważny w moim życiu. W warunkach zaboru rosyjskiego, na ziemiach litewsko-białoruskich, najbliższa rodzina wychowywała i kształtowała cały światopogląd młodych generacji. Również poziom duchowy, intelektualny i moralny mego domu rodzinnego zaważył decydująco na moim rozwoju wewnętrznym.

Z grubsza wyrażał się on w polskim, żarliwym patrio-

tyzmie kresowym, religijności i radykalizmie społecznym. Wszak w pokoleniu moich Rodziców wyrosli działacze tej miary co Bolesław i Izydor Kajetan Wyslouchowcie.

Życie Ojca objęło dwa znaczące okresy: wileński i wrocławski, poprzedzone pierwszą wojną światową i rozdzielone drugą.

W obu okresach tak zupełnie różnych – pierwszy Niepodległego Państwa, drugi zniewolonego PRL-u – działania i zachowania Ojca mają podobne cechy: nauka, wychowywanie, praca dla kraju – traktowane zawsze z pasją i oddaniem.

W okresie przedwojennym Ojciec osiąga kolejne stopnie naukowe i stanowiska do docenta na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, prowadząc prace badawcze w zakresie historii średniowiecznej prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Obok tego jest zaangażowany w prace Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej (pierwszy instytut zajmujący się sowietologią – jak to określił Czesław Miłosz) ze szczególnym zainteresowaniem tematyką białoruską i mniejszości narodowych na kresach. Instytut prowadził badania dla celów polityki państwowej i szkolił kadry administracji w Szkole Nauk Politycznych.

Okres Wileński życia mego Ojca uległ zapomnieniu i dopiero niedawno w rozmowie z Jerzym Giedroyciem w Paryżu uświadomiłem sobie jego właściwy wymiar. Z relacji Red. Giedroycia wynika, że kontynuacja wielkich idei polityki wschodniej Marszałka Piłsudskiego kultywowana i dostosowywana do zmieniającej się sytuacji geopolitycznej przez Niego miała swe ogniwo pośrednie w działalności publicystycznej, naukowej i politycznej Prof. Stanisława Świaniewicza (autor „W cieniu Katynia”) i mego Ojca.

Red. Giedroyc w maju tego roku przemawiając z okazji otrzymania doktoratu *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego powiedział: „Wyslouch pasjonował się problemem białoruskim, a ponieważ była to i moja pasja stał się bliskim współpracownikiem *Buntu Młodych* i *Polityki*, które redagowałem. Wspólnie walczyliśmy z naszą samobójczą polityką narodowościową”.

Po wojnie, którą przetrwaliśmy na wsi, na Kujawach, gdzie Ojciec ukrywając się pracował jako robotnik rolny, w lutym 1945 roku organizuje szkołę we wsi Koziejaty, a potem jest nauczycielem historii w Gimnazjum w Izbicy Kujawskiej.

W roku akademickim 1945/1946 zostaje profesorem i kierownikiem Katedry Historii Państwa i Prawa na Uniwersytecie Łódzkim. Od 1 lipca 1946 roku obejmuje analogiczną Katedrę na Wydziale Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie jest już kilku profesorów z Wilna: Iwo Jaworski, Witold Świda, Andrzej Mycielski.

Ziemie Odzyskane, zniszczony Wrocław – przyniosły nowe wyzwania. W imię służby polskim sprawom rezygnuje Ojciec z ukochanej tematyki kresów wschodnich i przyjmuje nową ideę celów badawczych – dokumentowanie polskości Śląska. Na zebraniu Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego w 1949 roku formułuje swoje *credo*: „Zaniedbania na odcinku historiografii Śląska i ziem sąsiednich są wprost żenujące (...). Naszym obowiązkiem jest zrewidowanie historiografii niemieckiej (...). Podstawą każdej publikowanej pracy winny stać się przebogate zbiory archiwalne dotychczas niedostępne i prawie nieznanne szerszym badaczom”.

Stąd bierze się inicjatywa wydawania „Materiałów do dziejów nowożytnych Ziemi Zachodnich” i „Studiów Śląskich” (20 tomów do roku 1968) we współpracy z Instytutem Zachodnim i Instytutem Śląskim.

Widać w tym analogię do czasów wileńskich – jak tam walczył o przywiązanie Białorusinów do Polski, tak tutaj ważne jest przywracanie Polsce ludności rodzimej.

Następna analogia to stworzenie w 1959 roku Zawodowego Studium Administracyjnego, którego celem jest szkolenie kadr administracji. Pamiętam w naszym domu dyskusje na temat potrzeby, zadań, problematyki Studium toczone z Ks. Arcybiskupem Bolesławem Kominkiem.

Ciągle zaś praca dydaktyczna, rosnące grono uczniów tak, że z czasem mówi się o „szkole Prof. Wysłoucha”, a wielu profesorów mieni się być Jego uczniami: Kazimierz Orzechowski, Karol Jonca, Franciszek Ryszka, Franciszek Połomski, Alfred Konieczny.

Wszystko to działo się w trudnych latach PRL-u, gdy

trzeba było zmagać się z naciskami ideologicznymi i politycznymi. Lata 1952-56 to likwidacja Instytutu Śląskiego i oddziału wrocławskiego Instytutu Zachodniego, odsunięcie od stanowisk.

Dopiero po roku 1956 reaktywowano Instytut Śląski w Opolu, stwarzając możliwość powrotu do przerwanych działań.

Akta Komitetu Wojewódzkiego PZPR opublikowane w pracy Teresy Sulei „Uniwersytet Wrocławski w okresie centralizmu stalinowskiego 1950-1955” kilkakrotnie przytaczają negatywne opinie o poglądach i postawach Prof. Wysłoucha, formułowane w sprawozdaniach partyjnych aparaczyków.

Nie wiem kto i dlaczego postanowił upamiętnić postać mego Ojca oporowską ulicą jego imienia.

Myślę, że zdecydował o tym szacunek dla Jego udziału w odbudowie Uniwersytetu, dla inicjatywy i konsekwencji studiów nad nowożytną historią Śląska, dla wielkiej pracy wychowawczej a może i dla prostej, bezkompromisowej postawy człowieka, który potrafił przenieść ideały kresowego domu rodzinnego przez trudne czasy, w których żył.

Zenon WYSŁOUCH

Tekst dla *Biuletynu Oporowskiego*, sierpień 1998.

ŚWIADECTWO BUJNEGO ŻYCIA

Przyszły historyk, zajmując się naszym stuleciem będzie mógł powiedzieć o nim, że było potworne, straszne, pełne zmagania i łamania praw człowieka, ale nie że było nudne. Przykładem tego jest autorka niedawno wydanej autobiografii „Bieg przez stulecie”* – Kamilla Mondral, prawdziwe dziecko dwudziestego wieku. Jej długie i pełne przygód życie miało chwile szczęścia i zadowolenia, jak również smutków i zbiorowego (narodowego) nieszczęścia. Mondral nie tylko wytrzymała i wyszła cało ze wszystkich niebezpieczeństw swego czasu, ale często w trudnych sytuacjach dobrze się czuła, unosząc się na wzburzonych falach historii.

Urodziła się w Paryżu przed pierwszą wojną światową, w 1911 r. Jej ojciec, Karol, utalentowany malarz, mieszkał wtedy w Paryżu, a raczej na jego przedmieściu, w artystycznej pracowni, zwanej Ul (La Ruche). Mała Kamilla była już dwujęzyczna, gdy miała sześć lat, i od razu zdała sobie sprawę z korzyści mówienia kilkoma językami. Prawda, że gdy rodzina wróciła do Polski po wojnie (ojciec Kamilli dostał posadę nauczyciela w państwowej Szkole Sztuki Stosowanej w Bydgoszczy) języki zeszyły chwilowo na dalszy plan wśród zwykłych młodzieżowych zainteresowań – sportu i rozrywek. Niedługo się okazało, że Kamilla była sportowo utalentowana w różnych kierunkach – pływała jak ryba, zwyciężała w biegach na międzynarodowych zawodach lekkoatletycznych,

* Kamilla Mondral, „Bieg przez stulecie”, Wyd. Twój Styl, Warszawa 1998.

była nieprzeciętną narciarką. Jej sportowe (i organizacyjne) zdolności sprawiły, że dostała zaraz po studiach pracę w Warszawie. Jako sekretarka kobiecego klubu atletycznego „Warszawianka” poznała płk. Gebela, który wyrobił jej posadę w Ministerstwie Obrony.

Los jej jednak radykalnie się zmienił dzięki jeszcze innemu sportowi, w którym zabłysła – szermierce. Spotkała się wtedy po raz pierwszy z Węgry, a wśród nich ze specjalnie miłym młodym człowiekiem Endra Palócz. Celem ostatniej jej zagranicznej podróży przed wybuchem wojny – jak opowiada w swych wspomnieniach – był Budapeszt, gdzie pojechała (w prawdziwie „swój sposób”) jako sekretarka polskiej kobiecej ekipy szermierczej. Miało to miejsce w 1939 r. i Kamilla była zachwycona nadzwyczaj serdecznym przyjęciem jej przez Węgrów. Jeszcze wtedy porozumiewała się z węgierskimi kolegami po niemiecku. Nie zapomniała wrażeń z tej podróży i nabrały one znaczenia parę miesięcy później, gdy Niemcy zaatakowali Polskę i wielu Polaków uciekało, by walczyć dalej na Zachodzie.

Kiedy rząd i ministerstwa opuściły Warszawę, a po wkroczeniu Sowietów – Polskę, głównie przekraczano granicę do Rumunii. Sytuacja w Rumunii była jednak niepewna i większość ich została niemal natychmiast internowana. Paradoksalnie, Węgry, które nie były połączone z Polską sojuszem, zapewniły polskim uchodźcom większą swobodę. W pierwszym okresie wojny czyli od 1939 do 1941 wielu Polaków – około 60 tysięcy, według obliczeń jednego autora – uciekło na Zachód przez Węgry. Część Polaków została na Węgrzech, gdzie w czasie gdy premierem był Pál Teleki (i później, gdy w 1942 r. premierem został Miklós Kállay) nie tylko tolerowano obecność Polaków, ale uznano (najpierw otwarcie, później tajnie) polski rząd na wygnaniu. Sytuacja ta trwała dokąd Wehrmacht nie zajął Węgier w marcu 1944.

Kamilla Mondral miała szczęście. Mówiła kilkoma językami i poznała szereg wpływowych ludzi na Węgrzech. Niedługo po opuszczeniu Polski, gdy z Rumunii przeszła na Węgry, zaczęła natychmiast pracować dla polskich organizacji wojskowych, które podjęły swą działalność w Budapeszcie. Poza jedną nieudaną próbą w 1940 r. udania się do Francji

przez Jugosławię, Kamilla całą wojnę spędziła na Węgrzech, gdzie „cywilna” posada umożliwiła jej dostęp do ważnych miejsc: prawie przez dwa lata była „guwernantką” dziesięcioletniego syna pułkownika (później generała) Károly Lázar, dowódcy Królewskiej Gwardii (w praktyce – straży przybocznej Regenta, Miklósa Horthy’ego). Później pracowała w jakimś biurze architektonicznym w Budapeszcie i wtedy została aresztowana przez Gestapo i deportowana do Austrii.

Muszę tutaj zwrócić uwagę na parę niedokładności we wspomnieniach Kamilli Mondral. Podczas pobytu na Węgrzech nauczyła się języka węgierskiego, który początkowo uważała za „niemożliwie trudny”, sądzę więc że okropne błędy w węgierskich nazwach miejscowości (np. „Gádálló” zamiast „Gödöllő”) nie pochodzą od niej. Ale pamięć ją zawodzi i gdzie indziej. Píše np., że przeniosła się do mieszkania rodziny Pálóc „w jesieni 1943 r.” (str. 153) i że niedługo potem została tam aresztowana przez Gestapo w czasie swej nielegalnej pracy. Nie mogło to się zdarzyć przed 19 marca 1944, ponieważ dopiero po tej dacie Gestapo znalazło się na Węgrzech razem z niemieckim wojskiem okupacyjnym i mogło działać bez żadnych ograniczeń, (Píše o tym István Lagzi w swej książce „Uchodźcy polscy na Węgrzech w latach drugiej wojny światowej. [Warszawa 1980]: Gestapo... przybyło do Budapesztu jednocześnie z wojskiem i działało zupełnie swobodnie” [str. 194]. Dopiero wtedy delegat rządu londyńskiego Edmund Fietowicz został aresztowany, a z nim razem wielu Polaków (około 800), podejrzanych o antyniemiecką działalność.

Inny błąd znalazł się na 107 stronie, gdzie autorka pisze: „Od wejścia Niemców do Budapesztu, kiedy władzę przejęła partia Strzałokrzyżowców...” Sytuacja na Węgrzech między marcem i październikiem 1944 była raczej złożona i niezwykła: Niemcy pozostawili admirała Horthy’ego jako figuranta, ale zmusili go do mianowania premiera (Sztójay), który musiał skrupulatnie słuchać rozkazów z Berlina. Wtedy właśnie zaczęły się deportacje węgierskich Żydów do Reichu i zostały w pełni przeprowadzone – z wyjątkiem Budapesztu. Jednocześnie Niemcy nawet wtedy nie mieli pełnego zaufania do Strzałokrzyżowców (węgierscy faszyci), których partia re-

krutowała się przeważnie z lumpenproletariatu, z bezrobotnych i niezadowolonych ziemian. Partii tej Niemcy pozwolili przejąć władzę, ale dopiero wtedy gdy Horthy (a raczej oficjalnie – Węgry) spróbował 15 października 1944 wycofać się z wojny. Skoro jednak Kamilla Mondral została deportowana do Austrii już w lipcu 1944, mogła mieć tylko niejasne pojęcie o kaprysach wewnętrznej polityki węgierskiej.

Dzięki znajomości języka niemieckiego, Kamilli udało się znaleźć pracę biurową nawet w Austrii i tam uwolniła ją Armia Czerwona. W październiku 1945 wróciła do Polski, nie wiedząc gdzie zamieszka i co będzie robić. (Co prawda, dostała w Austrii przepowiednię na podstawie swego horoskopu od niejakiego Baumeistra Sticha, w której znalazło się zdanie: „znajdziesz swoje miejsce w życiu, gdy zaczniesz pisać” – Kamilla jednak nie potraktowała tego poważnie). Po paru latach pracy w Biurze Organizacji Dostaw, Mondral (która wykazywała zdolności w każdej pracy, jakiej się podjęła), zdecydowała się zerwać z rządową biurokracją, albo raczej „uciec” do świata kultury i znalazła zajęcie „jako redaktor i spec od literatury węgierskiej w wydawnictwie Czytelnik”. Decyzja okazała się słuszna: jako redaktor a później tłumacz literatury węgierskiej, Kamilla nie mogła być posądzona o „przemysłowy sabotaż” i uniknęła najgorszych nacisków okresu przed 1956 r. Z drugiej strony, szybko stała się znana jako główny tłumacz klasycznej i nowoczesnej literatury węgierskiej, głównie beletrystyki, ale czasem i sztuk.

Dobrze ponad czterdzieści lat znam Kamillę, którą uważam za lojalnego i godnego zaufania przyjaciela; nie mogłem też uniknąć tego, by nie znaleźć się w „Biegu przez stulecie”, co najmniej jako „emisariusz kulturalny i przemysłowy”. Prowadzi nas to do powiązań Kamilli z *Kulturą*. Gdy Wiktor Woroszyński był w Budapeszcie podczas powstania węgierskiego w 1956 r. niżej podpisany załatwił mu spotkanie z Tiborem Déry, jednym z najbardziej znanych pisarzy węgierskich. Woroszyński (jak Kamilla pisze w swej książce) zabrał od niego rękopis „Niki, historia psa” i dał jej do przetłumaczenia. Ale gdy z nawrotem ostrzejszej cenzury w Polsce, opowiadanie to (o silnie antystalinowskich akcentach) nie mogło ukazać się w *Nowej Kulturze*, Woroszyński proponował, by je wydrukować w starszej (paryskiej) *Kulturze*, wydawanej przez Instytut

Literacki Giedroycia. Déry tymczasem został zaaresztowany na Węgrzech przez mściwy (i dodajmy, antyrewolucyjny) reżym Kádara i Kamilla przeszmugłowała polski przekład z pomocą zaprzyjaźnionego francuskiego sportowca. Później, poczynając od lat 1960-tych, ile razy jechałem do Warszawy z Anglii (opuściłem Węgry w 1956 r.) zawsze zgłaszałem Kamilli moje usługi i przez całe lata wszystkie teksty węgierskie trafiały do *Kultury* dzięki naszej „współpracy”. Prawda, że Kamilla zachowała w tej sprawie pełną dyskrecję i miała po temu rację: dopiero z jej książki dowiedziałem się, że nie przyznała się nawet samemu autorowi, Istvanowi Orkény, że to ona była odpowiedzialna za ukazanie się jego opowiadania w *Kulturze* (str. 260). W każdym razie, współpracę z tym „wrogiem dla PRL organem” Kamilla uważała za rodzaj swej kulturalnej misji „ratowania własnej duszy”.

W prywatnym życiu Kamilla miała mieszane doświadczenia. Przez krótki czas była żoną dziarskiego góralskiego narcisza o nazwisku Pęksa, który lubił zanadto popić i nie nadawał się do trwałego współżycia. Miała z nim syna Stefana (zwanego wśród przyjaciół Kubuś), utalentowanego jak matka lingwistę i tłumacza (dowiedziałem się, że doskonale przetłumaczył prozę jednego z najlepszych węgierskich pisarzy, Petera Nádas), niestety o słabym charakterze. Nieodpowiedzialność tego uroczego i miłego młodego człowieka graniczyła z kryminalnymi skłonnościami. Zmarł mając 44 lata i Kamilla poświęciła mu cały rozdział. Jedyną jej pociechą są jego trzy córki z trzech małżeństw. Po przeczytaniu tego rozdziału można zrozumieć, dlaczego Kamilla uważa, że najważniejsza w życiu jest twórcza praca i przyjaźń. Nawet jeśli ktoś miał szczęśliwsze życie, może się zgodzić z nią do pewnego stopnia, że w większości wypadków przyjaźń trwa dłużej niż miłość.

„Bieg przez stulecie” jest fascynującą lekturą. Żałuję tylko, że kończy się na 293 stronie; żałuję, że napisała tylko o najważniejszych rzeczach w swym życiu, które przyszły jej na myśl. Na pewno ma jeszcze wiele historii do opowiedzenia. Czy będzie dalszy ciąg? Z niespożytą energią tej młodej 88-letniej kobiety – dlaczego by nie?

George GÖMÖRI
tłum. St. Kossowska

STOSUNKI POLSKO-FIŃSKIE W LATACH 1939-1941

Wśród przedstawicieli państw obcych akredytowanych przy rządzie polskim, ukonstytuowanym w październiku 1939 we Francji, z siedzibą w Angers, Finlandia nie miała swojego reprezentanta. Podobnie jednak jak niektóre inne państwa, usiłujące zachować neutralność w toczącej się wojnie z Niemcami, tak też było z Finlandią, że uznawała milcząco rząd RP i w Helsinkach funkcjonowało nadal nasze poselstwo z Henrykiem Sokolnickim na czele. Punktem zwrotnym aliantów, w tym i naszego rządu, w stosunkach z Finlandią stanowił napad, jakiego na ten kraj dokonał Związek Sowiecki dnia 30 listopada 1939, stąd i potrzeba przypomnienia kilku podstawowych faktów.

W przeciwieństwie do braku reakcji na agresję sowiecką na Polskę z 17 września, zaatakowanie Finlandii było dla Zachodu szokiem. Nawet w USA, jak donosił z Waszyngtonu ambasador Francji, René Doynel de Saint-Quentin, „agresja sowiecka na Finlandię wywołała w Stanach Zjednoczonych dużo większe oburzenie niż miało to miejsce gdy chodziło o Czechosłowację lub Polskę. Oferta *bons offices*, jaką zaofiarował rząd amerykański, który podobną inicjatywę podejmował dotychczas jedynie w sporach dotyczących republik amerykańskich, została jednomyślnie aprobowana przez polityków z różnych środowisk.”¹

Bardzo również żywo zareagowała opinia publiczna we Francji, gdzie oburzenie nie ograniczyło się do potępienia ZSSR; wzmożła się bowiem wrogość do wszystkich, którzy podejrzani byli o sympatię do „czerwonych”. Dominowało

1. Fondation Nationale des Sciences Politiques w Paryżu. Archives Edouard Daladier. Dossier 3DA3 Dr 1 – Finlande. Chemise s.d.r.c. „Réactions – Question a l'aide à la Finlande”.

przekonanie, że „Stalin zastąpił Hitlera w roli wroga publicznego numer jeden. Daladier (premier francuski) poddany wszelkiego rodzaju presjom, postanowił narzucić Anglikom, w miejsce ciągłych wahań, linię postępowania bardziej wojowniczą”².

Profesor Rougier, z fakultetu literatury w Besançon, w nocy dla Daladiera z 21 grudnia 1939, zatytułowanej „O konieczności natychmiastowej interwencji Aliantów w Finlandii” pisał: „Aliantom nadarza się jedyna okazja, żeby w ciągu kilku miesięcy zlikwidować wojnę, zjednoczyć zgodnie opinię amerykańską z opinią państw neutralnych, zmusić Włochy do zbliżenia się do nas, spowodować upadek reżimu bolszewickiego i zlikwidować wreszcie u nas partię komunistyczną”³. Tą jedyną okazją jest agresja ZSSR na Finlandię i decyzje powzięte przez Ligę Narodów”⁴.

Decyzje Ligi Narodów, o których wyżej jest mowa, zwłaszcza główną ich uchwałę, podjęto dnia 14 grudnia 1939 na sesji Zgromadzenia Ogólnego Ligi, która odbyła się w Genewie, zwołaną w związku z protestem, jaki wniosła Finlandia 2 grudnia do Ligi przeciw ZSSR. W uchwale tej, agresja sowiecka została potępiona a ZSSR wykluczony ze społeczności międzynarodowej. Równocześnie z potępieniem Rosji, Liga zaapelowała do świata o pomoc dla Finlandii. Była to ostatnia sesja w dziejach tej instytucji, znanej ze słownych jedynie uchwał wobec konfliktów międzynarodowych, wymagających przede wszystkim zbrojnych przedsięwzięć.

W nawiązaniu do uchwały Ligi Narodów przystąpiono do zorganizowania francusko-brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego i wysłania go Finom na pomoc. Rządowi polskiemu zaproponowano włączenie do korpusu jednostki wojska polskiego. Początkowo gen. Sikorski odmówił, później zmienił zdanie i na posiedzeniu Rady Ministrów 25 stycznia 1940 uchwalono wniosek, że zgodnie z propozycją sprzymierzeń-

2. François Bédarida, „La strategie secrète de la drôle de guerre...” – Editions du CNRS, Paryż 1979, str. 244.

3. We wrześniu 1939 roku premier Daladier rozwiązał francuską partię komunistyczną, która konspiracyjnie i w różnej formie działała jednak nadal.

4. Fondation Nationale des Sciences Politiques. Archives Edouard Daladier, *op.cit.*

ców, zostanie uformowana polska brygada ochotnicza, która w ramach korpusu uda się na pomoc Finlandii⁵.

Inicjatywa ta znalazła na ogół poparcie uchodźstwa polskiego we Francji. Stanisław Mackiewicz, w wydawanym przez siebie *Słowie*, pisał: „Kwestia Finlandii, to początek wojny. To kwestia ukształtowania się pojęć w państwach neutralnych czy warto wstępować do wojny, to kwestia obrony Szwecji i Norwegii przed zaborem niemieckim, to odparcie pierwszego natarcia germano-bolszewickiego. W tym początku wojny rząd polski w Angers odegrać może rolę twórczą, rolę inicjatywy twórczej, rolę wielkiego zwrotniczego losów wojny. Jest to okazja całkiem wyjątkowa”⁶.

Warto też tutaj przypomnieć, że w przeciwieństwie do Finlandii, rząd gen. Sikorskiego nie zwrócił się do Ligi Narodów z protestem przeciwko agresji ZSSR i wojny Związkowi Sowieckiemu nie wypowiedział. Nawijający do postawy rządu RP w tej sprawie był list Eryka Ipohorskiego-Lenkiewicza z 10 marca 1940 roku, wysłany z Kowna do Sikorskiego, gdzie autor, powołując się na dobre stosunki swojego stryja z gen. Sikorskim, m.in. pisał : „Chodzi mi o stosunek Rządu Polskiego i Rządów Sprzymierzonych do sprawy zajęcia części Polski przez bolszewików. Wygląda tak, jak gdyby na Zachodzie nie oceniano należycie tej głównej sprężyny konfliktu europejskiego, działającej stale, systematycznie i konsekwentnie w kierunku obalania istniejących ustrojów społecznych i gruntowania na powstających gruzach znaku młota i sierpa – a to drogą podstępny, fałszu i barbarzyństwa... Nas wszystkich, którzy trafili pod rządy ZSSR – przez co możemy najdokładniej poznawać nie tylko cały ich koszmar, lecz i intencje – ogarniać zaczyna prawdziwa depresja na myśl, że nawet rozbić Niemców nie przyniesie nam wyzwolenia, jeśli się przedtem nie zlikwiduje bolszewików, których cuchnąca powódź dąży do zalania świata, dotkniętego kataklizmem wojen... Polski się nie uratuje, jeśli się o tym nie będzie pamiętać. I nie tylko Polski – nawet Europy – bo

5. Zob. Andrzej Suchcitz, „Polska a wojna fińsko-sowiecka 1939-1940” w: *Niepodległość*, Nowy Jork-Londyn, tom XXI, str. 167-179.

6. Cat (Stanisław Mackiewicz) w: *Słowo* nr 5, Paryż 18 lutego 1940, str. 1.

zmiażdzenie Niemców będzie tryumfem bolszewików”.⁷

Jeśli chodzi o pomoc rządu polskiego dla Finlandii, to na samym już początku powstał problem dowództwa brygady polskiej, która miała być podporządkowana dowództwu generała francuskiego. Było to dla Sikorskiego – „zagadnieniem nie tyle wojskowym, ile politycznym i dlatego musimy prze-forsować zasadę, że w ramach ogólnej ekspedycji alianckiej jesteśmy równouprawnionym jej członkiem”. Na posiedzeniu Rady Ministrów 22 lutego 1940 Sikorski podkreślił, że „w stosunku do aliantów... Polska powinna być traktowana na równi z innymi. Umowy łączące nas z Francją i Wielką Brytanią znajdują w tym wypadku praktyczne zastosowanie”⁸. Wszystko było jeszcze do uzgodnienia, łącznie ze stanem liczbowym jednostki polskiej, o czym świadczy korespondencja gen. Sikorskiego z gen. Gamelinem, wówczas naczelnym dowódcą wojsk alianckich.⁹ Opornie szły w ogóle przygotowania całego korpusu, nadto Szwecja i Norwegia, powołując się na swoją neutralność, odmówiły zgody na przemarsz korpusu przez ich terytorium.

W protokole z posiedzenia Rady Ministrów z 1 marca 1940 odnotowano, że gotowość Polski do przyścia Finlandii z pomocą „jest maksymalnym wyrazem naszej dobrej woli. Trudność, jaka wynikała z nieuznawania przez Finlandię Rządu w Angers została usunięta¹⁰, gdyż w dniu dzisiejszym otrzymaliśmy właśnie wiadomość, że Finlandia przysłała tu swego przedstawiciela”¹¹. Niecałe dwa tygodnie później, Finowie przyjęli warunki sowieckie i 14 marca podpisali pokój w Moskwie. Jednostka polska – Brygada Podhalańska – przygotowana do wyprawy fińskiej, została potem skierowana, wraz

7. Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (IPMS). Sygnatura: P.R.M. 15/24.

8. Gen. Sikorski starał się również wówczas, niestety bezskutecznie, o udział Polski w Najwyższej Radzie Międzyalianckiej, złożonej z przedstawicieli rządów francuskiego i brytyjskiego, co stanowi odrębny już temat.

9. Korespondencja ta znajduje się w archiwum wojskowym w Forcie Vincennes. Archives du Ministère de la Defense. Etat-Major de l'Armée de terre. Sygnatura 27 N 8.

10. Nie było to ścisłe, bo chodziło jedynie o oficjalne uznanie, co w istniejącej sytuacji nie było najważniejsze.

11. Archiwum IPMS. „Dziennik Czynności Naczelnego Wodza”. Marzec 1940. Załączniki, część pierwsza.

z korpusem ekspedycyjnym, do Norwegii, gdzie wstąpiła się w bitwie o Narwik.



Dalsze stosunki polsko-fińskie związane są w dużym stopniu z grupą polskich uchodźców, którzy – po kampanii wrześniowej – zdążyli dotrzeć do Sztokholmu z myślą o przedostaniu się do Armii Polskiej we Francji. Wskutek inwazji Niemców na Danię, Norwegię, a później Belgię i Holandię, postanowiono wysłać tę grupę do polskiej Brygady Podhalańskiej walczącej w Narwiku. Szwedzi, troskliwi o swoją neutralność, nie zgodzili się jednak na przejazd Polaków przez ich kraj. Podjęto przeto decyzję przedostania się do Norwegii drogą okólną przez Finlandię i Nordkap, ale do Narwiku nie dotarli i „norweski” etap ochotników polskich zakończył się ich rocznym pobytem w Finlandii w ciągłym oczekiwaniu na możliwość dotarcia do wojska polskiego odtwarzanego wówczas w Wielkiej Brytanii.

Dzieje tej grupy, złożonej z kilkudziesięciu uchodźców, przedstawił jeden z nich, Andrzej Bogusławski (o przybranym wówczas nazwisku: Antoni Kuczun), w troskliwej o fakty – na ile to było możliwe po upływie wielu lat – napisanej książce¹². Zbieranie materiału stanowi już samo w sobie historyczno-pouczający przyczynek do różnych epizodów naszych dziejów, zaniedbanych dawniej a dzisiaj – bez wystarczającej dokumentacji archiwalnej i relacji nieżyjących już świadków – coraz trudniejszych do źródłowych opracowań. Nieliczne są w ogóle opracowania losów Polaków w krajach skandynawskich podczas drugiej wojny światowej. Na temat Finlandii ukazały się w *Zeszytach Historycznych* dwa artykuły, o których wspomina Bogusławski i które należy też tutaj odnotować¹³. W swojej książce Bogusławski oparł się głównie

12. Andrzej Bogusławski, „Pod Gwiazdą Polarną. Polacy w Finlandii 1939-1941”, Oficyna Wydawnicza „Topografia”, Warszawa-Paryż 1997, str. 150 oraz kilka stron z fotografiami o historycznej dziś wartości.

13. Leonidas A.B. Kliszewicz, „Baza w Sztokholmie”, *Zeszyty Historyczne* nr 58, Paryż 1981, str. 44-175 i Norbert Żaba, „Finowie i Polacy w 1944 roku”, *Zeszyty Historyczne* nr 106, Paryż 1993, str. 210-222.

na własnych, bezpośrednio wówczas robionych notatkach, dokumentacji (nielicznej) w archiwach w Londynie, Warszawie i w Helsinkach, oraz fragmentach zapamiętanych wypadków przez osoby, które Autor zdołał jeszcze ostatnio spotkać. Głównym jednak tworzywem książki-pamiętnika Bogusławskiego, po wojnie dziennikarza z zawodu, są jego własne wspomnienia, przy pomocy których starał się wiernie „odbudować” fińsko-wojenne doświadczenie.

Po słowie wstępnym Bogusławski zamieścił opis nieudanej wyprawy do Narwiku, wydrukowany już uprzednio w *Zeszytach Historycznych* (nr 108), po czym przystępuje do naszkicowania sytuacji Finlandii i postawy, jaką wobec niej zajął rząd polski, postawy o której pisze również na końcu książki, po zapoznaniu się z teczką dokumentów w fińskim Archiwum Wojny. Otóż w archiwach tych znajdują się listy i depesze z końca grudnia 1939 r. dotyczące rokowań między gen. Sikorskim i przedstawicielami Finlandii płk. Paasonenem i posłem w Paryżu (przy rządzie francuskim) H. G. Holmą. Z dokumentacji tej wynika, że wyolbrzymione były możliwości utworzenia z Polaków internowanych na Litwie i Łotwie legionu polskiego do wsparcia Finów. Strona fińska miała wówczas odczuć rozczarowanie dość trudnymi warunkami, jakie postawił jej gen. Sikorski, ale brak jest sprecyzowania na czym te warunki polegały (str. 137). W wyniku przeprowadzonych zapewne wtedy rozmów, gen. Sikorski mianował w styczniu 1940 r. ppłk. Tadeusza Rudnickiego kierownikiem ewakuacji polskich ochotników z Litwy i Łotwy, na miejsce płk. Leona Mitkiewicza, który odwołany do Paryża, został następnie wysłany do Londynu na stanowisko przedstawiciela Polski w Komitecie Najwyższej Rady Międzypolitycznej. Sporo następnie miejsca poświęca Bogusławski poszukiwaniom materiałów w archiwach polskich nad Tamizą i nad Wisłą z niewielkim jednak rezultatem.

Po nieudanej wyprawie do Narwiku grupa ochotników polskich powróciła do Finlandii i ppłk Władysław Łoś, *attaché* wojskowy w Helsinkach zdecydował, żeby zatrzymała się we wsi Ruukki, kilkadziesiąt km. na południe od miasta Oulu. Tam też został utworzony obóz dla ochotników czekających na możliwość wyjazdu do wojska polskiego.

Bogusławski pisze, że po chybionej wyprawie do Narwiku „znaleźliśmy się na tej północnej obczyźnie osamotnieni okrutnie – na dnie ludzkiej niedoli”, ale nie było wśród nich wzajemnych oskarżeń, jak to się działo w obozach internowanych na Litwie. Pretensje kierowano jednak pod adresem urzędników polskich placówek dyplomatycznych, że „nie odesłano nas do Szwecji, że nie udzielono we właściwym momencie odpowiedniej pomocy”, co – przyznaje Autor – nie było łatwe w zaistniałej sytuacji. Następnie pisze, iż „dobrze przynajmniej, że mimo klęski Polski ludzie z polskiego poselstwa i ataszatu wojskowego byli w Finlandii szanowani, mieli doskonałe kontakty w środowiskach dyplomatycznych i wojskowych” (str. 48-49).

Decyzję utworzenia „obozu sportowo-wojskowego”, tak oficjalnie został nazwany, ppłk Łoś podjął, wspólnie z władzami fińskimi w drugiej połowie czerwca 1940, nie mając jeszcze bezpośredniej łączności z rządem polskim, który wówczas ewakuował się do Anglii, o czym trzeba pamiętać. Obóz przewidziany był, tak jak podawał ppłk Łoś w depeszy do dowództwa polskiego z 19 czerwca, na 38 żołnierzy, czyli dwa razy więcej niż było ochotników, którzy powrócili z Norwegii. Później obóz się zapełniał, ale do liczby 38 nigdy nie doszedł (str. 52).

Sporo miejsca poświęcił Bogusławski opisowi organizowania życia obozowego. Zaczęło się od sportu, żeby fizycznie nie zgnuśnić. Obok sportu ważną rolę odgrywały zajęcia oświatowe, głównie odczyty na różne tematy i dyskusje związane z toczącą się wojną. Uroczyście np. obchodzono Dzień Żołnierza 15 sierpnia w tym jakby nie było egzotycznym dla Polaków kraju. Jeden z fragmentów egzotyki Finlandii oddał Autor w literackim opisie zorzy polarnej (str. 68). Pisze również o pięknej tam zimie, a wzruszająco o miejscowym kowalu, Yrjö Salonen, przyjacielu Polski ku zdziwieniu obozowiczów, bo przecież była to zapadła wioska, bez żadnych przed wojną kontaktów z naszym krajem. „Polska – wyjaśnia Bogusławski – zafascynowała go z powodu podobieństwa losów w ostatnich czasach i zbieżności interesów obu krajów leżących na pograniczu Wschodu i Zachodu Europy”. (79-82).

Warta odnotowania, za Bogusławskim, jest opinia o obozowiczach, wyrażona przez przedstawiciela policji w Oulu w jego meldunku, jaki w kwietniu 1941 roku wysłał do władz zwierzchnich w Helsinkach. „Wydaje się, że żyją bardziej w swoim gronie, aniżeli z mieszkańcami wsi, których towarzysztwa nie szukają. Natomiast ludzie miejscowi ich lubią i zachowują się przyjaźnie wobec nich. Oni nie upijają się, nie biją, nie molestują kobiet. Miejscowa policja może tylko dziękować Polakom za ich zachowanie” (str. 102-103). Wyjątkowa to opinia, zwłaszcza za granicą, o abstynencji Polaków. Bogusławski nie podziela zdania o izolowaniu się od mieszkańców wsi, wręcz przeciwnie, twierdzi, że „stosunki z mieszkańcami były coraz żywsze, przyjaźnie krzepły, byliśmy coraz częściej zapraszani do domów ruukkijczyków i zorganizowaliśmy dwa występy publiczne dla mieszkańców wsi, przyjęte bardzo życzliwie”. Ale, słusznie następnie podkreśla, że było ich coraz mniej, bo coraz więcej starało zaczepić się gdzieś indziej poza obozem w Finlandii, lub wyjechać do Szwecji.

Wszyscy rozglądali się za możliwością ucieczki i przedostania się do polskiego wojska. Prób ucieczek za granicę było sporo, ale udanych bardzo mało, przed zimą, pisze Bogusławski, chyba zaledwie dwie lub trzy. Nie brak też było obozowiczom pomysłów. Jednym z nich była budowa łodzi, którą miano zamiar dostać się do Szwecji i później do Anglii. Łódź nawet skończono i opakowaną wysłano koleją do Turku, portowego miasta nad Bałtykiem, ale dalsza wyprawa skończyła się fiaskiem (str. 74-75). Nie do tego jedynie wyczynu ograniczała się pomysłowość wychodźców polskich. Kilku z nich postanowiło bowiem skonstruować samolot, żeby móc dolecieć przynajmniej do Szwecji. Nawet zbudowano, ale nie zdołano uruchomić śmigła. W poszukiwaniu śladów tego samolotu Bogusławski dowiedział się, że w 1950 roku „został pokazany jako jeden z najciekawszych eksponatów na wystawie lotniczej w Szkole Technicznej w Oulu”. Niestety, wkrótce potem, w sumie po kilkunastu latach istnienia, materiał nie wytrzymał i samolot rozpadł się (str. 88-92).

Najtrudniejszym dla Polaków w Finlandii okresem, z uwagi na narastające niebezpieczeństwo, były miesiące wiosny i wczesnego lata 1941. Wtedy to polska placówka konsularna

opracowywała plany ewakuacji uchodźczej grupy w Ruukki i wysłała je do Londynu. „A tam zapewne – pisze Bogusławski – tonęły w przepastnych szufladach z powodu braku pieniędzy, żeby coś konkretnego przedsięwziąć. Taki plan ewakuacji odnalazłem – po latach – w Archiwach Akt Nowych w Warszawie” (str. 106). Trudno się jednak tutaj zgodzić z Autorem, że chodziło wtedy o środki finansowe, których rząd Sikorskiego miał przecież wystarczająco i wydawał niejednokrotnie na inne bezużyteczne dla sprawy polskiej cele.

W połowie czerwca 1941 roku nadeszły wiadomości, że Finowie – rozpoczynając działania wojenne po stronie niemieckiej przeciwko Sowietaom – mają zamiar zlikwidować w Helsinkach poselstwo polskie, a wraz z nim i stanowisko *attaché* wojskowego, twórcy obozu wojskowego w Ruukki. Jedynym przeto rozwiązaniem była ewakuacja do Szwecji. Ppłk Łoś mianował kpt. Eugeniusza Tokarskiego kierownikiem ewakuacji. Grupę polskich uchodźców przewieziono do Tornio, miejscowości na pograniczu ze Szwecją, skąd – po dwudziestu czterech dniach niespodziewanego internowania – grupa ta wyjechała do Szwecji dnia 24 lipca. Tego samego dnia poselstwo polskie w Helsinkach przestało istnieć a poseł i *attaché* wojskowy opuścili Finlandię 1 lipca (str. 118-119). Powszechnie później uważano, „że internowanie było skutkiem zaniedbań obu polskich placówek, zlikwidowanej w Helsinkach i istniejącej w Sztokholmie” (str. 124). Po różnych następnie w Szwecji perypetiach ochotnicy fińskiej grupy przedstawiali się stopniowo do wojska polskiego w Wielkiej Brytanii, gdzie byli wcielani do formujących się tam jednostek. Bogusławski, po przeszkoleniu, był jednym z cichociemnych; zrzucony do Polski w maju 1944 r. został przydzielony do Lubelskiego Okręgu AK.

Zanim się rozprzeczli po wojennym szlaku, w naprężonej atmosferze wojennych przygotowań do walki na różnych frontach, został zwołany koleżeński zjazd Ruukczaków, który odbył się we wrześniu 1943 r. w Nottingham (środkowa Anglia). Bogusławski z pewną nostalgią pisze o tym zjeździe, że sam już jego pomysł „dobrze świadczy o więzach koleżeństwa i szczerzej przyjaźni jakie się między nami wytworzyły.

Mieliśmy pretensje do dyplomatów, to prawda. Bywała zazdrość o miejsce w kolejce ewakuacyjnej i o łut szczęścia przy udanych ucieczkach. Ale nie było w czasie tego roku w Ruukki i później w Szwecji ani jednej kłótni na tle politycznym, socjalnym, osobistym, choćby o dziewczynę, żadnych potępięńczych swarów i animozji” (str. 128).

Dowodem przetrwania powstałej wówczas więzi przyjaźni (coraz rzadziej dziś spotykanej wśród rozbitych organizacyjnie kombatantów) jest omawiana tutaj książka, opracowana z benedyktyńską dokładnością, miejscami przeładowana szczegółami, które jednak ułatwiają zrozumienie trudności, jakie Autor musiał pokonywać, żeby opisać wojenne losy Polaków znad Gwiazdy Polarnej, losy ciekawe i warte upamiętnienia, podobnie jak ofiarowana przez Finów gościna, do czego Bogusławski walnie książką swoją się przyczynił.

Tadeusz WYRWA

NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza. Alfabetyczny wykaz 5822 obywateli polskich aresztowanych przez NKWD w rejonie Lwowa i Drohobycza w latach 1939-1941. Str. 368. Ośrodek KARTA; Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji RP; Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, Warszawa 1998. Indeks reprezentowanych, t. 6.

Artyści emigracyjnej Melpomeny 1939-1995. Anna Mieszkowska. Str. 262. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1998.

BABIŃSKI (Grzegorz). *Pogranicze polsko-ukraińskie.* Etniczność, zróżnicowanie religijne, tożsamość. Str. 279. Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 1997.

BARAN (Adam F.). *Skauting na Ziemi Sandomierskiej (1912-1920).* Str. 163. Wyd. Diecezjalne, Sandomierz 1998.

BELZYT (Leszek). *Miedzy Polską a Niemcami.* Weryfikacja narodowościowa i jej następstwa na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1945-1960. Str. 226. Wyd. A. Marszałek, Toruń 1998.

- BIAŁECKI (Tadeusz). *Szczecin na starych widokach (XVI-XX wiek)*. Stettin auf alten Abbildungen (16.-20. Jahrhundert). Str. 375. Archiwum Państwowe w Szczecinie, Szczecin 1995.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1995*. Oprac. W. Frazik, S. Gąsiorowski, A. Gruca, Z. Solak. Str. 574. Wyd. Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1997.
- Bibliografia historii polskiej za rok 1996*. Oprac. W. Frazik, S. Gąsiorowski, A. Gruca, Z. Solak. Str. 603. Wyd. Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1998.
- Biskup Antoni Baranowski* (Antanas Baranauskas) 1835-1902. Orędownik pojednania litewsko-polskiego. Str. 67. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- BOOCKMANN (Hartmut). *Zakon Krzyżacki*. Dwanaście rozdziałów jego historii. Przeł. R. Trauba. Str. 395, il. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1998.
- BORODYNSKI (Piotr). *Ucieczki i inne wspomnienia*. Str. 367. Wyd. Piotr Janczuk, Gdynia 1998.
- BOTCHEV (Stéphane). *Béléné*. Souvenirs du Goulag bulgare. Str. 278. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1998.
- BOYARIN (Jonathan). *Żydzi polscy w Paryżu*. Etnografia pamięci. Przeł. A. Walaszek. str. 282. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.
- Brodnica*. Siedem wieków miasta. Str. 403. Red. J. Dygdała. Brodnica 1998.
- Bukowina po stronie dialogu*. Red. K. Feleszko. Str. 285. Wyd. Pogranicze, Sejny 1999.
- CHOIŃSKA-MIKA (Jolanta). *Sejmiki mazowieckie w dobie Wazów*. Str. 213. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- Constitution and Reform in Eighteenth-Century Poland*. The Constitution of 3 May 1791. Red. Samuel Fiszman. Str. 562. Indiana University Press 1997.
- CROCE (Benedetto). *Historia Europy w XIX wieku*. Przeł. J. Ugniewska, wstęp B. Geremek, posłowie G. Herling-Grudziński. Str. 353. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998.
- Do niepodległości 1919, 1944/45, 1989*. Wizje – drogi – spełnienie. Pod red. W. Wrzesińskiego. Str. 356. Wydawnictwo Sejmowe 1998.
- DRYMMER (Wiktor Tomir). *W służbie Polsce*. Oprac. J. Łukasiewicz, P. Juzwa. Str. 350, il. Instytut Historii PAN, Warszawska Oficyna Wydawnicza GRYF, Warszawa 1998.
- DUBICKI (Tadeusz), SEPKOWSKI (Andrzej). *„Afera” Starykonnia czyli historia agenta Gestapo*. Str. 238. Warszawska Oficyna Wydawnicza „Gryf”, Warszawa 1998.
- Edukacja młodego pokolenia Polaków i Ukraińców w kontekście integracji europejskiej*. Nadzieje i zagrożenia. Red. R. Kucha i E. Kłosa. Str. 483. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- GARLIŃSKI (Józef). *Świat mojej pamięci*. Wspomnień tom drugi. Londyn. Str. 491. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1998.
- GAWŁOWICZ (Józef). *Byłem kurierem Giedroycia*. Str. 146. Wydawnictwo Promocyjne „Albatros”, Szczecin 1998.
- GILL (Władysław), GILL (Norbert). *Stosunki Polski z Ukrainą w latach 1989-1993*. Str. 123. Uniwersytet im. A. Mickiewicza, wyd. Adam Marszałek, Toruń-Poznań.

- GRZEŚKOWIAK-KRWAWICZ (Anna). *Gdańsk oświecony*. Szkice o kulturze literackiej Gdańska w dobie Oświecenia. Die Aufklärung in Danzig. Skizzen über die Danziger Literaturpflege im Zeitalter der Aufklärung. Str. 202. Wyd. Instytut Badań Literackich, Warszawa 1998.
- HERNIK-SPALIŃSKA (Jagoda). *Wileńskie Środy Literackie* (1927-1937). Str. 338. Wyd. IBL PAN, Warszawa 1998.
- HEUMAN (Susan). *Kistiakovsky. The Struggle for National and Constitutional Rights in the Last Years of Tsarism*. Str. 218. Harvard University Press for the Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge 1998.
- Idee w Rosji. Idei w Rossii. Ideas in Russia*. Leksykon rosyjsko-polsko-angielski. Red. A. de Lazari. T. I. Str. 492. Wydawnictwo Naukowe „Semper”, Warszawa 1999.
- JASZCZUK (Andrzej). *Liberalna Atlantyda*. Główne nurty liberalizmu polskiego 1870-1939 r. Str. 131. Nakładem autora w Wydawnictwie Krzysztof Biesaga, Warszawa 1999.
- Jeńcy w Griazowcu i Suzdału*. Alfabetyczne wykazy 3640 jeńców wojennych z 1939 roku – Polaków i przedwojennych obywateli polskich innych narodowości – przetrzymywanych w sowieckich obozach w Griazowcu i Suzdału. Str. 228. Ośrodek KARTA; Centralne Archiwum Wojskowe, Warszawa 1998. Indeks represjonowanych, t. 5.
- JONCA (Karol). „*Noc kryształowa*” i *casus Herschela Grynszpana*. Str. 403. Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1998.
- KARPUS (Zbigniew). *Jeńcy i internowani rosyjscy i ukraińscy na terenie Polski w latach 1918-1924*. Str. 209. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1997.
- KARPIŃSKA-GIERAT (Ewa). *Korzenie i owoce*. Wspomnienia i listy. Str. 816. „Domek”, Bethlehem, Connecticut, 1998.
- Kronika XX wieku*. Ludzie i wydarzenia. Str. 360. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1998.
- Królowie elekcijni*. Leksykon biograficzny. Red. nauk. Irena Kaniowska. Str. 280, il. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1997.
- KUCHARZEWSKI (Jan). *Od białego caratu do czerwonego*. Red. naukowa A. Szwarc i P. Wiczorkiewicz T.1 – Epoka mikołajowska. Str. 419 T.2 – Geneza maksymalizmu. Dwa światy. Str. 462. T.3 – Lata przełomu. Romanow, Pugaczow czy Pestel. Str. 695. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.
- KUKIEŁKA (Bolesław Jan). *Życie kreślone historią*. Drogi wojenne żołnierza Rzeczypospolitej. Str. 306. Oficyna Wydawnicza „Ajaks”, Pruszków 1998.
- KULEBA (Miroslaw). *Imperium na kolanach*. Wojna w Czechenii 1994-1996. Str. 391. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1998.
- L'Historien et Politique*. Entretiens avec Bronisław Geremek recueillis par Juan Carlos Vidal. Tłum. z hiszpańskiego N. Véron. Str. 171. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- LUBOWIECKI (Ignacy). *Pamiętniki*. Oprac. N. Kasperek. Str. 218. Lubelskie Towarzystwo Naukowe, Lublin 1997.
- Łagry*. *Przewodnik encyklopedyczny*. Praca zbiorowa pod red.

- N. Ochotina i A. Rogińskiego. Z ros. przeł. R. Niedzielko. Str. 624. Ośrodek KARTA; Stowarzyszenie „Memorial”; Państwowe Archiwum Federacji Rosyjskiej. Warszawa 1998.
- MAŁACHOWSKI-ŁEMPICKI hr. (Stanisław). *Dzieje wolnego mularstwa w Krakowie 1755-1822*. Str. 78. Reprodukacja fotoofsetowa oryginału. Krajowa Agencja Wydawnicza, Kraków 1993.
- MIKOŁAJCZAK (Aleksander Wojciech). *Łacina w kulturze polskiej*. Seria: A to Polska właśnie. Str. 339. Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1998.
- MORAWSKI (Kajetan). *Wspólna droga z Rogerem Raczyńskim*. Wspomnienia. Str. 307. Wyd. Poznańskie, Poznań 1998.
- MÜHLSTEIN (Anatol). *Dziennik wrzesień 1939 – listopad 1940*. Przekład D. Zamojska. Str. 271. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1999.
- Myśl białoruska XX wieku*. Filozofia, religia, kultura (antologia). oprac. J. Grabiński. Str. 741. Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy (SOW) przy Instytucie Sławiistyki PAN, Warszawa 1998.
- Nasz radawod*. Kniha 7. Materiały z międzynarodowej konferencji naukowej na temat „Historyczna pamięć narodów Wielkiego Księstwa Litewskiego i Białorusi XIII-XX w.”. Grodno, 3-5.07.1996 r. Str. 430.
- Oddziały i żołnierze NSZ w Powstaniu Warszawskim*. Wydanie specjalne. Str. 385. Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, Warszawa 1998.
- Ofiary czy współwinni*. Nazizm i sowietyzm w świadomości historycznej. Str. 173. Oficyna Wydawnicza Volumen, Fundacja im. Friedricha Eberta, Warszawa 1997.
- Ostatnie lata Sejmu Wielkiego w świetle korespondencji dyplomatów francuskich*. Korespondencja dyplomatyczna przedstawicieli Francji w Warszawie: Marii Louisa Descorchesa, Jeana Alexandra Bonneau i Josepha Auberta z lat 1791-1792. Wybór H. Kocój. Str. 299. Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, Kraków 1999.
- PARTACZ (Czesław). *Od Badeniego do Potockiego*. Stosunki polsko-ukraińskie w Galicji w latach 1888-1908. Str. 280. Wyd. A. Marszałek, Toruń 1997.
- Piastowie*. Indeks biograficzny. Red. nauk. Stanisław Szczur, Krzysztof Ozóg. Str. 946, il. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1999.
- PIŁSUDSKI (Rowmund). *Pisma wybrane 1972-1982*. Red. F. Gross. Str. 223. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1998. Seria: Myśl społeczna i polityczna na emigracji. Tom III.
- PISKOZUB (Andrzej). *Morze w dziejach cywilizacji*. Str. 176. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.
- PISKOZUB (Andrzej). *Z prądem i pod prąd epoki*. Wybór publicystyki 1961-1996. Str. 603. Koszalin 1997.
- POLEC (Andrzej). *Wiara i nadzieja*. Cerkiew kijowska i jej więź z Rzymem 1596-1996. Zdjęcia A. Polec. Wstęp bp Ivan L. Rudnytzky, O. Opanasiuk. Str. 144. Religijne Towarzystwo Ukraińców Katolików „Św. Zofia”, Filadelfia 1997.
- Polonika zagraniczne*. Bibliografia. 1990. Str. 324. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1998.
- Polonika zagraniczne*. Bibliogra-

- fia. 1991. Str. 320. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1998.
- Polska i Rosja. Strategiczne sprzeczności i możliwości dialogu.* Red. A. Magdziak-Miszewska. Str. 291. Centrum Stosunków Międzynarodowych Instytutu Spraw Publicznych, Warszawa 1998.
- Polska poza Polską. Sprawozdanie z II Kongresu Kultury Polskiej na Obczyźnie.* Tom III. Red. K. Rowiński. Str. 144. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1998.
- Polska-Ukraina: trudne pytania.* Tom 1-2. Materiały II międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1918-1947”, Warszawa, 22-24 maja 1997. Str. 244. Wyd. KARTA, Warszawa 1998.
- Polska-Ukraina: trudne pytania.* Tom 3. Materiały III międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach II wojny światowej”, Łuck, 20-22 maja 1998. Str. 267. Wyd. KARTA, Warszawa 1998.
- POSTEL-VINAY (André). *Un fou s'évade. Souvenirs de 1941-42.* Str. 245. Transfaire, Turriers, 1998.
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Tajemnica Piłsudskiego.* Str. 209. Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, wyd. 2, Warszawa 1997.
- PRZYBYŁA (Sylwester). *Podejście Litwy do bezpieczeństwa w regionie.* Str. 38. Wyd. Adam Marszałek, Warszawa 1997.
- RATAJ (Maciej). *O parlamentarystyce, państwie demokratycznym i sanacji.* Oprac. A. Kołodziejczyk. Str. 185. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- SAKOWICZ (Kazimierz). *Dziennik pisany w Ponarach od 11 lipca 1941 r. do 6 listopada 1943 r.* Oprac. R. Margolis. Str. 144. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1999.
- SIBORA (Janusz). *Narodziny polskiej dyplomacji u progu niepodległości.* Str. 363. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- Słownik polityków polskich XX wieku.* Red. P. Hauser. S. Żerka. Str. 440. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1998.
- SROCZYŃSKI (Zbigniew). *Żeleńscy. Rodowód. Dzieje Rodu Żeleńskich z Żelanki.* Str. 226. Oficyna Wydawnicza „ADIUTOR”, Warszawa 1997.
- STEFANOWICZ (Janusz). *Niewdzięczna misja. Zapiski ambasadora w Paryżu 1984-1989.* Str. 168. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1997.
- STOCZEWSKA (Barbara). *Litwa, Białoruś, Ukraina w myśli politycznej Leona Wasilewskiego.* Str. 397. Księgarnia Akademicka, Kraków 1998.
- SWIETOCHOWSKI (Tadeusz). *The Politics of Oil and the Quest for Stability: The Caspian Sea.* Str. 118-129. Nadbitka z Post-Soviet Central Asia, red. Touraj Atabaki and John O'Kane. The International Institute for Asian Studies, Leiden, Amsterdam.
- SZELAĞ (Zdzisław). *Póki my żyjemy. Z dziejów Mazurka Dąbrowskiego w latach 1980-1989.* Str. 29. Grójec 1997.
- SZEREMIETIEW (Romuald). *Obronić Polskę.* Str. 213. Fundacja GLOB, Warszawa 1997.
- SZYMANOWSKI (Genadiusz). *Dwanaście lat – wspomnienia z lat 1927-1939.* Str. 312. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.

- ŚLADKOWSKI (Wiesław). *Ojciec Zwycięstwa Georges Clemenceau*. Str. 240. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- Teczka specjalna J.W. Stalina*. Raporty NKWD z Polski 1944-1946. Wybór i opracowanie: T. Cariewskaja, A. Chmielarz, A. Paczkowski, E. Rosowska, Sz. Rudnicki. Przekład E. Rosowska. Str. 637. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Instytut Historyczny Uniwersytetu Warszawskiego, Oficyna Wydawnicza RYTM, Archiwum Państwowe Federacji Rosyjskiej, Warszawa 1998.
- Teki Archiwalne*. Seria nowa t. 3 (25). Str. 332. Wyd. DiG, Warszawa 1998.
- The Slavonic Book of Esther*. Text, Lexicon, Linguistic Analysis, Problems of Translation. Oprac. Horace G. Lunt, Moshe Taube. Str. 311. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge 1998.
- THUGUTT (Stanisław). *O demokracji i ustroju Polski*. Oprac. Władysław Wic. Str. 215. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- TOKARSKI (Adam). *W gościnie u bratanków Węgrów*. Str. 128. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.
- Uwięzieni w Stalinogorsku*. Alfabetyczne wykazy 6326 Polaków i obywateli polskich więzionych w obozie kontrolno-filtracyjnym nr 283 i obozie jenieckim nr 388 NKWD-MWD ZSRR w Stalinogorsku w latach 1944-1950. str. 390. Ośrodek KARTA; Centrum Przechowywania Zbiorów Historyczno-Dokumentalnych, Moskwa; Centrum Badań nad Ludobójstwem i Ruchem Oporu Mieszkańców Litwy, Wilno; Ośrodek Badań, Informacji i Upowszechniania „Memoriał”, Moskwa. Warszawa 1999. Indeks represjonowanych, t. 7.
- WACŁAWSKI (Mieczysław). *Libberka 2*. Str. 221. Nakładem autora, 1998.
- Walka o losy Centralnego Urzędu Planowania w 1948 roku*. Materiały z konferencji historycznej 24 marca 1998.r. Str. 77. Polskie Towarzystwo Ekonomiczne.
- WESOŁOWSKI (Łucjan Jan). *Gott mit uns? Stosunek do życia – miarą człowieczeństwa*. Str. 233. Dom Wydawniczy BEL-LONA, Warszawa 1997.
- WINKŁOWA (Barbara). *Nad Wisłą i nad Sekwaną*. Biografia Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Str. 230. Wyd. ISKRY, Warszawa 1998.
- WYRWA (Tadeusz). *Bezdroża dziejów polski*. Kraj i emigracja po 1 września 1939 r. Str. 330.
- NORBERTINUM, Lublin 1998.
- ZABIEŁŁO (Eugeniusz). *Dzisiaj. Bastion nad Dźwiną*. Str. 383. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Oddział w Bydgoszczy, 1998.
- Ze wschodu z kapelanem*. Rzecz o księdzu – kapelanie Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, płk. Wilhelmie Franciszku Kub-szu. Oprac. Zespół Redakcyjny. Str. 160. Wyd. Vipart, Nadarzyn 1998.
- ŻARON (Piotr). *Agresja Związku Radzieckiego na Polskę 17 września 1939 r.* Los jeńców polskich. Str. 486. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.

DOKUMENTY

JAK NIEMCY OCENIALI W 1920 R. POLSKICH DOWÓDCÓW?

Ministerstwo Obrony Rzeszy
Dowództwo Wojsk Lądowych
Ogólny Urząd Wojskowy
Br Nr 1 107. T 3.

Berlin, 7 kwietnia 1920

Na środku prostokątna pieczęć: Ministerstwo Spraw Zagranicznych, IV, wpłynęło 15 kwietnia 1920 oraz odręczne adnotacje osób czytających pismo (w kserokopii nie w pełni czytelne).

WYŻSI OFICEROWIE ARMII POLSKIEJ

Armii polskiej brakuje nadal doświadczonych, dobrze wyszkolonych oficerów. Szybkie awanse w stopniach służbowych nie mogą stworzyć dowódców, których potrzebuje pomieszane, znajdujące się jeszcze w fazie tworzenia wojsko. Polski Sztab Generalny składa się prawie wyłącznie z byłych oficerów austriackich, z których wywodzą się także liczni dowódcy pułków i batalionów armii Polski Kongresowej. W swojej masie wyżsi polscy dowódcy pochodzą z armii austriackiej i rosyjskiej, w których tylko nieliczni zajmowali w czasie wojny wyższe stanowiska. Z armii niemieckiej wywodzą się dwaj obecni polscy generałowie Raszewski i Grudzielski.

Większość generałów, jak marszałek Polski Piłsudski, wice-minister wojny generał Sosnkowski oraz generałowie Rydz-Śmigły, Sikorski i Roja nie są zawodowymi żołnierzami i dlatego nie zdobyli żadnego lub, jak generałowie Józef Haller i Żeligowski, zdobyli skromne wykształcenie wojskowe. Do wojny światowej byli czynni tylko w tak zwanych paramilitarnych związkach strzeleckich lub drużynach młodzieżowych (Drużynach Bartoszewskich – przyp. tłum.) w Galicji i w czasie przekształcenia tych organizacji w polskie Legiony, dzięki swoim osobistym wpływom, otrzymali od Austriaków dowództwo.

*Najbardziej znanymi polskimi
dowódcami wojskowymi są:*

1) Naczelnik Państwa i marszałek Polski Józef Piłsudski

Urodził się w roku 1867 na Litwie. Jako student medycyny P. został w 1887 r. zesłany na Syberię. Powrócił w 1892 r. i został w Warszawie wydawcą *Robotnika* (organ polskiej socjaldemokracji), przez co stał się przywódcą Polskiej Partii Socjalistycznej. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej był jednym z głównych organizatorów rewolucji rosyjskiej w Polsce. Potem uciekł do Galicji. Tam stał się Piłsudski twórcą tak zwanych związków strzeleckich, z których po wybuchu wojny powstały Legiony Polskie. W sierpniu 1914 r. jako komendant brygady stanął na czele Legionów, które walczyły pod austriackim dowództwem. Później z powodu swojej niepewnej postawy został najpierw pozbawiony stanowiska, a następnie w roku 1917 aresztowany i uwięziony w Niemczech. Po wybuchu rewolucji w Niemczech powrócił do Warszawy i 6 lutego został wybrany przez Sejm Naczelnikiem Państwa i naczelnym wodzem. Przed kilkoma dniami przyjął przyznany mu przez oficerską komisję weryfikacyjną tytuł marszałka Polski.

2. Generał piechoty Józef Haller

Haller pochodzi z Krakowa i wstąpił do wojska cesarsko-królewskiego. W roku 1911, po studiach w wiedeńskiej Akademii Wojennej wystąpił jako kapitan z armii austriackiej i poświęcił się organizowaniu w Galicji (paramilitarnych – przyp. tłum.) drużyn młodzieżowych. Po wybuchu wojny mianowany dowódcą batalionu w 3 pułku piechoty Legionów, odznaczył się ze swoim oddziałem przy różnych okazjach. W krótkim czasie został pułkownikiem i dowódcą 3 pułku piechoty Legionów, potem pod Stochodem komendantem „pancernej” 2 Brygady Legionów Polskich. W sierpniu 1917 r. przeszedł ze swoją brygadą na znak protestu do Rosjan, walczył z bolszewikami i w końcu połączył się z 11 Korpusem Polskim, nad którym objął dowództwo pod nazwiskiem generała Mazowieckiego. 11 Korpus Polski z powodu niepewnej postawy został w marcu 1918 zmuszony przez oddziały niemieckie do złożenia broni na południe od Kijowa. Haller przedostał się przez Murmańsk do Francji. Tam objął dowództwo nad utworzonymi we Francji polskimi oddziałami, z którymi wiosną 1919 r. przez Niemcy powrócił do Polski. Podczas zajmowania odstąpionych Polsce niemieckich obszarów był głównodowodzącym wkraczających polskich jednostek i powinien obecnie otrzymać dowództwo jednego z frontów w wojnie z bolszewikami.

3. Generał piechoty Józef Dowbór-Muśnicki

Po ukończeniu petersburskiego Korpusu Kadetów mianowany w roku 1894 podporucznikiem, jako oficer Sztabu Generalnego wziął udział w wojnie rosyjsko-japońskiej. W chwili wybuchu wojny światowej D.-M. był szefem sztabu dywizji piechoty. W październiku 1915 r. został mianowany generałem majorem (generałem brygady – przyp. tłum.), a dwa lata później generałem lejtnantem (generałem dywizji – przyp. tłum.) i dowódcą korpusu armijnego. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej objął dowództwo 1 korpusu rosyjsko-polskiego (1 Korpus Polski – przyp. tłum.), z którym przeszedł

potem na stronę państw centralnych. W styczniu 1919 r. otrzymał dowództwo polskich sił zbrojnych w prowincji poznańskiej (Wielkopolska – przyp. tłum.) i organizował tam obecny korpus wielkopolski (Wojska Wielkopolskie – przyp. tłum.), na którego czele stał do niedawna. O jego dalszym przydziale brak danych.

4. Generał artylerii Stanisław Szeptycki

Pochodzi z armii austriackiej, brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej jako attaché wojskowy. W chwili wybuchu wojny światowej był attaché wojskowym w Rzymie. W lipcu 1916 r. został dowódcą 3. Brygady Legionów, a już w listopadzie 1916 r. wszystkich oddziałów legionowych. Na ich czele przybył do Warszawy w grudniu 1916 r. W 1917 r. w Lublinie został generałem gubernatorem terenów okupowanych przez Austriaków, w listopadzie 1918 r. szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, a na początku 1919 r. dowódcą Frontu Litewsko-Białoruskiego.

5. Generał lejtnant (generał dywizji – przyp. tłum.) Józef Leśniewski

Pochodzi z petersburskiego pułku gwardii, do wybuchu wojny był dowódcą pułku gwardii w Warszawie. W roku 1915 został generałem majorem (generałem brygady – przyp. tłum.) i dowódcą brygady, a dwa lata później otrzymał wraz z awansem na generała lejtnanta (generała dywizji – przyp. tłum.) dowództwo dywizji. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej objął 2 dywizję 1 Korpusu Polskiego. W lutym 1919 r. został mianowany polskim ministrem wojny

6. Generał lejtnant (generał dywizji – przyp. tłum.) Wacław Iwaszkiewicz

Pochodzi z armii rosyjskiej, brał udział w wojnie rosyj-

sko-japońskiej. W chwili wybuchu wojny był dowódcą pułku, jednak bardzo szybko awansował na dowódcę brygady i dywizji. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej objął dowództwo 3 dywizji 1 Korpusu Polskiego. W listopadzie 1918 r. tworzył Dywizję Litewsko-Białoruską, z którą zajął Białystok i Grodno. Na początku 1919 r. został mianowany dowódcą północnego odcinka frontu wschodniego, w lutym 1919 r. dowódcą frontu w Galicji, gdzie stał się sławny dzięki walkom z Ukraińcami o Lwów.

Generałowie Dowbór-Muśnicki, Szeptycki, Leśniewski i Iwaszkiewicz są bez wątpienia, zarówno pod względem wykształcenia jak i doświadczenia, najlepszymi polskimi dowódcami.

7. Generał Kazimierz Sosnkowski

S. nie jest zawodowym żołnierzem. Od 1911 uczestniczył w organizowaniu związków strzeleckich w Galicji. Dzięki ścisłym związkom z Piłsudskim został w 1914 r. szefem jego sztabu. W 1917 r. został razem z Piłsudskim aresztowany i internowany w Niemczech. W listopadzie 1918 r. został mianowany generałem, a w lutym 1919 r. wiceministrem wojny.

8. Generał Lucjan Żeligowski

Pochodzi z armii rosyjskiej, brał udział w wojnie rosyjsko-japońskiej, a po jej zakończeniu z powodu socjalistycznych skłonności został z wojska wydalony w stopniu kapitana. Po wybuchu wojny został ponownie przyjęty do służby jako pułkownik i po upadku Rosji objął dowództwo części 11 Korpusu Polskiego. Przebił się z nim do Odessy, gdzie połączył się później z siłami Ententy, a po ich ewakuacji wrócił przez Ukrainę do Galicji. Po krótkim dowodzeniu 10 dywizją powierzono mu komendę nad nazwaną od jego nazwiska grupą wojsk na froncie wschodnim.

9. Generał Zygmunt Zieliński

Pochodzi z armii austriackiej, w której przed wojną dowodził 13 pułkiem piechoty. W sierpniu 1914 r. przeszedł do Legionów Polskich i objął dowództwo 2 pułku piechoty. Awansowany na generała otrzymał dowództwo 3 brygady Legionów. W listopadzie 1918 r. został dowódcą 3 dywizji Legionów. Walczył z nią pod Przemyślem i Samborem przeciwko Ukraińcom. Jest teraz komendantem poznańskiego okręgu wojskowego.

10. Generał Edward Rydz-Śmigły

Przed wojną nie był żołnierzem zawodowym, od 1911 r. należał do związków strzeleckich, a w sierpniu 1914 r. został dowódcą batalionu w 1 pułku piechoty Legionów, którego dowództwo objął na początku 1915 r. Pozbawiony stanowiska razem z Piłsudskim, był po jego aresztowaniu przywódcą konspiracji skierowanej przeciwko mocarstwom okupacyjnym. W listopadzie 1918 r. został generałem i komendantem lubelskiego okręgu wojskowego, a potem dowódcą części Frontu Wołyńskiego, na którym zajął Kowel i Włodzimierz Wołyński. Od końca marca 1919 r. jest znany jako dowódca 1 dywizji Legionów i dowodzi w tej chwili na froncie nad Dźwiną.

11. Generał Leon Berbecki

Pochodzi z armii rosyjskiej, w której walczył jako dowódca batalionu w wojnie rosyjsko-japońskiej. Po wojnie wystąpił z armii rosyjskiej i współpracował z Piłsudskim nad rewolucją w Polsce. Po wybuchu wojny został dowódcą batalionu, a w roku 1915 dowódcą 5 pułku piechoty Legionów. Był szefem sztabu Legionów u generała Szeptyckiego. Wiosną 1919 r., po przeniesieniu generała Zielińskiego, objął dowództwo 3 dywizji Legionów.

12. Generał Władysław Sikorski

Przed wojną nie był żołnierzem zawodowym, był członkiem związków strzeleckich, a po wybuchu wojny wstąpił do Legionów, których organizowanie powierzył mu Piłsudski. Po przejściu brygady Hallera do Rosjan został przez Austriaków pozbawiony stanowiska i internowany. Obecnie jest dowódcą 9 dywizji i dowodzącym odcinkiem frontu nad Prypecią.

13. Generał lejtnant (generał dywizji – przyp. tłum.) Bolesław Roja

Z wybuchem wojny rozpoczął karierę wojskową jako dowódca batalionu w brygadzie karpackiej Legionów Polskich. Po aresztowaniu Piłsudskiego organizował wraz z generałem Rydzem-Śmigłym opór przeciwko urzędom mocarstw okupacyjnych. Po upadku (państw centralnych – przyp. tłum.) w listopadzie 1918 r. był najpierw dowódcą 2 dywizji Legionów, a później komendantem okręgu wojskowego w Kielcach. Stąd został niedawno przeniesiony i mianowany, jako następca generała hrabiego Lamezana, na stanowisko komendanta Prus Zachodnich i Pomorza.

14. Generał Listowski

Pochodzi z armii rosyjskiej. Obecnie jest dowódcą Frontu Wołyńskiego. Nic bliższego o nim nie wiadomo.

15. Generał Zygałłowicz

Obecnie jest dowodzącym grupą wojsk pod Wilnem. Nic bliższego o nim nie wiadomo.

16. Generał Włodzimierz Majewski

Wywodzi się z gwardii rosyjskiej. Przez wiele lat pracował na różnych stanowiskach w rosyjskim Sztabie Generalnym, a po wybuchu wojny został dowódcą pułku piechoty. W 1917 r. został mianowany generałem majorem (generałem brygady – przyp. tłum.) i dowódcą dywizji. W listopadzie 1914 r. (błąd, powinno być 1918 r. – przyp. tłum.) wstąpił do Wojska Polskiego i wkrótce wspólnie z generałem Sosnkowskim został wiceministrem wojny, a 4 marca br kometandem Szkoły Sztabu Generalnego w Warszawie.

Tłumaczenie: Stanisław HOROSZKO

OKRUCHY HISTORII

APEL KOŚCIUSZKOWSKI

Ozdobo Rodzaju Ludzkiego! Płci piękna!

Cierpię szczerze na widok niespokojnej Twej troskliwości o los śmiałego przedsięwzięcia, które ku oswobodzeniu Ojczyzny przedsięwiorą Polacy! Łzy Wasze, które Wam troskliwość serc czułych wyciska, przejmie serce rodaka Waszego, ogólnemu szczęściu poświęcającego się z rozkoszą. Pozwólcie mi podać Wam, Współobywatelki, moją myśl, w której się znajdzie i dogodzenie czułości Waszej i dogodzenie potrzebie publicznej. Tak jest los ludzki nieszczęśliwy, iż ani praw swoich utrzymać, ani praw Narodu odzyskać nie można bez przykrych i kosztownych sercom tkliwym ofiar...!

Krew nasza musi Wasze upewnić szczęście, Kobiety! Niech onej wylew Wasze wstrzymają starania.

Raczej, proszę Was o to na miłość ludzkości, robić szarpię i bandażę dla wojska; ofiara ta rąk pięknych ulży cierpieniom i męstwo samo zachęci.

Dan w Głównej Kwaterze w Krakowie
dnia 24 marca 1794 r.

Tadeusz KOŚCIUSZKO

DWA LISTY DO BRATA

Przed trzema laty umarł w Nowym Jorku mój stryj, płk Tadeusz Anders, najmłodszy brat mego Ojca, a kilka miesięcy temu zmarła jego żona, z Buterlewiczów Janina Andersowa. Mieszkanie, które zajmowali od 25-ciu lat likwidowała rodzina Stryjenki i wśród stosu bezwartościowych papierów zostały znalezione dwa listy Ojca, pisane z Moskwy zaraz po wypuszczeniu go z więzienia na Łubiance. Myślę, że listy te ze względu na datę i treść stanowią pewien przyczynek do historii.

Oprócz wiadomości o przejściach w więzieniu i o nowej pracy, którą zaczynał jako nowo mianowany dowódca Armii Polskiej w ZSSR, jest w nich oczywiście troska o los najbliższych.

W październiku 1939, wraz z moją Matką i bratem Jerzym, spotkał się w szpitalu we Lwowie przy łóżku ciężko rannego Ojca. Wydawało się wtedy, że na podstawie układu o wymianie polskich jeńców między Rosją a Niemcami, Ojciec przewieziony zostanie do niewoli niemieckiej, natomiast my powinniśmy się jakoś przedostać ze Lwowa do Warszawy. W ostatniej chwili jednak Matka moja odmówiła opuszczenia Ojca, pozostała z nim we Lwowie i razem zostali aresztowani. Matkę wypuszczono po kilku dniach, natomiast Ojca zatrzymano w więzieniu „do wyjaśnienia”. We Lwowie spędziła Matka całą ciężką zimę 1940-go roku, zarabiając szyciem na własny chleb jak i na paczki dla Ojca, które nieomal codziennie nosiła do więzienia. Paczki zawsze przyjmowano z obietnicą doręczenia, nawet wtedy gdy dawno już został przewieziony ze Lwowa do Moskwy, do więzienia na Łubiance.

Pierwszy list do Stryja Tadeusza napisany jest na skrawku papieru wyrwanego z brulionu w 10 dni po wypuszczeniu z Łubianki, a drugi trzy tygodnie później, po otrzymaniu odpowiedzi z Anglii.

Dwa listy do brata cytuję *in extenso*.

Hanka ANDERS-NOWAKOWSKA

Kochany mój Tadziku, Korzystam z pierwszej możliwości żeby Ci choć parę słów skreślić. Wiem że Karol, Jurek¹ oraz Wiktor² są w niewoli niemieckiej. Wiadomem mi jest żeś stamtąd uciekł. Bogu dzięki że mogłeś się znaleźć w wojsku i dołożyć swoją cegiełkę do zdobycia Polski. Przeżyłem straszne chwile. Po 3 ciężkich ranach przebyłem 20 miesięcy w więzieniu (7 mies. w pojed. celi), izolowany od wszystkiego, okresami w nie do wiary ciężkich warunkach. Dziś tj. od 4 b.m., minęło to jak zły sen. Biorę się do b. trudnej, odpowiedzialnej pracy. Ponieważ Bóg dał mi siły – poprawiam się szybko (straciłem 14 kg.) i lecę intensywnie. Czuję się coraz lepiej, mam nadzieję że prędko przyjdę do normy. Męczy mnie tylko strasznie że nie wiem nic o Renie³. Co do Hani i Jureczka⁴, to mam dane przypuszczać że są w W-wie. Ale biedna moja Rena po stracie Maciejka⁵ i moim areście znalazła się w strasznych warunkach. Napisz mi wszystko o sobie, oraz wszelkie wiadomości jakie masz o naszych bliskich. List prześlij przez gen. Regulskiego, który skorzysta z okazji poselstwa ang. lub polskiego. Piszę na kolanie. Czekam na wiadomości o Tobie i naszych kochanych.

Ściskam i całuję Cię Braciszku kochany

Władek

Czy do chłopców⁶ można pisać?



1. Bracia – płk Jerzy i płk Karol Anders

2. Szwagier – płk Batycki

3. Żona – Irena Jordan-Krąkowska

4. Córka i syn

5. Maciej Prószyński, syn Remy z pierwszego małżeństwa, poległ pod Kutnem w 1939 roku, odznaczony Virtuti Militari.

6. Bracia Jerzy i Karol.

Kochany mój Tadziku, Korzystam z nagłej okazji lotniczej, aby Ci w odpowiedzi na Twój list z dn. 24 VIII parę słów skreślić.

Kochany mój! Nareszcie dostałem do Ciebie i pani Kucharskiej wiadomość, że moja sercem i duszą najbliższa mi istota, moja Rena¹ jest z dziećmi. Co to biedactwo przejść musiało fizycznie i moralnie przez ten długi czas rozłąki. Wiesz jak Ciebie i was wszystkich kocham, ale Rena jest dla mnie kimś tak niezmiernie drogim jak nie może być nawet żona i najlepszy przyjaciel. Kocham niezmiernie wiesz przecież Haneczkę i Jureczka, ale nawet od nich jest mi Rena bliższa. To się dopiero czuje jasno po takich ciężkich przejściach, jakie ja przeżyłem. Załączam karteczkę dla mej kochanej i jeśli tylko możliwe, to postaraj się ją przesłać. Jeśli nie to daj znać, że codzień modliłem się o Nią do Boga, że cała dusza moja i serce do Niej należy. Gdyby los nie pozwolił nam się więcej zobaczyć, co w tych czasach łatwo jest możliwe aczkolwiek czuję głęboko, że Opatrzność tak dla mnie łaskawa pozwoli nam się zobaczyć w wolnej zdobytej przez nas Ojczyźnie, to powiedz Renie, że pierwsza jest dla mnie Polska i Honor, a druga Ona. Powiedz, że nie ma godziny, kiedybym o Niej nie myślał i że Jej dziękuję za te długie lata i szczęśliwe chwile, które mi dała. Haneczka² moja mileńka, niech wie moje pierwsze dziecię, że cały sentyment ojcowski na nią spływa. Oby Bóg dał Jej szczęśliwe lata życia. Mam zawsze w sercu Jej zapłakane oczęta przy pożegnaniu we Lwowie w październiku 1939. Jureczek³, zawsze dla mnie maleńki, a teraz pewnie olbrzymi chłopiec, powinien zawsze twardo zapamiętać, że Tatusz Jego zostawia mu olbrzymi spadek; nieskazitelnie uczciwe imię i nieskazitelny honor żołnierski. Niech się chowa na dzielnego Polaka, gotowego oddać wszystko dla idei.

Tadziku mój drogi! Przesłać jakiegokolwiek wiadomości

1. Rena – żona (Irena Jordan-Krąkowska)

2. Haneczka – córka

3. Jureczek – syn

ode mnie i otrzymać cośkolwiek od mych kochanych jest największą moją troską! Poślij także chłopcom⁴ wiadomość o mnie.

Co do mnie wiesz! Staję przed niezwykle ciężkim i odpowiedzialnym zadaniem, które w tych tak wyjątkowo trudnych warunkach chcę i wykonam jak będę mógł najlepiej. Rozumiem całą odpowiedzialność, którą wziąłem na siebie, i ufam Bogu że da nam przyłożyć rękę do zdobycia Polski. Wszyscy postawiliśmy krzyż na to co było, a było niezmiernie ciężko, i trzeba dużo zaparcia się siebie żeby to zapomnieć, i stawiamy sobie za zadanie walkę z Niemcami, bo ich zwycięstwo to zguba Polski i pohybel polskiego narodu. Czuję że pomimo ciężkich czasów, jakie mamy przed sobą, Opatrzność będzie czuwać nad nami i doprowadzi nas do celu; Polska niepodległa, sprawiedliwa i wielka.

Ze zdrowiem moim coraz lepiej. Jednak kuli z biodra wyjmować nie będą, bo i operacja niebezpieczna, i czasu teraz na to nie ma, a ostatecznie coraz mniej mi przeszkadza. Rentgen wykazał obecnie po miesięcznym solidnym leczeniu, że kręgosłup, który miałem skrzywiony od kuli, wyprostował się zupełnie, tylko kawałek kości odskoczyło, to mi jeszcze trochę dokucza, ale ostatecznie jest już prawie dobrze. Poprawiłem się już znacznie, energii i siły woli mam dosyć do pracy, którą już zacząłem. Na razie formujemy 2 dywizje, ale w najbliższym czasie następne 2, przypuszczam, że przy sprzyjających okolicznościach powinienem zebrać co najmniej 100.000, prócz kobiet. Szczegóły napiszę Ci następnym razem.

Tadzikowi kochany już muszę kończyć. Podziękuj pani Kucharskiej, napiszę do niej przy następnej okazji. Tak samo pani Bobińskiej. Załatw łączność z Reną.

Prześlij ucałowania dla chłopców i Wiktora. Winszuję syna. Ucałowania dla Twoich. Ściskam i całuję Cię drogi Braciszku

Twój Władek

Moskwa 7 IX 1941

4. chłopcy – bracia Jerzy i Karol

Marek RUDZKI

ARCHITEKCI JULIUSZ NAGÓRSKI I JAN ŁUKASIK W LATACH OKUPACJI NIEMIECKIEJ

PRZEBUDOWA PREZYDIUM RADY MINISTRÓW

Bombardowania i związane z nimi pożary w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu 1939 roku spowodowały ogromne straty, które dotknęły liczne zabytki miasta. Polscy architekci i konserwatorzy podjęli niezwłoczne działania związane z udokumentowaniem stanu zniszczeń i możliwościami konserwacji uszkodzonych obiektów. Jedną z działających w tym zakresie grup zawodowych powstała z inicjatywy magistratu miasta stołecznego Warszawy. Wśród architektów współpracujących z magistratem już na jesieni 1939 byli mój wuj, Juliusz Nagórski, Juliusz Zaleski i Kazimierz Skórewicz. Wydział Budowlany (*Bauwesen*) Dystryktu Warszawskiego, którym wówczas kierował Baurat Heidelberg¹, bardzo wcześnie wyselekcjonował pewne obiekty jako nadające się do adaptacji i wykorzystania na użytek niemiecki. Jednym z najważniejszych wybranych w tym celu budynków był gmach Prezydium Rady Ministrów, zwany też Pałacem Namiestnikowskim, przy Krakowskim Przedmieściu. Późną jesienią 1939 roku okupacyjne władze budowlane zwróciły się do magistratu o wskazanie architekta, który podjąłby się odnowienia wspomnianego pałacu. Miał tam powstać *Deutsches haus*, czyli rodzaj klubu dla przebywających w War-

1. Heidelberg kierował tym urzędem od 10 X 1939 do 31 III 1940. Bezpośrednio po nim Bauwesen przejął Bauassessor Mittag, który popełnił samobójstwo 16 XI 1940 roku. Emerytowany Regierungsbaumeister Koch stanął na czele Bauwesen 10 VII 1940 roku, a po nim (od 4 X 1941) architekt Köhler; F. Gollert, „Warschau unter Deutscher Herrschaft”, Krakau 1942, s. 307.

szawie Niemców. Prawdopodobnie z powodu zagranicznego wykształcenia magistrat polecił Juliusza Nagórskiego.

Juliusz Nagórski, urodzony w 1887 roku, odbył studia w Ecole des Beaux-Arts w Paryżu. W okresie międzywojennym był znanym architektem, realizował liczne projekty w Warszawie i na prowincji. Pozostając w bliskich stosunkach z prezydentem Warszawy, Stefanem Starzyńskim, stał się autorem planów urbanistycznych rozwoju stolicy. Trudnił się również malarstwem i rzeźbą. Przyjęcie propozycji magistratu oznaczało współpracę z władzami okupacyjnymi. Wuj Juliusz bardzo się zastanawiał, czy propozycję tę wolno mu przyjąć. Był zdania, że prace wykonać powinien polski architekt, by zachować oryginalne elementy dekoracyjne, które w rękach architekta niemieckiego mogłyby ulec zniszczeniu. O wstępną opinię w tej sprawie zwrócił się do Piotra Drzewieckiego, prezydenta Warszawy w latach 1917-1921. Brat Juliusza, adwokat Adam Nagórski, zachował notatkę z tej rozmowy: „Na pytanie mego brata, czy może podjąć się tej pracy, zaproponowanej mu przez okupanta, prezydent Drzewiecki bez chwili namysłu odpowiedział: ‘Nie tylko może Pan, ale obowiązkiem Pana jest podjęcie się tego. Przecież będzie Pan to robił nie dla Niemców, którzy stąd wyjdą po zakończeniu przegranej wojny. Pałac Rady Ministrów będzie z powrotem gmachem polskiej Rzeczypospolitej’”. Juliusz Nagórski uważał jednak, że pozytywna decyzja z jego strony wymaga również zgody tworzących się władz podziemnych. Moja matka, Walentyna Rudzka, doktor historii Uniwersytetu Warszawskiego, odegrała rolę pośrednika. Była w przyjaźni z profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, Marianem Gieysztorem. Poprosiła go o spotkanie, wiedząc, że jest zaangażowany w organizowanie struktur podziemia. Wiedziała nawet, że jego starszy brat, Władysław Gieysztor, pojawił się na krótko w Warszawie w grudniu 1939, jako pierwszy emisariusz rządu polskiego w Paryżu². Zdawała sobie więc sprawę, że zwraca się do właściwej osoby. Marian Gieysztor obiecał zastanowić się nad problemem wuja Juliusza i dać odpowiedź. Matka

2. Stefan Korboński, „W imieniu Rzeczypospolitej”, Londyn 1964, str. 41.

napisała w swoim nieopublikowanym wspomnieniu: „Przy następnym spotkaniu Gieysztor powiedział mi, że sprawę zbadał i że nie ma żadnych zastrzeżeń, by Juliusz Nagórski zgodził się na prace przy przebudowie Prezydium Rady Ministrów. Przekazałam tę informację memu bratu, który wtedy dopiero podjął się tego zadania. Nie zdawałam sobie w tamtym czasie sprawy, jak wysokie stanowisko zajmował Gieysztor. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że był [później] zastępcą Stefana Korbońskiego, Kierownika Walki Cywilnej”. Warto tu podkreślić, że we wczesnym okresie okupacji nie uformowały się jeszcze późniejsze człony podziemnego państwa, łącznie z Kierownictwem Walki Cywilnej.

Prace przy przebudowie Prezydium Rady Ministrów trwały przez cały rok 1940. Wśród specjalistów dokooptowanych przez Juliusza Nagórskiego był też architekt-konservator Jan Łukasik. Urodzony w 1899 roku, ukończył Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Według „Polskiego Słownika Biograficznego”³ Łukasik „należał do najwybitniejszych polskich konserwatorów architektury okresu międzywojennego. Do najważniejszych prac w tej dziedzinie należą prace przy Zamku Królewskim w Warszawie”. Znalazło tu zatrudnienie wielu polskich robotników, co chroniło ich przed przymusową pracą w Niemczech. Pamiętam, jak wuj Juliusz opowiadał, że wydawał fikcyjne zaświadczenia osobom wskazanym zapewne przez władze podziemne.

W trakcie przebudowy Prezydium Rady Ministrów udało się, między innymi, zapobiec zniszczeniu malowideł ściennych z orłami w głównej klatce schodowej. Niemcy interweniowali w tej sprawie, ale wuj Juliusz zdołał ich przekonać, że są to orły napoleońskie. Pamiętam, jak zaprosił matkę i mnie, jeszcze w czasie trwania robót, i z dużą satysfakcją orły te nam pokazywał. Podobnie jak i inne zajęte przez okupanta budynki, również Pałac Rady Ministrów wyposażony został decyzją władz niemieckich w obrazy i meble pochodzące z Zamku Królewskiego. Grupa polskich architektów i historyków sztuki (Jerzy Sienkiewicz, Kazimierz Skórewicz i inni) oprowadzona była po przebudowywanym budyn-

3. „Polski Słownik Biograficzny”, tom XVIII, 1973.

ku, a liczne zdjęcia dokumentarne, zachowane do dzisiaj, wykonał wybitny fotograf architektury, Czesław Olszewski (1894-1969). Przebudowa Pałacu Rady Ministrów doczekała się w 1941 roku niemieckiego opracowania, w którym nie pada żadne polskie nazwisko⁴.

Mimo przekazanej przez Mariana Gieysztora zgody podziemia, w prasie konspiracyjnej ukazały się oskarżenia skierowane przeciwko Juliuszowi Nagórskiemu, co mogłoby świadczyć o braku koordynacji w działalności różnych członków władz podziemnych w tym początkowym okresie okupacji. Jeden z organów tajnej prasy, *Pionier*, w numerze z 15 IX 1941⁵ omawia nowo powstały Sąd Specjalny, stwierdzając, że „Czynniki Miarodajne” skierowały do tego sądu sprawy trzech osób: Jana Emila Skińskiego, Ferdynanda Goetla⁶ i Juliusza Nagórskiego. Nagórskiemu zarzucano podjęcie się „różnych prac budowlanych dla władz niemieckich, a m.in. przebudowy Belwederu i Pałacu Prezydium Rady Ministrów”. Wymienienie Belwederu było błędem, gdyż wuj Juliusz nie miał z tą przebudową nic do czynienia⁷.

Pismo stwierdza dalej: „W stosunku do Skińskiego i Nagórskiego postawiono wniosek o zawieszenie nad nimi infamii. Wyroki Sądu w swoim czasie podamy do wiadomości

4. K. Grundmann, „Das Deutsche Haus in Warschau”, Warschau 1941. Autor, łódzki Niemiec, złożył w 1937 roku na Uniwersytecie Warszawskim pracę doktorską; w czasie wojny został urzędnikiem Wydziału Kulturalnego Dystryktu Warszawskiego, w ramach którego redagował efemeryczne pismo *Warschauer Kulturblätter*, był też autorem przewodnika po Warszawie: „Führer durch Warschau” (Krakau 1942). Oprócz Heidelberga źródła niemieckie wymieniają przy okazji przebudowy Pałacu Rady Ministrów całkowicie nieznanego architekta Fischera; *Representativer Mittelpunkt deutschen Lebens*, *Krakauer Zeitung*, 1941, nr 11, s. 5.

5. *Pionier*, rok II, nr 33, 15 IX 1941.

6. Ferdynand Goetel jeździł później do Katynia za wiedzą władz podziemnych; został zrehabilitowany na emigracji, a po 1989 roku również w kraju. K. Kolińska, „Opowieść o Ferdynandzie Goetlu. Banita bez winy” *Plus-Minus*, dodatek do *Rzeczypospolitej*, nr 6, 8-9 II 1997.

7. W jakimś momencie władze niemieckie zaproponowały Juliuszowi Nagórskiemu przebudowę Belwederu na rezydencję dla generalnego gubernatora Franka, co wuj Juliusz zdecydowanie odrzucił. W rezultacie Belweder przebudował niemiecki architekt Müller, por. M. Kwiatkowski, „Belweder”, Warszawa 1976.

publicznej”. Informacje, które podał *Pionier*, przedrukował trzy dni później w skróconej wersji *Biuletyn Informacyjny* w numerze z 18 IX 1941: „Właściwe czynniki skierowały do stołecznego sądu specjalnego sprawy trzech znanych obywateli Warszawy z wnioskiem o ogłoszenie infamii w stosunku do wszystkich trzech⁸. Dalej wymienione są nazwiska Skińskiego, Goetla i Nagórskiego i zarzuty im stawiane.

Nieznane mi są dalsze losy tego „wniosku”. Z prasy podziemnej wynika, że żaden wyrok nie zapadł. Przypuszczać można, że w wypadku Juliusza Nagórskiego przyczyniła się do tego aprobata wyrażona przez czynniki związane z Gieysztozem, o której wymienione w cytowanej prasie „właściwe czynniki” nie były najwidoczniej początkowo poinformowane. Trudno zaś było zawiadamiać czytelników, że Juliusz Nagórski zwracał się do władz podziemnych o zgodę na podjęcie pracy i zgodę tę otrzymał. W dalszych numerach wymienionych pism nie znalazłem podanych do wiadomości publicznej wyroków sądu, jak to zapowiadał *Pionier*.

Wkrótce po ukazaniu się artykułów w *Pionierze* i w *Biuletynie Informacyjnym*, inne pismo podziemne, *Sprawa*⁹, potępiło Juliusza Nagórskiego za to, że wraz z prof. Kazimierzem Skórewiczem brał udział w pracach Komitetu Restauracji Zamku Królewskiego. Plany utworzenia takiego komitetu wspomniane są w poprzednio cytowanych pismach. Komitet powstał w 1941 roku pod przewodnictwem ks. Janusza Radziwiłła, przy udziale b. ambasadora Wysockiego, dyrektora Banku Handlowego Hoffmana i dyrektora Wydziału Technicznego Zarządu Miejskiego, Olszewskiego. Pismo obchodzi się łaskawie z członkami Komitetu: „nie wątpimy w uczucia patriotyczne tych panów”. Juliusz Nagórski natomiast określony jest jako osoba „poza nawiasem społeczeństwa”. Podobnie potraktowano Kazimierza Skórewicza: „od chwili wkroczenia okupantów zachowywał się w stosunku do nich w sposób służalczy, nie licujący z godnością Polaka”. Trudno dziś powiedzieć, czym kierował się autor artykułu w tym selektywnym ataku na osoby związane z Komitetem.

8. W wersji opublikowanej w piśmie *Pionier* wniosek o ogłoszenie infamii nie odnosi się do Goetla.

9. *Sprawa*, nr 27, I XI 1941, str. 8-9.

Innym przykładem braku koordynacji czynników podziemia jest sprawa pomnika Kopernika w Warszawie. Niemcy zwrócili się do wuja Juliusza o znalezienie firmy kamieniarskiej, która podjęłaby się przekucia polskiego napisu na cokole pomnika, zmieniając go na niemiecki. Pod pretekstem wysokich kosztów wuj przekonał Niemców, by napis polski przykryć brązową tablicą z napisem niemieckim. Plan zaakceptowany został przez Delegaturę Rządu¹⁰. W jakiś czas potem, 11 II 1942, jeden z członków organizacji harcerskiej „Wawer”, w zaimprovizowanej akcji, odkręcił niemiecką tablicę, ku „konsternacji zarówno Juliusza Nagórskiego jak i wtajemniczonych osób z kręgu Delegatury Rządu”¹¹. Wtedy dopiero Niemcy zniszczyli polski napis.

Przez całą okupację Juliusz Nagórski cieszył się pełnym poważaniem w intelektualnym środowisku, do którego należał przed wojną. Nie był potępiany ani bojkotowany. Świadczą o tym liczne notatki w dzienniku Adama Nagórskiego o spotkaniach towarzyskich z ówczesną elitą Warszawy (Władysław Tatarkiewicz, Jarosław Iwaszkiewicz, Roman Jasiński, Stefan Ossowiecki, Ewa Bandrowska-Turska, Maurycy Potocki i wielu innych), w których Juliusz brał udział¹².

Jan Łukasik zginął podczas sowieckiego nalotu na Warszawę w sierpniu 1942 roku. Juliusz Nagórski rozstrzelany został w masowej egzekucji dwa lata później, w pierwszych dniach sierpnia 1944. Przez cały okres okupacji wuj Juliusz mieszkał we własnej kamienicy na Pradze, przy ulicy Targowej 15, gdzie miał pracownię, połączoną z pięknym mieszkaniem i wielkim tarasem z widokiem na lewobrzeżną Warszawę. Druga żona wuja, Halina, z domu Zyman, w ostatnich latach okupacji mieszkała dla bezpieczeństwa oddzielnie, przy ulicy Trębackiej. Przed samym wybuchem Powstania wuj Juliusz przeniósł się tam z Pragi by być blisko

10. Krzysztof Tatarkiewicz, „Perypetie Kopernika”, *Polityka*, 31 XII 1994. Krzysztof Tatarkiewicz był świadkiem rozmów na ten temat, w których brał udział jego ojciec, profesor Władysław Tatarkiewicz.

11. Krzysztof Tatarkiewicz, *ibidem*.

12. Patrz Marek Rudzki, „Lechonia poznałem pod fortepianem...”, *Twórczość* 1996, nr 7, str. 60-61.

żony. Decyzję tę przypłacił życiem. W pierwszych dniach sierpnia 1944 Niemcy wyprowadzili mieszkańców domów przy Trębackiej na plac Piłsudskiego, dzieląc mężczyzn na starych i młodych. Wuj Juliusz sądził, że bezpieczniej być w grupie starych, choć wygląd pozwalał mu dołączyć do młodych. Ciotka Halina widziała go po raz ostatni, kiedy grupę starszych mężczyzn wyprowadzano przez Ogród Saski. Od tego momentu wszelki ślad po nim zaginął. Znacznie później udało się ustalić, że w wielkiej egzekucji na terenie Hali Mirowskiej rozstrzelano, między innymi, aresztowanych przy placu Piłsudskiego starszych mężczyzn. Ironią jest, że wielu z młodszych mężczyzn, wziętych do prac przy okopach, przeżyło Powstanie, tak jak przeżyła je Halina Nagórska.

W roku 1947 tygodnik *Stolica*¹³ opublikował list do redakcji architekta Leokadii Rossochackiej, w którym autorka bardzo pozytywnie wypowiada się na temat przebudowy i konserwacji Pałacu Rady Ministrów, stwierdzając, że: „ciężka i trudna była praca podczas okupacji, gdyż trzeba było wielkich poświęceń i ostrożności, ażeby nie poznano, że chcemy jedynie dla siebie pałac wyremontować, a dzięki wielkiej i ofiarnej pracy inż. arch. J. Łukasika projekty i badania były przeprowadzone według wszelkich zasad konserwatorskich. Do tej pracy był potrzebny cały zespół fachowych rzemieślników, specjalistów, murarzy i sztukatorów. Byli to przeważnie ludzie pracujący jeszcze przy restauracji zamku warszawskiego sprzed r. 1939”. Autorka podkreśla, że projekty „były akceptowane przez tajne komisje i posiedzenia konserwatorskie”. Te szczegółowe informacje wskazywałyby, że architekt Rossochacka musiała brać udział w pracach przy Prezydium Rady Ministrów.

W latach powojennych profesor Stanisław Lorentz uparcie głosił w środowisku historyków sztuki tezę, że Juliusz Nagórski był kolaborantem. Podobne oskarżenia wysuwał Lorentz w stosunku do wielu osób z tego środowiska, między innymi w odniesieniu do Adolfa Szyszko-Bohusza, słynnego konserwatora Wawelu¹⁴. W tym wypadku wszystkie oskarże-

13. Leokadia Rossochacka, *Stolica* 1947, nr 38, list do redakcji.

14. Piotr Gacek, „Wawelskie życie Adolfa Szyszko-Bohusza”, *Życie Literackie* 1986, nr 23.

nia uznano za bezpodstawne. Juliusz Nagórski natomiast nie żył i bronić się nie mógł. W roku 1973 wyszła, dwukrotnie później wznawiana, książka profesora Tomasza Szaroty, który niestaranie odczytując wspomniany już *Biuletyn Informacyjny* z 18 IX 1941 pozwala sobie uznać „wniosek” za „wyrok” pisząc, nieścisłe, że „ogłoszono wyrok infamii”¹⁵. Takie ferowanie wyroków miało poważne konsekwencje, gdyż inni historycy podawali później tę samą fałszywą informację, cytując *Biuletyn Informacyjny*, zapewne na podstawie przekazu prof. Szaroty¹⁶.

W tej atmosferze, w roku 1980 ukazała się praca Z. Bania i T.S. Jaroszewskiego o Pałacu Rady Ministrów¹⁷. Autorzy stwierdzają, że Jan Łukasik „chciał, według opinii współpracowników, aby odrestaurowany jak najlepiej pałac służył kiedyś wolnej Polsce”. Jednocześnie jednak umieszczają następujący zwrot: „obu tych architektów [Juliusza Nagórskiego i Jana Łukasika] społeczeństwo polskie potępiło za udział w przebudowie siedziby szefa rządu polskiego na ‘Deutsches Haus’, uznając to za niegodny Polaka kolaboracjonizm. Takie samo było stanowisko władz podziemnych – wspomina profesor Stanisław Lorentz”. Mamy więc następne oskarżenie, tym razem oparte nie na błędnym odczytaniu podziemnej prasy, ale na tym, co „wspomina” profesor Lorentz. Autorzy

15. Tomasz Szarota, „Okupowanej Warszawy dzień powszedni”, Warszawa 1988 (wydanie trzecie), str. 519. Autor pomija pierwszą wzmiankę o tym wniosku w *Pionierze* i nie wymienia tego pisma w podanym przez siebie spisie prasy podziemnej.

16. Patrz np. L. Gondek, „Polska karząca 1939-1945, polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej”, Warszawa 1988 i M. Urbanowski, „Bohaterowie i zdrajca – sprawa Jana Emila Skińskiego”, *Arka* 1993, nr 1, str. 135.

17. Z. Bania i T.S. Jaroszewski, „Pałac Rady Ministrów”, Warszawa 1980, cytaty ze stron 138-139 i 147. W książce błędnie podana jest data przebudowy, 1941-1942. W rzeczywistości, prace miały miejsce w roku 1940, a formalne otwarcie odnowionego budynku nastąpiło 18 I 1941. Autorzy opisują szczegółowo gruntowny remont obiektu dokonany w 1923 roku pod kierunkiem znanego architekta, Mariana Lalewicza (1876-1944), którego działania miały jednak charakter wybitnie artystyczny, a nie profesjonalno-konserwatorski. Według najnowszych ustaleń Łukasik i Nagórski poprawili wiele błędów tego ostatniego, a nie, jak to sugerowano we wspomnianej monografii, zajmowali się likwidowaniem zmian wprowadzonych przez ich poprzednika.

nie precyzują, na jakiej podstawie profesor „wspominał”. Trzeba w tym miejscu podkreślić, że dopiero w książce Bani i Jaroszewskiego oskarżony został o kolaborację, blisko czterdzieści lat po śmierci, również Jan Łukasik.

Definicję kolaboracji sformułował „Kodeks praw i obowiązków Polaka pod okupacją” wydany przez Kierownictwo Walki Cywilnej. W niedawnej publikacji¹⁸ wypowiada się na ten temat Zofia Korbońska, wdowa po Kierowniku Walki Cywilnej, Stefanie Korbońskim, która przez całą okupację była jego bliską współpracowniczką: „Kodeks KWC zawierał definicję kolaboracji; uważana za nią była dobrowolna współpraca z okupantem na szkodę kraju lub współobywateli”. Pani Korbońska, proszona o wyrażenie opinii w konkretnej sprawie Juliusza Nagórskiego, napisała w liście prywatnym do Zygmunta Nagórskiego, bratanka Juliusza: „Współpraca przy odbudowie Pałacu Rady Ministrów nie podpadała pod kategorię kolaboracji. O ile pamiętam, była grupa architektów, którzy uznawali, że odbudowa tego rodzaju zabytków leżała w interesie kraju”¹⁹.

Odrestaurowany gmach Prezydium Rady Ministrów przetrwał wojnę prawie nie uszkodzony. Przez pierwsze czterdzieści cztery lata nie służył tej Rzeczypospolitej, którą na myśli mieli prezydent Drzewiecki, Juliusz Nagórski i Jan Łukasik. Jak przez poprzednie trzysta lat, pałac był częścią burzliwych dziejów Warszawy i dziejów Polski. Tu podpisano Układ Warszawski w 1955 roku i tu odbyło się spotkanie Okrągłego Stołu w roku 1989. W 1991 roku pałac przekazano kancelarii prezydenta Wałęsy. Wiązało się to z projektem urządzenia w Belwederze, w którym dotychczas rezydował, Muzeum Józefa Piłsudskiego. Mocno zdewastowany budynek poddano gruntownej adaptacji, która pochłonęła znaczne środki z funduszy państwowych. Spowo-

18. Zofia Korbońska, „Przeszłość żyje”, *Przegląd Polski*, Nowy Jork, 5 IX 1996. Tomasz Szarota w swoim opracowaniu omawia (s. 509-515) dość dokładnie „Kodeks Moralności Obywatelskiej”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa obojgu autorom chodzi o ten sam zbiór zasad.

19. List Zofii Korbońskiej do Zygmunta Nagórskiego, Waszyngton, 27 XI 1993, oryginał w posiadaniu autora.

dowało to polemiki prasowe²⁰. Na drugim piętrze od strony ogrodu, w pokojach zajmowanych niegdyś przez Józefa Cyrankiewicza, urządzono apartament prezydencki, który zajmuje urzędująca głowa państwa.

Marek RUDZKI

20. Sprowokowało je w 1992 roku pismo *Nie*. Bardziej miarodajne, mniej tendencyjne informacje na ten temat: W. Tochman, „Nie ma złotych wanien”, *Gazeta Wyborcza*, 1993, nr 33, s. 12-13.

M.K. DZIEWANOWSKI

WYBITNI LUDZIE O JAKICH OTARŁEM SIĘ

Urodzony w roku 1913, byłem zbyt młody, by poznać bliżej wybitne osobistości Drugiej Rzeczypospolitej. Tym niemniej szereg przypadków sprawił, że otarłem się o niektóre z nich. Pierwszym był marszałek Piłsudski. A stało się to tak. Rankiem 27 kwietnia 1920 roku jako nieomal siedmioletni szczeniak, wybiegłem na główną ulicę rodzinnego Żytomierza, aby bawić się, jak zwykle „w wojnę” z chłopcami z sąsiedniego podwórza. Pomimo tego, że miasto było od szeregu miesięcy pod władzą bolszewików, bawiliśmy się przybierając dowolne etykiety: mój starszy brat, Tunio i ja walczyliśmy jako „legioniści”, a chłopcy z sąsiedniego domu nazywali się „białymi”. Gdy tak szykowaliśmy się do kolejnej „walnej bitwy”, nad naszymi głowami rozległ się furkot kilku samolotów, które wówczas nazywaliśmy aeroplanami. Po kilku minutach usłyszeliśmy stukot butów: ulicą maszerował oddział piechoty, w nieznanych nam dotąd mundurach koloru khaki. Na hełmach typu francuskiego, widniały białe

Tryzuby, znane z przelotnej okupacji Żytomierza przez petlurowców. Grupki ludzi, które wkrótce pokazały się na pustych dotąd chodnikach, witały ten oddział oklaskami i radosnymi okrzykami. Dopiero po latach dowiedziałem się, że ci żołnierze byli strażą przednią brygady generała Bezruczki, a ich mundury pochodziły z amerykańskiego demobilu, zakupionego przez Rząd Polski we Francji. Zanim ochłonęliśmy ze zdziwienia, za oddziałem piechoty pojawił się szwadron kawalerii, w szarych mundurach, z czerwonymi wypustkami, w okrągłych czapkach ze srebrnymi orzełkami. Było to, jak się potem dowiedzieliśmy, czoło drugiego pułku szwoleżerów. Wśród szaro ubranych jeźdźców, zauważyliśmy kilku oficerów w innych, błękitnych mundurach i czerwonych spodniach. Ktoś ze stojących obok nas dorosłych powiedział nam, że to Francuzi. Za kawalerzystami maszerował inny oddział piechoty w podobnego koloru mundurach, z rogatywkami bez daszka i białymi orłami wyhaftowanymi na czerwonym, owalnym tle. Za nimi jechał inny oddział kawalerii, w szarozielonych mundurach, które pamiętaliśmy z czasów okupacji Ukrainy przez wojska niemieckie. Ktoś z chodnika krzyknął: „Wiwat Poznaniacy!” Za kawalerią toczyły się dudniące wozy taborowe... Przemarsz tych wojsk trwał chyba z dobrą godzinę, a my gapiliśmy się z bratem, podziwiając dziarski wygląd tych oddziałów, tak różnych od bolszewickich obdartusów, do których niemal już przywykliśmy, nie wyobrażając sobie, że wojsko może wyglądać inaczej niż oni.

Tymczasem na chodniku, po obu stronach ulicy, zgromadziły się spore tłumy. Nie wiadomo skąd, pojawiły się bukiety kwiatów, które publiczność poczęła wręczać maszerującym piechutom lub wręcz rzucać pod końskie kopyta. Przez kilka dni Żytomierz był w stanie euforii, choć tylko 8 czy 10 procent stanowili Polacy. Przez ostatnie tygodnie miasto nękał terror Czerezwyczajki. Przed opuszczeniem miasta przez oddziały Armii Czerwonej, Czeka rozstrzelała nawet kilku uczniów i uczennic gimnazjum imienia Tadeusza Czackiego, oskarżonych o pracę wywiadowczą na rzecz POW. W parę dni po zajęciu miasta przez wojska polsko-ukraińskie, dokonano ekshumacji tych ofiar terroru. Wkrótce odbył się ich uroczysty pogrzeb. Biskup łucko-żytomierski, Dubowski,

odprawił mszę żałobną w miejscowej katedrze pod wezwaniem Świętej Zofii. Gdy wraz z matką i babką staliśmy w stłoczonej nawie kościelnej, dał się nagle słyszeć szmer i głowy ludzi zwróciły się w kierunku głównego wejścia. Po chwili środkiem katedry przeszedł człowiek średniego wzrostu, w szarej kurtce i ciemnych spodniach, trzymający w lewej ręce okrągłą czapkę oraz szablę. Matka nasza szepnęła nam: „To Józef Piłsudski, Józef Piłsudski!” Po mszy, na placu katedralnym odbył się przegląd oddziałów polskich i ukraińskich. I znowu przemknęła mi przed oczami ta sama szara sylwetka. Był to jedyny raz w życiu, kiedy widziałem żywego marszałka Piłsudskiego. W maju 1935 oglądałem go już w trumnie, w krypcie katedry wawelskiej.

Natomiast bliżej zetknąłem się z szeregiem jego bliskich współpracowników. Pierwszym z nich był Józef Beck. W lutym 1937, jako początkujący dziennikarz, otrzymałem z Polskiej Agencji Telegraficznej, w skrócie zwanej PAT-em, bilet prasowy na premierę dorocznej szopki politycznej. Przedstawienia szopki odbywały się na górnym piętrze *Café Clubu*, na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. W tym czasie autorami tekstów szopek byli dwaj popularni poeci i satyrycy, Janusz Minkiewicz i Światopełk Karpiński. Przy wejściu do sali widniał napis:

*Dwaj pisali szopkę goje
Dla narodu żydowskiego
To co lepsze to jest moje,
A co gorsze to jest jego.*

Po wejściu na małą, słabo oświetloną salkę, zająłem miejsce w łoży prasowej, znajdującej się z prawego boku, na wysokości pierwszego rzędu widowni. Jakież było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem siedzących już w tym rzędzie czołowych prominentów, których dotychczas znałem tylko z prasy lub radia. Od razu rozpoznałem ministra spraw zagranicznych, pułkownika Józefa Becka, byłego Przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, księcia Janusza Radziwiłła, profesora filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego, Tadeusza Zielińskiego, znanego pisarza i Prezesa

Akademii Literatury, Wacława Sieroszewskiego i wielu, wielu innych, których dziś już nawet sobie nie mogę przypomnieć.

Podniosła się kurtyna. Rozpoczęło się przedstawienie. Jako jedna z pierwszych pojawiła się kukiełka znanego rzeźbiarza Wittiga. Ten, jako Wittigrilli, śpiewał na melodię krawkowiaka kuplet, który do dziś utkwiał mi w pamięci:

*W nocy mnie zbudziła
Dziwna ta depesza,
Podpis mnie przeraził:
Goering, Trzecia Rzesza.
Wittig, stop, Warszawa, cały Berlin czeka,
Przysłać, stop, natychmiast
Wielki pomnik Becka.
Pięknie go wyrzeźbić
I nie szczędzić pracy,
W dole ma być napis:
„Beckowi – Rodacy”.
Jacy to rodacy,
Nie bardzo wynika,
Będzie spór o niego
Jak o Kopernika.*

Po tych słowach widziałem jak Beck zdusił trzymany w lewej ręce na pół dopalony papieros. Jak zdołałem zauważyć, ręka drżała mu nerwowo. Za chwilę zapalił nowego papierosa, gdy na scenie ukazała się właśnie – kukiełka jego samego, we fraku, z wielką amarantową wstęgą Orderu Odrodzenia Polski – Polonia Restituta. Kukiełka Becka śpiewała na modną wówczas melodię „Bo to się zwykle tak zaczyna...”.

*Bo to się zwykle tak zaczyna,
sam nawet nie wiem jak i gdzie,
Po prostu jedziesz do Berlina.
A potem mówią, że to źle.
Z początku tylko wizytujesz,
A potem częściej chcesz tam być,
A w końcu już samemu czujesz:
Bez tego dziś nie można żyć...*

A potem, zmieniając rytm, kukielka ciągnęła dalej, już tylko skandując *staccato*:

*Dawniej modny był Chrobry,
Dzisiaj Lipski jest dobry.
Dawniej Bartek-Zwycięzca,
Dzisiaj Boussac ciemieżca*,
Dawniej Głogów, Psie Pole,
Dzisiaj: „Ja nie pozwolę”.*

Beck pochmurniał jeszcze bardziej i dalej palił papierosa za papierosem. Po przedstawieniu, Beck rozmawiał wcale przyjaźnie z obu autorami. Cokolwiek można powiedzieć o reżymie pomajowym, trzeba przyznać, że zostawiał on spory margines swobody słowa: szopka nie była skonfiskowana; szła przez cały karnawał 1937 roku. Było to w myśl dobrej tradycji, sięgającej Stańczyka: nadworny trefniś ma prawo mówić co ma na myśli i bez pardonu rąbać prawdę w oczy, nawet samemu monarsze. W tym duchu pisał nadworny poeta króla Stanisława Augusta, w roku 1783, gdy ten w setną rocznicę bitwy pod Wiedniem wystawił w Łazienkach pomnik króla Jana Sobieskiego:

*Kosztował sto tysięcy,
Jabym trzykroć złożył,
Żeby Staś skamieniał,
A Jan Trzeci ożył.*

Król nie obraził się za tę złośliwość.

Autor, pomimo tego czterowiersza, dalej korzystał z łask i szkatuły królewskiej.



Praca dziennikarska w berlińskim oddziale PAT-a w latach 1937-1938 dała mi okazję do spotkania całego szeregu wybitnych osobistości. Jedną z nich był Bolesław Wieniawa-

* Aluzja do francuskiego przemysłowca Boussaca, głównego właściciela Żyrardowa.

Długoszowski. Słyszałem o nim od dawna od mego stryja, Władysława Dziewanowskiego, oficera I Pułku Ułanów Krechowieckich, który kolegował się z Wieniawą w Wyższej Szkole Wojennej. Z karykatur, tak często umieszczanych w *Cyruliku Warszawskim*, znałem jego profil z nosem godnym Cyrano de Bergerac. Wiedziałem poza tym, że był on człowiekiem sporego talentu literackiego: tłumaczył z obcych języków (m.in. pamiętniki napoleońskiego generała kawalerii, Lasalle'a). Zresztą pisał sam nieźle wiersze oraz scenariusze filmowe. Nic dziwnego, że ten przyjaciel wielu Skamandrytów, popularny kompan literackiej cyganerii warszawskiej, który jako adiutant Piłsudskiego mieszkał koło Belwederu, w pałacyku zwanym Pomarańczarnią, był przedmiotem wielu kupletów szopek politycznych. Jeden z nich brzmiał:

*Apollo Armii
Z Pomarańczarni,
Belwederu Straż,
Adiutant Legendy,
Wcielenie Komendy,
Prezentuj twarz!*

W innej szopce kukielka Wieniawy śpiewała:

*Aby talent mój nie gasł,
W tajni Pułku rzy Pegaz,
Bardzo dobrze nam razem,
Mnie z Pegazem pod gazem.*

Gdy (o ile mnie pamięć nie myli, w roku 1934), w szopce nie było kukielki Wieniawy, autorzy Janusz Minkiewicz i Światopełk Karpiński, musieli się w prologu przedstawienia tłumaczyć przed publicznością, że nie wiedzą:

*czy im to przysporzy sławy,
że jest pierwsza bez Wieniawy.*

W grudniu 1938, wyjeżdżając na urlop z Berlina do Włoch, postanowiłem odwiedzić Rzym i złożyć wizytę legen-

darnemu Wieniawie, wówczas już naszemu ambasadorowi przy Kwirynale. Byłem w towarzystwie mego przyjaciela Jan-ka Rostworowskiego, korespondenta prasowego w Rzymie. Ambasada RP mieściła się wówczas w Palazzo Caetani, na via delle Botteghe Oscure. Gdy wszedłem do halu ambasady, królował tam portret gospodarza w szwoleżerskim mundurze, pędzla znanego warszawskiego malarza, Stefana Norblina. Po paru minutach czekania, zostałem zaproszony do gabinetu Wieniawy. Ubrany w granatowy, dwurzędowy garnitur z czarnym krawatem przy białej koszuli, stał on wyprostowany za biurkiem. Jego serdeczne powitanie wskazywało, że pamiętał koleżeństwo z moim stryjem.

Po powitaniu oraz wymianie paru wstępnych zdań, Janek zaryzykował pytanie: „Jak to się stało, panie ambasadorze, że zdecydował się pan na przejście z wojska do dyplomacji?”.

– „Jeszcze w legionach, gdy byłem adiutantem komendanta Józefa Piłsudskiego, ten często powtarzał: ty Wieniawa masz twarz w wojsku mało używaną. Z taką gębą mógłbyś być albo kardynałem albo ambasadorem. Ale że, pomimo twych rozlicznych zalet, na kardynała raczej się nie nadajesz, prędzej czy później marnie skończysz w dyplomacji...”.

– „Ale Komendancie, to jest niemożliwe! Ja się do dyplomacji nie nadaję... jestem tylko oficerem kawalerii. Oficer kawalerii może czasem robić głupstwa, ale nigdy świństwa, a w dyplomacji to wprost przeciwnie: zawsze świństwa a nigdy głupstwa... Ale w końcu przyszedł marzec 1938 roku i Anschluss. Stosunki z Włochami stały się dla nas bardzo ważne. Wówczas Józef Beck przypomniał sobie moją przyjaźń z ministrem Ciano, zięciem Mussoliniego. Przyjaźń tę nawiązałem kilka lat temu, w czasie międzynarodowego kongresu kombatanów w Rzymie. Beck postanowił teraz to wykorzystać i ofiarował mi ambasadę w Kwirynale. Długo wahałem się, ale przypomniawszy sobie przepowiednię Komendanta, zgodziłem się wreszcie. Józek ostrzegał mnie, bym był ostrożny z alkoholem. Mówił mi: ‘Ty Wieniawa, nie daj się nabić Włochom w butelkę’. I dlatego, proszę pana, nie piję... Do rozmów dyplomatycznych trzeba mieć przecież trzeźwą głowę... No, ale życie ma swoje prawa. Każdy osob-

nik składa się z dwóch elementów: człowieka i obywatela. Dzień dla ojczyzny, noc dla patrioty... W dzień się trzymam, w nocy się puszczam...”.

Były to chyba jedyne przechwałki starego lamparta, bo, jak mnie zapewniał ksiądz prałat Walerian Meysztowicz, radca naszej ambasady przy Watykanie, Wieniawa prowadził w Rzymie przykładowe życie rodzinne, ukazywał się często razem z żoną i córką Zuzanną. Nocnych przygód i burd pijackich nie było; w czasie przyjęć oficjalnych, nowy ambasador zachowywał nawet przesadny umiar i zaledwie maczał usta w alkoholowych napojach, a pił do dna tylko oficjalne toasty.

Z Rzymu wracałem do Berlina pociągiem jadącym przez Monachium. Tam wsiadła do mego przedziału przystojna panienka z Poznania, wracająca z narciarskich wakacji w Garmisch-Partenkirchen. Byliśmy sami w przedziale i nawiązałem z nią rozmowę. Okazało się, że spieszy się na Gwiazdkę do rodzinnego domu. Zdołałem ją przekonać, aby zatrzymała się choć na parę godzin w Berlinie, którego nie знаła. Gdy tam wreszcie dotarliśmy późnym wieczorem, wysiedliśmy na Friedrichstrasse. Przy tej właśnie ulicy, niedaleko od dworca kolejowego, mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych oraz trochę dalej nowo budująca się oficjalna siedziba Hitlera, jako głowy państwa i kanclerza Rzeszy, właśnie przebudowywana przez Alberta Speera. Noc była jasna, bo było chyba blisko pełni księżyca. Gdy podszliśmy do wykańczanego właśnie głównego gmachu (był on jeszcze obstawiony rusztowaniami) zauważyliśmy, że niedaleko od głównego wejścia stała mała grupka ludzi. Gdy podszliśmy do niej bliżej, na jakieś kilkanaście kroków, zobaczyliśmy, że był to Hitler, rozmawiający ze swym architektem Albertem Speerem. Obok nich stał oficer SS, najwidoczniej adiutant Hitlera i jakiś osobnik po cywilnemu, chyba sekretarz albo gestapowiec z osobistej ochrony Führera. Poza tym nie było nikogo. Byliśmy zdumieni tym widokiem. Ponieważ nikt nas nie niepokoił, patrzyliśmy dalej na to niezwykle widowisko. Choć byłem już w Berlinie przeszło rok, nigdy nie miałem okazji widzieć tak Hitlera. Teraz miałem okazję obserwowania go bez przerwy przez jakieś

piętnaście do dwudziestu minut i to gdy nie musiał przybierać swej maski potężnego Führera: był teraz całkowicie rozprężony, rozmawiał swobodnie ze swym otoczeniem, zadawał pytania swemu ulubionemu architektowi i uśmiechał się od czasu do czasu. Speer, z podniesioną głową, gestykulując, najwidoczniej objaśniał Hitlerowi szczegóły budowy balkonu, który znajdował się nad główną bramą. Z tego właśnie balkonu, Führer miał potem wygłaszać szereg swych mów do zgromadzonych przed kancelarią tłumów. Po tych wyjaśnieniach, cała czteroosobowa grupa przeszła dookoła budynku, dalej słuchając objaśnień Speera. Szliśmy oboje za nimi, w tejże samej odległości kilkunastu kroków. Choć nie słyszeliśmy dokładnie szczegółów wyjaśnień, ogólny sens tego nocnego spaceru był jasny: architekt budowli chwalił się swemu panu z dokonanego już dzieła i szukał aprobaty dla jego wykończenia. Najwidoczniej to co zostało już wykończone przypadło Hitlerowi do gustu, bo gdy po jakimś kwadransie zniknął ze swym otoczeniem wewnątrz budynku, był w znakomitym humorze.

Moja towarzyszka podróży była zdumiona, że mogliśmy towarzyszyć tak ważnej osobistości i to znajdując się tak blisko niej i nie będąc niepokojeni. Starałem się jej wyjaśnić, że po Anschlussie i po zagarnięciu Sudetów, Hitler stał się bohaterem narodowym, niemal półbogiem. Najwidoczniej ani jemu samemu, ani członkom jego osobistej ochrony, nawet nie przyszło na myśl, że jakiś Niemiec (a wzięto nas zapewne za młodą niemiecką parę) mógłby zagrozić tak powszechnie uwielbianemu idelowi.

Poprzednio z bliska oglądałem Hitlera tylko raz, ale wówczas było to tylko przelotne spojrzenie. Zdarzyło się to w listopadzie 1937. W lecie tego roku, na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu, polski balet reprezentacyjny, kierowany przez Parnella i Zizi Halamę, odniósł duży sukces i otrzymał złoty medal. Wracający przez Berlin do Polski zespół ten został zaproszony do dania kilku występów w jednej z dwóch berlińskich oper. Jako korespondent PAT-a, otrzymałem bilet prasowy na premierę tego widowiska. Właśnie usiadłem na swym miejscu, w pierwszym rzędzie, tuż obok przedstawiciela półurzędowej *Gazety Polskiej*, Kazimierza Smogorzewskiego,

gdy dookoła nagle wstająca z krzeseł publiczność, zaczęła zwracać się do tyłu i bić brawo. Obaj odwróciliśmy się: w dawnej łoży cesarskiej stał Hitler, a obok niego minister propagandy, Józef Goebbels. Obaj byli we frakach. W ciągu przedstawienia miałem tylko parę okazji zerknięcia na nich obu. Gdy po popisowej scenie numeru „Umarł Maciek, umarł...” Maciek (Parnell) zrywa się z mar i zaczyna tańczyć, rozległy się huczne brawa. Moment ten wykorzystałem, aby odwrócić się i spojrzeć na łożę cesarską. Goebbels też bił brawo, ale Hitler był ponury i nadąsany.



W czasie moich studiów doktoranckich w Harvardzie, zaprzyjaźniłem się z profesorem ekonomii tej uczelni, Hendrikiem Houthakkerem (Holendrem z pochodzenia) i jego żoną, Teresą, z domu Tymieniecką, uczennicą księdza Innocentego Bocheńskiego. Jako doktor filozofii, poznała Teresa na jednym z międzynarodowych sympozjów ówczesnego arcybiskupa krakowskiego, a także wykładowcę na KUL-u, Karola Wojtyłę. Gdy w lipcu 1967 przyjechał on do Stanów Zjednoczonych na zjazd eucharystyczny w Filadelfii, Teresa, korzystając z kontaktów tak swoich jak i męża, zaprosiła kardynała na odczyt do Harvardu. Odczyt miał się odbyć 28 lipca, a jego temat to chrześcijański stosunek do zjawiska wyobcowania, czyli alienacji.

Gdy tylko data i tytuł odczytu zostały ustalone, Teresa zwróciła się do mnie z prośbą: „Katolicka Agencja Prasowa chciałaby, abym napisała artykuł, przygotowujący amerykańską opinię publiczną do podróży kardynała po Stanach. Ty jesteś byłym dziennikarzem... Czy nie mógłbyś napisać czegoś w rodzaju krótkiej charakterystyki kardynała, jako jednego z przywódców katolickiej Polski oraz wybitnego uczonego i utalentowanego pisarza?” Zgodziłem się chętnie na tę sugestię. W parostronicowym artykule starałem się opisać, jak młody polonista Uniwersytetu Jagiellońskiego, a potem robotnik z kamieniołomów Solvaya przebrnął przez lata wojny, aby pod jej koniec zostać wyświęcony na katolickiego kapłana. Próbowałem wytłumaczyć, jak w zawrotnym tempie

został on profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, potem biskupem, aby już w roku 1963 zostać wyniesionym do godności arcybiskupa metropolity krakowskiego, i wkrótce stać się jedną z czołowych osobistości Drugiego Soboru Watykańskiego. Na zakończenie powtórzyłem plotkę krążącą w kołach watykańskich, że Kardynał Wojtyła jest uważany za jednego z pięciu czy sześciu najpoważniejszych kandydatów do tronu św. Piotra.

Na dzień 23 lipca, z tytułu tych moich prac przygotowawczych zostałem przez Teresę zaproszony na południowy posiłek z Kardynałem. Po obiedzie, wraz z gościem oraz jego sekretarzem, księdzem prałatem Stanisławem Dziwiszem, spędziłem trzy dni długiego *week-endu* w Pomfred. Ten letni dom rodziny Houthakkerów, położony w stanie Vermont, miał dać gościowi schronienie na okres potrzebny do wykończenia jego referatu, jaki miał być wygłoszony w Harvardzie, dnia 28 lipca. Od początku kłopot był z angielszczyzną. Gość nasz zaczął naukę angielskiego przed rokiem i pracował nad tym systematycznie, z właściwą mu pilnością i uporem. Ale pomimo uderzających zdolności językowych i dużych postępów jakie już uprzednio zrobił, nie był on jeszcze gotów do wygłoszenia poprawnego wykładu akademickiego, na tak skomplikowany temat jak alienacja. Stąd konieczność wyteżonej pracy, by oszlifować przydługą brulion referatu. Tym zajęła się w czasie naszego pobytu w Pomfred Teresa.

Tymczasem ja korzystałem z okazji, aby odetchnąć świeżym powietrzem, spacerować, pływać w pobliskim jeziorze oraz brać udział w rozmowach przy wspólnych posiłkach. Ponieważ letni domek miał tylko jedną łazienkę, musieliśmy ją dzielić. Przy tej okazji nie mogłem nie zauważyć jak skromne były przybory toaletowe Kardynała. Jego pędzel do golenia był tak stary i zużyty, że na pewno przeciętny student amerykański dawno by go wyrzucił do kosza.

W sobotę, dnia 25 lipca, około piątej po południu, po kilku godzinach wyteżonej pracy nad swym referatem, Kardynał zapytał: „Jestem już zbyt zmęczony, aby raz jeszcze przejść przez cały ten tekst. Czy macie tu w pobliżu jakiś staw czy jezioro, gdzie mógłbym odprężyć się i popływać?” Zaprowadziłem jego oraz księdza Dziwisza do tegoż jeziora,

w którym sam pływałem poprzedniego dnia. Pływaliśmy razem około godziny. Wróciliśmy na godzinę siódmą do domku Houthakkerów, gdzie podano kolację. Po kolacji, Henk, przy pomocy obu swych synów, Ludwisia i Jasia, urządził ognisko. Usiedliśmy wszyscy dookoła, by dorzucić chrustu do ognia i śpiewać harcerskie piosenki. Kardynał był w znakomitym humorze i od czasu do czasu zabawiał nas, intonując przyśpiewki góralskie, niektóre całkowicie mi nie znane.

Następnego dnia, w niedzielę, Kardynał, wspomagany przez księdza Dziwisza, odprawił mszę św. na polance, przed domkiem gospodarzy, przy zaimprovizowanym ołtarzu. Po lunchu musieliśmy się przygotować do powrotu do Bostonu, by zdążyć na godzinę 5-tą, gdzie gościa z Polski oczekiwał arcybiskup kardynał Madeiros. Prowadząc samochód, tak zagadałem się z siedzącym obok mnie księdzem Dziwiszem o poezji Norwida, że zmyliłem drogę i spóźniliśmy się na wizytę przeszło godzinę. Spodziewałem się wymówki, ale nasz gość uśmiechnął się tylko wyrozumiale i powiedział: „Jak się prowadzi samochód, nie należy dyskutować o poezji. Poezja upaja tak jak wino...”.

W poniedziałek, 27 lipca wieczorem, państwo Houthakker zaprosili na obiad w swym domu szereg gości, nie tylko ze sfer akademickich. Miałem szczęście siedzieć niedaleko od Kardynała, tak, że mogłem dobrze śledzić jego rozmowy z sąsiadami, z byłym ministrem spraw zagranicznych, Tadeuszem Romerem oraz wybitnym przemysłowcem, Stanisławem Sędzimirem. Kardynał opowiadał, między innymi, o swej wizycie we Wschodnim Berlinie. Jeden z tamtejszych biskupów z zazdrością mówił o wyjątkowej pozycji Kościoła polskiego i polskiej pół-autonomii w ramach sowieckiego imperium. Kardynał zacytował nawet stwierdzenie owego biskupa, który porównując Polskę i Wschodnie Niemcy, powiedział: „*Sie sind eine Nation. Wir sind eine Kolonie*”.

(Wy jesteście narodem. My jesteście kolonią.)

Pod koniec obiadu gospodarz domu wzniósł toast za zdrowie i powodzenie dostojnego gościa. „Przez dłuższy czas – powiedział Henk – dziwiłem się mojej żonie Teresie, która ma duże skłonności do przesady, że z takim zachwytem wyrażała się o Kardynale. Ale teraz, po bliższym zapoznaniu

się z Nim, jestem skłonny podzielać jej zachwyty. Dziś nie mam już wątpliwości, że nasz gość godzien jest najwyższych dostojęstw, jakie może mu zaoferować Kościół...”.



Odczyt w Harvardzie odbył się we wtorek, 28 lipca po południu, w jednej z największych, po brzegi wypełnionych sal uczelni. Prelegent rozpoczął swe wywody analizą dwu przeciwstawnych poglądów na problem wyobcowania jednostki: liberalnego i marksistowskiego. Oba poddał krytyce, jako materialistyczne, a więc nie pokrywające duchowego wymiaru człowieka. Chrześcijaństwo natomiast, ze swym naciskiem na metafizyczne aspekty natury ludzkiej, jest zdolne lepiej zaspokoić transcendentalne potrzeby człowieka. Odrzucając zarówno liberalny indywidualizm, jak i kolektywny marksizm, Kościół katolicki opowiada się za personalizmem. Tylko chrześcijański personalizm może uchronić jednostkę od wyobcowania ze społeczności. Alienacja człowieka jest jedną z plag współczesnego świata. Jest to plaga niemal powszechna, dlatego, że świat hołduje albo liberalnemu indywidualizmowi, z jego kultem absolutnej wolności i nieuchronnym hedonizmem, albo też komunistycznemu kolektywizmowi, a ten z kolei podporządkowuje jednostkę rzekomym imperatywom Historii, pojmowanej materialistycznie. W pierwszym wypadku, jednostka zostaje wyobcowana przez zbytne zaangażowanie się w gromadzenie dóbr i ich konsumpcję, w drugim zaś, na skutek przywołania przez jednostkę na pomoc mechanizmów obronnych, mających uchronić człowieka przed zupełnym zdominowaniem przez kolektyw. Każde wyobcowanie jest błędem, buntem przeciwko społecznej naturze człowieka. Zdaniem mówcy, człowiek określany jest przez dwie dynamiki: dynamikę wynikającą z jego psychicznej i biologicznej natury oraz dynamikę, będącą rezultatem jego osobistych i społecznych doświadczeń. Etyka chrześcijańska zadawała wymogi obu tych mechanizmów, stąd jej integracyjna rola społeczna. Kościół katolicki, głosząc personalizm, chroni jednostkę przed skrajnościami, tak kapitalizmu jak i komunizmu. Stąd wierzący chrześcijanin powinien być bar-

dziej odporny na niebezpieczeństwo alienacji niż jednostka niewierząca. Dobry chrześcijanin winien być włączony w swą religijną wspólnotę, poprzez zharmonizowaną z nią działalność. Definicję Kartezjusza *cogito ergo sum* (myślę więc jestem), należałoby uzupełnić inną, określającą bardziej czynną postawę: *ago ergo sum* (działam, więc jestem). W ten sposób Kardynał, w ciągu jednogodzinnego wykładu, przedstawił swym słuchaczom istotę jednej ze swych książek, pracę o człowieku czynu. Książka ta niedługo potem ukazała się w przekładzie angielskim, pod tytułem „The Acting Person”.

Odczyt zrobił dobre wrażenie. Po odczycie odbyło się przyjęcie, wydane przez uniwersytet. Tu Kardynał wykazał raz jeszcze swe towarzyskie talenty. Rozmawiał swobodnie z profesorami tak jak uczony, a ze studentami tak jakby sam nosił nie kardynalską purpurę, ale granatowe jeansy. Wyjaśniając w sposób bardziej popularny swe uprzednio systematycznie przedstawione poglądy, sypał anegdotami, a nawet dowcipami. Wiele osób, z którymi potem rozmawiałem, wyrażało zdumienie: spodziewały się one spotkać sztywnego, nadętego dygnitarza kościelnego, a miały szczęście zetknąć się z człowiekiem spontanicznym, promieniującym prostotą.

Po zakończeniu przyjęcia, gdy goście już się rozeszli, Kardynał zdumiał mnie raz jeszcze. „Jestem panu profesorowi wdzięczny za pomoc przy organizowaniu mojej wizyty w Harvardzie. Czy pozwoli pan, że przed wyjazdem z Bostonu złożę mu swoją wizytę?”. Zakłopotany tym niespodziewanym gestem kurtuazji, odparłem: „Oczywiście, oczywiście, bardzo proszę”. Wkrótce zaświtała mi myśl, że wizyta Kardynała byłaby znakomitą okazją do skontaktowania go z grupą działaczy katolickich i profesorów, jakich poznałem jeszcze będąc wykładowcą jezuickiej uczelni Boston College. Ustaliwszy z sekretarzem Kardynała, księdzem Dziwiszem, datę wizyty, zasiadłem do telefonu. W tym czasie moja żona Ada była w Polsce, więc musiałem działać sam. Pierwszy był do ojca Donavana, prezydenta (czyli rektora) Boston College. Gdy próbowałem zaprosić go na spotkanie kardynała, arcybiskupa i metropolitę krakowskiego, jezuita odpowiedział, że niestety, nie ma czasu na zajmowanie się kościelnymi sprawami polskimi. Zdziwiony tą odpowiedzią starałem się

wyjaśnić, że obok swego urzędu kościelnego, Kardynał jest też profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i autorem wielu prac naukowych. Z nieukrywaną niecierpliwością, ojciec Donovan dał mi do zrozumienia, że marnuję jego cenny czas i odłożył słuchawkę, nawet nie podziękowawszy mi za moje zaproszenie.

Trudno, pomyślałem, trzeba próbować dalej. Odbyłem kilkanaście podobnych rozmów z innymi osobami, które, jak mi się wydawało, mogły się interesować spotkaniem tak ciekawego gościa z odległego Krakowa. Niektórzy ludzie odmawiali mi od razu, inni obiecywali, że przyjdą. Gdy nadszedł dzień wizyty, Kardynał w swej purpurze zjawił się punktualnie o godzinie szóstej, w towarzystwie sekretarza. Zaproponowałem mu jeden z napojów alkoholowych, whisky czy wino. Odmówił i poprosił o filiżankę kawy. Usiedliśmy w fotelach, rozmawiając o wynikach jego podróży, czekając na gości. Upłynęło pół godziny i nikt się nie zjawił. Minęła godzina i wciąż byliśmy tylko we trójkę. Kardynał dalej spokojnie popijał kawę i dalej gawędził ze mną. Na przyjęciu nie zjawił się nikt.

W latach 1979 i 1983 odwiedzałem mego gościa w Watykanie, już jako papieża. Nigdy nie wspomniał niewypału swojej wizyty w moim domu.

M.K. DZIEWANOWSKI

KIJOWSKIE IMPRESJE

W pierwszej połowie 1989 roku przebywałem w Kijowie, w ramach tak zwanego podwyższania kwalifikacji zawodowych*. Zostałem skierowany przez Ministerstwo Edukacji Narodowej do jednego z instytutów Uniwersytetu Kijowskiego im. Tarasa Szewczenki. Po uciążliwej, kilkunastogodzinnej podróży pociągiem dotarłem na miejsce. Po drodze nocna, orwellowska przygoda na granicy w Brześciu – wielogodzinny postój: wymiana kół na szersze, sowieckie tory, kontrola paszportów i upokarzające przeglądy celników. Przerażająca atmosfera strachu i niepewności podgrzewana panikarskim zachowaniem obsługi pociągu.

Powitała mnie monumentalna architektura „socjalistycznego baroku” Dworca Głównego. Zostałem zakwaterowany w *obszczieżitiu* na Wasylkowskiej 36. Na sześć miesięcy.

Dość szybko okazało się, że obowiązkowe zajęcia nie są zbyt czasochłonne. Po obiedzie, około czternastej mam czas wyłącznie dla siebie. U *zawiedujuszczej* hotelowego. Chcę odseparować się od kilkunastoosobowej grupy Polaków. Celem moich indywidualnych studiów jest poznanie miasta i jego mieszkańców.

Gdy u nas – w Polsce działy się pamiętne rzeczy – dyskusje Okrągłego Stołu, euforia Nowego – ja byłem jeszcze w sowieckiej stolicy Ukrainy. Na chwilę, moment przed niepodległością.

Naddnieprzańska stolica „wciągnęła” mnie. Wiele godzin spędziłem na odkrywaniu piękna i brzydoty, specyfiki, słowem – duszy ukraińskiej metropolii. Zaskoczyło mnie wiele. Ludzie, architektura i sztuka – ta stara jak i najnowsza. Kijów fascynował niepospolitą barwą, rozmachem i... kaszta-

* Odniosłem wrażenie, że nikt spośród nas (może oprócz nawiedzonego Józka z Kielc) nie brał na serio możliwości podwyższenia swoich kwalifikacji zawodowych. Była okazja wyjazdu – więc skorzystaliśmy.

nami. Ludzie bezpośredni, chętnie dyskutujący. Uważnie rejestrują opinie o sobie.

Instytut przy Wasylkowskiej robi na mnie wrażenie. Współczesna architektura – szare granity, wielkie tafle szklane, dużo zieleni. Instytut składa się z części hotelowej i dydaktycznej – lśniąca posadzka, czysto. Obok sal konferencyjnych jest jeszcze całkiem spora sala koncertowa, która w poniedziałki wieczorem zamieniała się w kino. Pokoje w części hotelowej dwuosobowe oraz jednoosobowe. Później dopiero trafiłem do części generalskiej hotelu.

Słuchaczami są Ukraińcy, Rosjanie, Ormianie i inni. Spoza imperium – Polacy i Bułgarzy. Wietnamczycy stanowią osobną grupę. Hermetycznie odizolowani od reszty barierą językową. Bułgarzy – ostrożnie chcą wdawać się w dyskusje z nami – Polakami. Rosjanie – pewni siebie, umiarkowanie ciekawi innych i coś jeszcze... Nie, nie drwina, nie lekceważenie ale to „coś”.

Po przyjeździe do Kijowa najpierw zakwaterowano mnie w pokoju 344. Moim współlokatorem okazał się Oleg – olbrzymi Ukrainiec, koło czterdziestki. Przedstawił się jako „docent habilitowany”. Gdy zapytałem od czego jest docentem, odpowiedział z dumą: – Ja – docent habilitowany od *naucznowo komunizmu*. Od pierwszej minuty znajomości wiem, że muszę poszukać nowego współmieszkańca. Już nie chodziło o ten naukowy komunizm ile o rozbabraną rybę na przetłuszczonej gazecie, stakanczyki z wódką i obcesowe pytania dotyczące zawartości mojej dużej, czerwonej walizki.

Znacznie sympatyczniejszy okazał się mój następny współlokator – Paweł, Rosjanin (43 lata) – wykładowca filozofii, kandydat nauk. Pracownik instytutu pedagogicznego z Gorłowki, gdzieś z Donieckiej obłasti. Ojciec Pawła był deputowanym do przedwojennego parlamentu Czechosłowacji z ramienia stronnictwa chłopskiego w Użgorodzie. Unikamy drażliwych tematów z naszej sąsiedzkiej, trudnej historii. Paweł ma ustalony światopogląd, własną hierarchię wartości, umie słuchać i stara się nie okazywać emocji. Choć... nie pamiętam początku, rozmowa zahaczyła o obecność

wojsk sowieckich w Polsce. Przedstawiłem nasze racje, mówiłem coś o okupacji. Najpierw zeszywniał, już widzę jak nabiera powietrza, wstaje i gestykuluje – ... zapomnieliście kto was wyzwalał?! Polacy – czy wy nigdy nie nauczycie się? Imperializm – oni tylko na to czekają! Odczekałem a następnie zapytałem – Czy byłbyś zadowolony, spokojny – gdyby dajmy na to – w Gorłówce czy w Doniecku stacjonowały wojska japońskie, amerykańskie lub niemieckie... albo polskie... czterdzieści lat po wojnie? Nie spodziewałem się takiej reakcji – ciszy.

Musiało upłynąć trochę czasu zanim zrozumiałem, że nasze doświadczenia są zbyt odmienne aby móc znaleźć płaszczyznę porozumienia. Między nami była tafla szkła – niewidoczna lecz realna, wyczuwalna. Ot, co dla mnie było oczywistą zależnością Ukrainy od Rosji, dla Pawła stanowiło niezniszczalne braterstwo, wspólnotę interesów.

Jego częstym gościem jest stary profesor – Gruzin. Sympatyczny, nadzwyczaj gadatliwy, zapatrzony w swoją piękną Gruzję. W Gruzji wszystko jest naj..., Gruzja, Gruzja.... – ale sowiecka – wzdycha.

Mieszkam na trzecim piętrze, sąsiadów mam spokojnych, leciwych. Na moim korytarzu jest nawet kilku emerytowanych generałów, którzy po odejściu z armii pracują w charakterze wykładowców nauk politycznych wyższych uczelni. Później dowiaduję się, że w ten sposób utrzymuje swoje generalskie pensje – kilkaset procent wyższe niż przysługujące im emerytury. Elegancją wyróżnia się mały, gruby Ormianin – były minister republikańskiego rządu Armenii.

Na seminarium u profesora Warszawczaka – kilkunastu Rosjan i Ukraińców. Polaków czterech czy pięciu. Dłgie, monotonne referaty w języku rosyjskim nużyły, usypiały. Czas wolno płynie, krzesło robi się coraz niewygodniejsze. Gdy mowa o stalinowskich represjach, głos zabiera gruba, w średnim wieku – pewna siebie Rosjanka – ... jak możecie zapominać w tej chwili o partii! My – komuniści ponieśliśmy największe starty, to nas zamykano w tiumach i bez sądów rozstrzeliwano, wielu z naszych z niepokojem nasłuchiwało tupotu butów na schodach... Dyszała wiecową histerią –

nastąpiła cisza – niektórzy spuścili głowy, profesor patrzył w okno.

Potrzebowałem sporo czasu aby dowiedzieć się jaki jest stosunek Ukraińców do innych nacji. Jasne, że w tym względzie nie można było mieć całkowitej pewności... Rosjan mieszka tu wielu ale też i stosunek do Wielkiego Brata – ambiwalentny. Zastanawiająca nieokreśloność, brak wyrazistego sprzeciwu czy też afirmacji w odniesieniu do Rosjan. Nie mogłem zrozumieć z czego to wynika: czy jest to skutek przeciwicznej komunistycznej lekcji internacjonalizmu czy też przyzwolenia wynikającego z obojętności i przyzwyczajenia. A może jedno i drugie?

Największym podziwem cieszą się Niemcy a miłowani powszechnie są Kanadyjczycy. Wyraźna sympatia do Niemców zadziwiła mnie. Ukraińcy doskonale przyswoili sobie wizerunek Niemca idealnego – zorganizowanego, precyzyjnego a przede wszystkim – bogatego. Zastanawiające tym bardziej, że Ukraińcy stanowili największy odsetek poległych żołnierzy Armii Czerwonej. Z lokalnych wieczornych wiadomości telewizyjnych – w jednym z zagajników kijowskich „wychodzą” z ziemi od dłuższego czasu ludzkie kości ofiar II wojny – rozwłózione po okolicy przez bezdomne psy.

Kanada! – to jest to. O Kanadzie śnią młodzi i starzy. Gdy Rada Najwyższa Ukrainy ogłosiła niepodległość w 1991 roku, Polska jako pierwsza uznała nowe państwo – już nazajutrz. Ukraińcy byli nieco skonsternowani – woleli aby zrobiła to pierwsza właśnie Kanada.

...Na nasz negatywny wizerunek przez całe dziesięciolecie pracowała machina oświatowa i propagandowa. Przekonywałem się o tym niejednokrotnie. W niektórych kręgach – a mam na myśli potężny aparat partyjno-urzędniczy średniego i niższego szczebla – Polska traktowana jest podejrzliwie i lekceważąco. Nie mamy najlepszej opinii, kojarzeni jesteśmy przez pryzmat „ruchawki”. Sami nie wiemy czego chcemy, siejemy zamęt. Polacy ciągle strajkują – ... u was wszyscy to pany a jeść nie macie co. Nie znamy wdzięczności, nie umiemy uszanować grobów sowieckich żołnierzy poległych

na polskiej ziemi, no i te tłumy wrzeszczących, spoconych Polaków w sklepach ze złotem. „Perła” i „Kasztan” okazywały się właściwymi celami polskich turystów. Szary człowiek z ulicy ma do nas mniej pretensji. Sprawy polskie interesują go niewiele.

Inaczej przedstawia się sprawa z ludźmi zajmującymi się zawodowo historią czy filozofią – mają bardziej wyważone poglądy na tematy polskie. Jednego z wybitnych profesorów instytutu bardzo żywo zajmował fenomen wpływów Kościoła katolickiego w Polsce. Interesowała go szczególnie problematyka ruchu oazowego – masowy udział młodzieży polskiej w różnych formach religijnej aktywności. Innego – historyka, ciągle jeszcze nurtował aspekt „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” Gomułki.

Głasnost’ – w Moskwie i ówczesnym jeszcze Leningradzie zapuszczająca rześko korzenie, tu – w Kijowie ciągle wydawała się roślinką rachityczną i nie rokującą większych nadziei na przetrwanie.

Dopiero później, po pierwszym kilkudniowym pobycie w Polsce, z okazji świąt wielkanocnych, zdałem sobie sprawę z widocznej różnicy między Polakami a Ukraińcami. Tłum na polskiej ulicy był smutny, twarze naznaczone trudnym do określenia piętnem. Tu – w Kijowie – inaczej. Weselej. Ludzie swobodniejsi – na luzie. Dziewczęta, kobiety jaskrawsze mocnym makijażem. Ludzie wydawali się szczęśliwsi. Powszechnym widokiem były całujące się pary. Wszędzie: w parku, na ulicy, w tramwaju, w metrze (jeśli nie było nadmiernego ścisku).

Jestem w Kreszczatiku – najślawniejszej ulicy Kijowa. Główna arteria komunikacyjna miasta – jego nerw. Handlowe, socjalistyczne eldorado. Ogromne sklepy – ściany, podłogi wyłożone granitami, wielkie kandelabry – jednym słowem: rozmach do złudzenia przypominający stylistykę architektoniczną Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Gorzej z towarem a właściwie z jego jakością. Poza ścisłym centrum miasta natykałem się na małe sklepy dla bohaterów

wojennych z deficytowymi towarami: odkurzaczami, telewizorami, lodówkami itp. Przy drzwiach wejściowych stały stoliki a przy nich staruszkowie obwieszeni medalami. Weterani pełnili społeczne dyżury, pilnując by nieupoważnieni nie dokonywali zakupów. Ot, ukraińska odmiana polskich sklepów dla mundurowych „za żółtymi firankami”.

Kreszczatik, jak Floriańska w Krakowie czy Nowy Świat w Warszawie – ściąga tłumy. Jest kolorowy, szeroki jak potężna rzeka. Ulica żyje prawie całą dobę, szczególnie ożywia się we wczesnych godzinach wieczornych. Rzęsiście oświetlony. Kapele uliczne, mityngi polityczne, tłumy wycieczkowiczów z całego imperium. Pijaków nie widać. Skośnoocy Azjaci, jasnowłosi Rosjanie... Kijów jest szczęśliwy. Co rusz słyszę – ...nasze miasto jest najpiękniejsze, no może Leningrad...

Kijów to nie tylko Kreszczatik i elitarna dzielnica Pieczerskaja. To także wielkie połacie blokowisk – smutnych i szarych, fatalnie oświetlonych. Szczególnie przygnębiające są osiedla budowane dla mas pracujących w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Jezdnie których powstydziliby się najpodlejsza polska miłościna, chodniki, które właściwie chodnikami nie są. Rejony zakazane, niebezpieczne, gdzie nie uświadczysz stójkowego. Tam właśnie, na rogach ulic, skrzyżowaniach sprzedawano kwas chlebowy prosto z ogromnych beczek-cystern na dwóch kołach. W jednej z tych dzielnic mieszkał Sasza-afganiec – a o nim później.

Moje miesięczne stypendium wynosi 300 rubli. Odbieram je, razem z innymi Polakami w nowoczesnym, przeszklonym gmachu naszego konsulatu umiejscowionego w pobliżu Złotej Bramy. Przed budynkiem kilka czarnych wołów i budka milicjanta. W podziemiach konsulatu znajduje się mały sklepik Baltony, gdzie za ruble można zaopatrzyć się wyłącznie w artykuły drogeryjne i... wódkę. Trzysta rubli – dla przeciętnego Ukraińca pokaźna suma. Przeciętna płaca w granicach 120-150 rubli. Sprzątaczkę z mojego hotelu zarabiają około 50 rubli.

Mała gastronomia uliczna to budki z „pirożkami” – ciepłymi bułeczkami z mięsnym farszem, marmoladą – od 6 do 15 kopiejek. Dobry obiad można zjeść już za jednego rubla. Sporo *napitoków* a z nich najbardziej odpowiada mi gruziński *tarchuńczyk*. W przejściach podziemnych są bardzo popularne kafejki, gdzie za jedyne 28 kopiejek można dostać małą czarną z hałaśliwego ekspresu. Sklepy spożywcze przyzwyczajone zaopatrzone. Chleb doskonały. Gęsta śmietana, taka jaką pamiętam z dzieciństwa (lata sześćdziesiąte) – w dużych metalowych konwiach. Moim przebojem kulinarnym są kwaszone pomidory – wyśmienite! Wyroby czekoladowe są, lecz w specjalnych sklepach i trzeba swoje odstać. Herbaty raczej podłe. Sklepy z alkoholem puste, najczęściej zamknięte. Był to czas gorbaczowowskiej krucjaty antyalkoholowej. Wówczas to, na południu zniszczone stare, niejednokrotnie – kilkusetletnie winnice. Spychaczami.

Przy Kreszczatiku naprzeciw pomnika Lenina stoi wielka, dziewiętnastowieczna hala targowa – słynna Besarabka. Wyraźny powiew orientu. Dla przybysza z Polski roku 1989 – szok. Góry rodzynek, suszonych fig, mandarynek, orzeszków ziemnych, egzotycznych granatów. Za ladami najczęściej młodzi mężczyźni kaukaskich nacji. Chwila nieuwagi, wykazanie choćby iskierki zainteresowania wyłożonym towarem a już było się molestowanym niezwykle żarliwie do kupna czegokolwiek. Co za odmiana, po doświadczeniach z polskich smutnych sklepów!

Komunistyczne państwo czy może inaczej – sowiecka organizacja społeczeństwa ukraińskiego zdawała egzamin: wszyscy mieli pracę, państwo gwarantowało zaspokojenie podstawowych potrzeb społecznych. Opłaty (niezmienne od dziesięcioleci) były śmiesznie niskie, prawie darmowe lecz i wynagrodzenia nie były wysokie (rozmowa telefoniczna – 2 kopiejki chleb i metro – 5 kopiejek). Państwo funkcjonowało w miarę poprawnie, czasami coś zazgrzytało ale któż by się tym przejmował skoro w Ameryce psy też boso biegają. Najważniejsze – wiadomo kto rządzi, nie ma bezhołwia.

Wszędzie: na skwerkach, placach, gmachach spłowiata

propaganda gasnącego już komunizmu. Koegzystencja coraz bardziej nieprzystających do siebie: stanu świadomości społecznej, świadomości zdeprawowanej utopii z jeszcze oficjalnie głoszoną ideologią.

Kilkakrotnie obserwowałem popołudniowe i wieczorne misteria patriotyczne pod pomnikiem Tarasa Szewczenki, usytuowanym w parku, naprzeciw pomalowanego na czerwono gmachu uniwersytetu kijowskiego. (Szewczenko – wybitny dziewiętnastowieczny ukraiński poeta i malarz, twórca nowoczesnej literatury romantycznej, szczerze zaprzyjaźniony z polskimi zesłańcami). Spontaniczne, masowe zebrania – z domieszką obrzędowej teatralizacji – recytacje Szewczenkowskiej poezji, rzewne pieśni wyrażające ogromną tęsknotę za własną państwowością, swoją błękitno-żółtą flagą bez zbędnej, sowieckiej ornamentyki. Prosta i piękna jest symbolika ich barw narodowych. Błękit – czyste niebo nad Ukrainą i żółte czy może raczej – złote łany pszeniczne. Długie i żarliwe modlitwy tłumu, skromne wiązanki kwiatów, świece.

Wówczas to byłem świadkiem wielkich chwil, nie zafałszowanych blichtrzem oficjalności. Narodowa mistyka, ponowne budzenie się. Nieodparte skojarzenia z dziadowskimi rytuałami opisanymi przez Mickiewicza... tak wiele żaru, emocji, nadziei... jednak czegoś mi tu brakowało – mimo wszystko – trzeźwego programu reform, dyskusji nt. koncepcji ustrojowych przyszłego państwa.

Dla mnie mistycznym miejscem w Kijowie była Ławra. Ławra Kijowsko-Pieczerska – ogromny, wielohektarowy zespół świątynny architektury prawosławnej nad Dnieprem. Spędziłem tam wiele godzin. Za każdym razem odkrywałem nowe rzeczy. To „odkrywanie” działo się bardziej w sferze impresji, odczuwania wyjątkowości tego miejsca. Emanacja *genius loci*... Święty fragment ziemi ukraińskiej, gdzie żył i pracował Ilarion – najpierw skryba a później pierwszy Rusin na stolcu metropolity kijowskiego namaszczonego przez samego Jarosława Mądrygo. To miejsce wraz z Soborem Sofijskim stanowiło jądro państwowości ruskiej, kuźnię ruskiego mesjanizmu. Sam monastyr założony przez następnego świętego męża – Feodosija.

Od niedawna ponownie zagospodarowywana przez prawowitych gospodarzy – mnichów. Mnisi widoczni są tylko w wydzielonej części Ławry. Wielu młodych, wiecznie spieszących się i rzadko uśmiechniętych. Tam, przy wejściu do katakumb, stojąc w długiej kolejce poznaję Andrieja – młodego diakona. – *Germaniec?* – słyszę konspiracyjny szept, gdy zaprzeczam – jest prawie pewny, że przyjechałem tu z Leningradu. Jest rozzaczarowany gdy dowiaduje się, że jestem Polakiem. Po chwili zgadza się jednak zostać moim *rukowoditelem*. Na codzień zajmuje się różnymi pracami: nadzorem wycieczek zwiedzających *pieszczery*, pracami porządkowymi świętych miejsc. Jego dzień jest długi i pracowity. Ubolewa nad daleko posuniętą laicyzacją Ukraińców.

Z mnichem schodzę do podziemnego, mrocznego świata Ławry. Dowiaduję się, że specyficzny mikroklimat katakumb kijowskich doskonale mumifikuje ciała złożonych tam świętych, mnichów. Wąskie i ciemne korytarze, we wnękach – gdzie spoczywają święci, metropolici Kościoła prawosławnego – nad głowami jarzą się wieczne lampki oliwne. Cisza...

Zdumiewa mnie imponujące tempo prac remontowo-budowlanych w różnych częściach monasteru. Później dopiero domyślam się, że jest to spowodowane mającą nastąpić wkrótce wizytą pierwszego i zarazem ostatniego prezydenta ZSSR – Gorbaczowa.

Charakterystycznym elementem Ławry są baniaste kopuły cerkwi pokryte cienką warstwą złota. W Kijowie jest najczęściej piękna, słoneczna pogoda. Efekt niesamowity – boski, gdy promienie słońca odbijają się w tych kopułach. Zaskakująca feeria barw: biel i zieleń, biel i złoto, złoto i zieleń. Wszystko skąpane w ostrym świetle słońca.

Wnętrza cerkwi pełne wspaniałych ikon, mozaik i fresków. Złoto, dużo złota. Na terenie monasteru znajduje się kilka państwowych muzeów: książki, złota (*dragocennostii*) miniatur, etnograficzne i in. W kilku miejscach Ławry znajdują małe sklepiki z dewocjonaliami. Plastikowe ikonki, czarno-białe zdjęcia *Bogomatiery*. Sporo tandenty lecz zainteresowanie zwiedzających – ogromne.

W centralnym miejscu – wysoki, drewniany parkan okalający wstydliwie ruiny XI-wiecznego wspaniałego niegdyś

Soboru Uspienskiego – zburzonego na rozkaz Stalina.

Mniejszy ale równie wspaniały jest pięciohektarowy kompleks sofijski. Osnową tego miejsca jest monumentalny Sobór Sofijski z 1037 roku.

Wygląd pierwotny soboru zadziwia doskonałą linią, harmonią kompozycji, niezwykłym artyzmem. Architektura świątyni zdaje się być w ruchu, kubatura budynku narasta stopniowo od parterowych galerii zewnętrznych do piramidalnej kompozycji z trzynastu kopuł. Gruntowna zmiana sylwetki następuje na przełomie XVII i XVIII wieku. Nad zewnętrznymi galeriami parterowymi nadbudowano piętra z sześcioma nowymi, barokowymi kopułami (w kształcie gruszek). Stare mury otynkowano i pobielono, kopuły zaś pozłożono.

Zwiedzając słynną sofijkę – ciemną, kamienną – zauważyłem siedzącą na krzeselku starszą kobietę. „Pilnowała” obiektu. Rysy szlachetne, delikatne ręce. Białe – alabastrowe dłonie złożone na kolanach wyraźnie odcinały się od szaroburego tła zniszczonego paletka. Bardzo drobna. Zbliżyła się do mnie i nienaganną francuszczyzną zapytała – *Qu'est-ce que vous desirez, monsieur? est-ce qu'il a quelque chose qui vous interesse particulièrement?*

Pani Olga oprowadza mnie po świątyni.

We wnętrzu moc mozaik, fresków. W zenicie głównej kopuły medalion z monumentalną mozaiką Chrystusa – Pantokratora – ubranego w purpurowy chiton i niebieski płaszcz. Nie warto szybko rozstawać się z sofijką, do obejrzenia nawy, galerie... Przytłaczający majestat i przepych, smak księcia, mistrzostwo ówczesnych artystów... Sobór nie spełniał tylko funkcji sakralnych metropolii, był również społecznym i kulturalnym ośrodkiem państwa staroruskiego. Tu odbywały się koronacje książąt, tu przyjmowano cudzoziemskie poselstwa, pod jego murami zwoływano wiece, tu pisano kroniki, tu wreszcie Jarosław Mądry ufundował pierwszą na Rusi bibliotekę.

Obok Soboru Sofijskiego jest duży plac, na którym znajduje się spizowy pomnik Bohdana Chmielnickiego. Ata-

man na koniu, ubrany w typowy, zdawałoby się polski – szlachecki strój z epoki. W tym miejscu zawsze uczucie niespełnienia oraz dojmująca świadomość tragicznej w skutkach dziejowej pomyłki.

W małej kafejce, usytuowanej niedaleko sofijki poznaję Saszę-afgańca.

Pokiereshowany psychicznie. Żyje szybko, łapczywie chwytą każdą chwilę. Zasypuje pytaniami, nie czekając na odpowiedź nieoczekiwanie zmienia temat. Unika przeszłości. Na zewnątrz demonstruje młodość pewność siebie. Wszędzie, gdzie tylko pojawi się – nawiązuje dialog, jego „afgańskość” jest życzliwie rozpoznawana. Minęło sporo czasu, zanim zaczęły docierać do mnie strzępy jego wspomnień.

...z kompanii przeżyło kilku – trzech czy czterech..., gdzieś na południowy wschód od Kabulu. Z Gienką był jak brat. Razem, wszędzie razem. Pewnej listopadowej nocy Gienadij wyszedł za potrzebą. Rano znaleziono go, zaledwie kilkadziesiąt metrów od namiotu z wydłubanymi oczyma i rozprutym brzuchem. Sasza kocha Wysockiego, w jego skromnym mieszkaniu pełno Wołodii. Na ścianach gazetowe fotografie barda a w kuchni zepsuta lodówka Saratow. Stary, ogromny magnetofon szpulowy – i jego chrapliwe songi – na cały regulator. Sasza płacze...

Mam dużo czasu. Poruszanie się po tym kilkumilionowym mieście nie byłoby możliwe bez sprawnego systemu komunikacji publicznej. Metro – godne pozazdrosczenia. Stacje przepyszne kryształami, granitami i marmurami. I czystością. Kijowianie nie ukrywają dumy ze swojego metra. Za jedyne 5 kopiejek przejedziesz z jednego końca w drugi kraniec miasta. Jeśli nie metrem, można trolejbusem, autobusem czy tramwajem. Duża częstotliwość. Są jeszcze taksówki – a taksówkarze brawurowi niczym dońscy Kozacy. I podobni w niejednym do naszych.

Często przejeżdżam obok gmachu z czerwonej cegły – wyjątkowo odbiegającego od panujących tu standardów architektonicznych. Jest to *Dom Organno* Muzyki a wcześniej kościół św. Mikołaja – strzelisty neogoty, nazywany przez

miejscowych „polskim kościołem”. Jak samotna wyspa. Setki razy, przejeżdżając ulicą Krasnoarmiejską – z okna czerwonego autobusu komunikacji miejskiej widziałem tę nie pasującą tu strzelistość lecz zabrakło odwagi by podejść bliżej, choćby przywitać się. U św. Mikołaja KGB zainstalowało urządzenia zagłuszające audycje radiowe z wolnego świata.

Cudeńkiem architektury sakralnej jest Cerkiew Andrejewska, położona w malowniczej, starej części Kijowa. Zbudowana w XVII wieku na planie innego gmachu. Budynek na budynku – ciekawe. Cerkiew św. Andrzeja jest biało-niebieska, z zielonymi kopułami i złotymi krzyżami na szczytach. W środku muzeum. Białe – bez życia – bez wiernych. Smutne piękno.

Zupełnie inne wrażenie we wspnianiałym (wnętrza w kolorze starego złota), żyjącym wiernymi i ich praktykami religijnymi – Soborze Wołodymirskim. Tłumy wiernych i gapowate wycieczki, dymy kadzideł, móstwo zapalonych cienkich świeczek. Ikonostasy a na suficie – ogromna, złota mozaika przedstawiająca oblicze pięknego Chrystusa. Tam, pierwszy raz usłyszałem starocerkiewne śpiewy, wykonywane przez chóry rozmieszczone w różnych częściach świątyni. Z otchłani wieków i z olbrzymich przestrzeni soboru płynęły ku mnie wyśpiewywane psalmy. Carskie wrota, brodaci popi, zapach kadzideł i wosku. W pieśniach tych, odnalazłem cień prawdy o słowiańskiej duszy, duszy złożonej bizantyzmem...

Do świątyni wchodzi wysoki, chudy mężczyzna, długie włosy spięte gumką w kitek. Monumentalnie otoczony staruszkami całującymi jego ręce. Widać, że zmęczony – przybył z daleka. Wolno podchodzi do jednej, z niezliczonych tu ikon Gogomatiery. Klęka, modli się. Dopiero, po chwili domyślam się, że jest kapłanem. Sługą Kościoła zniewolonego, uciemiężonego, zbrukanego a jednak świętego.

W antykwariacie spotykam pana Andrzeja. Niewysoki, krępy, z wąsami, powyżej sześćdziesiątki. Ukrainiec. Przeprasza, że zaczepia nieznajomego, domyśla się, że jestem Polakiem. Przysłuchiwał się mojej rozmowie z ekspedientką. Prosi

o poświęcenie mu chwili czasu. Okazuje się emerytowanym złotnikiem z małego miasteczka. Gdy wychodzimy na zewnątrz zaprasza mnie do swojej łady. Jedziemy do jego miejscowości. Tak zaczyna się nasza przyjaźń.

Pan Andrzej jest podekscytowany, najpierw cicho potem coraz głośniej śpiewa – pieśni akowskich żołnierzy.

Jako kilkunastolatek, w stanie krańcowego wyczerpania fizycznego przygarnięty przez jeden z leśnych oddziałów. Szybko nauczył się polskiego oraz nauczył się być Polakiem. Beznamiętnie opowiada o akcjach zbrojnych, o tym jak bez hałasu pozbawiał życia śpiących wrogów, o fotografii córki dowódcy.

Ukrainiec daje mi niewiarygodną lekcję patriotyzmu. Ze zdumieniem wysłuchuję tego, co kilkadziesiąt lat temu, młodzi polscy akowcy włożyli do głowy ukraińskiego wyrostka. Słyszę, że Polska jest najpiękniejszym krajem świata..., Polacy wspaniałymi żołnierzami, rycerzami... Odczytywanie snów, jak ze starej, zapomnianej matrycy – tamtego patosu, tamtej miłości i dumy, tego niehumanitarnego patriotyzmu.

Jestem częstym gościem w dwóch muzeach, sąsiadujących ze sobą: muzeum sztuki ukraińskiej i muzeum sztuki rosyjskiej. Po jakimś czasie jestem rozpoznawany przez stare kobiety – portierki, bileterki, pilnujące.

Wielkie sale z trzeszczącymi, woskowymi podłogami, z ogromem dzieł sztuki. Sale są najczęściej puste, od czasu do czasu przebiegnie jakaś wycieczka z prowincji... Szybko, ogłupiała i znużona nadmiarem dzieł do „podziwiania”.

Moją uwagę zwracają szczególnie monumentalne obrazy – ilustracje do poematów Szewczenki, dziewiętnastowieczne malowidła inspirowane antykiem, portrety kniazów i szlachcianek...

Szczególnie upodobałem sobie sale z malarstwem przedstawiającym folklor żydowski. Żydzi w jarmułkach i czarnych chałatach – modlący się, kupczący, zafrasowani... Oprócz tego pejzaże, jarmarki końskie, wiejskie sceny rodzajowe... Świat umarły, raj utracony...

Z mieszanymi uczuciami stoję w sali, gdzie wyłącznie

portrety i miniaturki Katarzyny II – dziesiątki, setki... Na jednych przedstawiana ze służalczym pochlebstwem jako piękna, na innych realistycznie jako gruba ale zawsze jako imperatorowa – zimna, majestatyczna i wyniosła.

Pewnego dnia jadę z Saszą na przyjęcie imieninowe siostry jego byłej żony – Ałły. Najpierw trolejbusem, później tramwajem a na koniec jeszcze dwoma autobusami. Nowa dzielnica. Stół zastawiony, jak u nas na weselach. Siedzimy, nie licząc dzieci – jest nas koło trzydziestu. Rozmowy wyraźnie nie kleją się. Po jakimś czasie domyślam się, że na kogoś czekamy – na kogoś bardzo ważnego. Po dwóch, czy trzech godzinach oczekiwania, wchodzi męczyzna koło sześćdziesiątki... w dresie. Jowialny, uśmiechnięty. Obecni wstają i sadzają gościa na honorowym miejscu. Zaczyna się zabawa. Gościem specjalnym okazuje się ojciec chrzestny solenizantki – były ambasador ZSSR, bodajże w Japonii.

W trakcie części „oficjalnej” jestem niespodziewanie wywołany do wygłoszenia toastu. Wpadam w panikę. Z kieliszkiem w dłoni gorączkowo zastanawiam się o czym mówić. No cóż, nia ma rady – trzeba zacząć. I mówię to, czego ode mnie oczekują zebrani. O przyjaźni między narodami, o potrzebie wzajemnego poznawania się, o potrzebie bliższych kontaktów. Widzę poważne, skupione twarze moich nowych znajomych.

W trakcie uroczystości poznaję Witię – trzydziestoletniego dryblasza z czarnym wąsikiem. W czasie rozmowy przedstawia się jako oficer KGB. Moje zaskoczenie wywołuje to, że kilka innych osób wskazując na Witię potwierdza jego specyficzną funkcję. I co ciekawe – nie informują aby przestrec (konspiracyjnym szeptem – ma się rozumieć) lecz informują po to by poinformować, że np. Aleś jest cybernetykiem a Igor – inżynierem.

Niedaleko wielkiego Placu Sołomieńskiego (nieco wcześniej – Breżniewska) otoczonego szarymi gmachami wojskowymi szkół oficerskich, znajduje się niewielki cmentarz poległych żołnierzy armii czerwonej z czasów wojny ojczyźnianej. Kwatery uporządkowane, zadbane, dalej, za płotem –

cmentarz cywilny i tu przykre wrażenie. Wygląda na to, że pamięć żywych o „najdroższych” zmarłych kończy się z chwilą złożenia ich do grobu. Stoję nad grobem dziewczynki – Nataszy, lat 9. Lalki, pluszowy miś, wstążki, kokardki – zszarzałe, zbutwiałe, zgwałcone bezlitosnym czasem.

W niedzielę jestem zaproszony na obiad. Pan Andrzej punktualnie o godzinie 12 podjeżdża pod hotel. Po godzinnej jeździe samochodem jesteśmy na miejscu. Żona, skromna i zazwyczaj milcząca usuwa się w cień.

Wolno zapadający zmierzch skłania do refleksji, wspomnień. Nie przerywam – uważnie słucham... o wielkim głodzie na Ukrainie, wsiach otoczonych enkawudzistami, o chłopach i ich dzieciach z rozdętymi z głodu brzuchami... i o nauczycielu z sąsiedniej wioski, wyruszającym w świat w poszukiwaniu pokarmu dla swoich pięciorga niebożąt powracającym tego samego dnia, gdy dzieci już śpiące. Przed zadaniem sobie śmierci, dokładnie instruuje żonę o sposobie półwiartowania własnego ciała. Kilka dni wcześniej przygotowuje małą piwniczkę – pod kuchnią, w której mają być przechowywane kawałki zasolonego ciała... dla dzieci.

Widzę rozległe stepy Ukrainy pokryte łanami zbóż i małe, czarne punkciki na horyzoncie – enkawudyści na koniach, z karabinami gotowymi do strzału.

Innym razem, po długim spacerze w suchym lesie, pan Andrzej prowadzi mnie do małego pokoju na piętrze. Długo szuka odpowiedniego klucza, waha się – wreszcie otwiera.

Kilka szaf, oszklona gablota, na ścianach obrazy. W tym mrocznym pokoju są polskie skarby pana Andrzeja – jego miłość. Przez długie lata zbierał pamiątki po spalonych polskich dworach, pałacach, kościołach zamienianych w magazyny lub kołchozowe kina. W kącie fragment marmurowej konsoli – kamiennej podpory z polskim herbem książęcym. Na ścianie, przy drzwiach – duży medalion z brązu – popiersie Józefa Poniatowskiego, obrazy z Naczelnikiem Kościuszką, mały pejzaż Stanisławskiego... W szafach egzemplarze z rozproszonych, zniszczonych księgozbiorów pałacowych i dworskich – wyciągane z błota...

Wietnamczycy okazują się wzorem karności. Do stołówki schodzą całą kompanią – tworzą długą, milczącą kolejkę, nie rozmawiają nawet między sobą. Patrzą.

Mężczyźni zawsze w kusych marynareczkach, bez względu na pogodę i porę roku. Okazuje się, że w całej kilkudziesięcioosobowej grupie jest tylko jeden znający język rosyjski – komisarz wietnamskiej ekipy.

Pewnego czerwcowego popołudnia, około 17-tej słyszę straszne krzyki, wyglądam przez okno – okazuje się, że kilku Wietnamczyków przywiozło 12 lodówek. Po chwili przyjeżdża jeszcze jedna ciężarówka z lodówkami. Boże, jak oni to przewiożą do Wietnamu?

Żegnam Kijów. Żegnam się z nie opisanymi przeze mnie majestatycznym Dnieprem, świętą Ławrą, z muzeami i galeriami, z fontannami na wielkim placu upamiętniającym swoją nazwą bolszewicką rewolucję.



Nie stulecia a zaledwie kilka lat dzieli nas od tamtej epoki. Epoki wydającej się dziesiątkom milionów – rajem utraconym, rajem w którym pierożki były po sześć kopiejek.

A zresztą okazuje się, że każda minioną epoką staje się z czasem rajem utraconym dla milionów rozczarowanych, zawiedzionych i oszukanych.

Justyn JANKIEWICZ

LISTY DO REDAKCJI

29 marca 1999

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielkim uznaniem przyjąłem artykuł J. Zdzisława Szyleyki (*Zeszyty Historyczne* Nr 126, str. 118 i dalsze) o Dzienniku Radiowym Rozgłośni Polskiej RWE. Jest bowiem jeszcze wielu anonimowych bohaterów obu wojen – „gorącej” i „zimnej” – którzy zasługują na uznanie, choćby pośmiertne.

Wspomnienia Szyleyki, nawet odnośnie lat jakie obejmują (1952-1972), wymagają kilku drobnych sprostowań i uzupełnień.

Wincenty Rapacki „Wnuk” (str. 120) ze słynnej ongiś dynastii Rapackich, z rozgłośnią Polskiego Radia w Łodzi chyba niewiele miał wspólnego. Pianista – m.in. członek „Tria Rapackich” i duetu fortepianowego „Żyński (Jan Bereżyński) – Rapacki” – pracował na etacie w Dyrekcji Muzycznej Polskiego Radia w Warszawie. W czasie wojny w wojskowej czołówce „Lwowska Fala”, później w Londynie w „Niebieskim Baloniku” Budzyńskiego. W RWE był szefem polskiego działu realizacji programów („Produkcja”).

Koleżanka Zembrzuska (str. 132) ma na imię Irma (nie Irena).

Trzeciomajowa (1952) inauguracja Rozgłośni Polskiej RWE była nadana jeszcze z Possartstr. (byłem jej „akuszerem”), choć nagrana w wielkim studio przy Englischer Garten.

Losy czytania Dziennika Radiowego były następujące: najpierw mieli to czynić redaktorzy dyżurni; projekt okazał się niewykonalny już na początku „suchej zaprawy”. Potem prawie wszyscy aktorzy i aktorki; to też szybko upadło, ale z pierwszego zespołu roku 1952 przetrwali: Hanna Dorwska (do przejścia na emeryturę), Jerzy Kopczewski (do śmiertelnego zawału) oraz Wacław Krajewski i Jerzy Bożekowski.

Redagowanie i czytanie wiadomości, to szczególnie kunszt

radiowy: nie każdy potrafi dobrze go opanować. Warto przeto wspomnieć, że lektorami byli późniejsi redaktorzy Dziennika: Michał Tyszkiewicz, Tadeusz Łasko, Stefan Wysocki i Alfred Znamierowski. – Jakoś Szyleyko zapomniał wymienić wśród „czytaczy” poetę Kazimierza Sowińskiego i poetę-dziennikarza, długoletniego filara wczesnorannych dyżurów, największego oryginała RWE, Wawrzyńca Czereśniewskiego.

Jako się rzekło, moje sprostowania i uzupełnienia dotyczą 20-tu lat pracy Szyleyki w RWE. Pamięć ludzka jest zawodna. Może i ja o kimś lub o czymś z tego okresu zapomniałem, zwłaszcza, że 11 lat (1956-67) pracowałem w Paryżu. Ale to, i moich 10 lat więcej od Szyleyki, nie należy do historii Dziennika Radiowego Rozgłośni Polskiej RWE.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

Jacek K. MACHNIEWICZ



18 marca 1999

Szanowny Panie Redaktorze,

W wywiadzie z generałem Juliuszem Hibnerem (*Zeszyty Historyczne* nr 124) oraz w liście Henryka Dunajewskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 125) wspomniana została postać kapelana 1 Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, księdza Wilhelma Franciszka Kubsza.

Powojenne losy tego kapłana są mało znane i warto kilka słów im poświęcić. Ks. Kubszowi – mianowanemu 21 lipca 1944 r. Generalnym Dziekanem WP – nie dane było towarzyszyć swoim żołnierzom do ostatnich dni wojny. Jesienią 1944 r. oskarżony został o wygłoszenie nieprawomyślnego kazania w Przemyślu oraz rzekome odrzucenie mandatu do Krajowej Rady Narodowej.

Doszedł do tego osobisty konflikt z ówczesnym naczelnym dowódcą WP gen. Michałem Rola-Żymierskim na tle stosunku do Armii Krajowej. Rodzony brat ks. Kubsza był żołnierzem AK. 31 stycznia 1945 r. gen. Rola-Żymierski zdjął ks. Kubsza z funkcji Generalnego Dziekana WP i usunął go z wojska.

Dzięki pomocy kolegów ksiądz wyjechał w Góry Świętokrzyskie i znalazł schronienie w klasztorze Ojców Oblatów Św. Krzyża koło Kielc. Przebywał tam do 1947 r. pod przybranym nazwiskiem Franciszka Kopcia. Władze wojewódzkie w Kielcach zapewne o tym wiedziały, ale nie podejmowały przeciwko niemu żadnych działań. 1 września 1947 r. ks. Kubsz został

przeniesiony do klasztoru Oblatów w Poznaniu, a następnie do Św. Józefa w Gdańsku.

W lipcu 1954 r. wówczas 43-letni ks. Kubsz otrzymał zgodę na objęcie małego probostwa w Pawłowie w diecezji chełmińskiej. Przez cały ten okres pragnął jednak powrócić do służby wojskowej. Za aprobatą prymasa Stefana Wyszyńskiego, a potem kardynała Bolesława Kominka pisał kolejne podania do władz wojskowych i generalnego dziekanatu WP. Ani przed październikową odwilżą, ani po niej nie otrzymał na swe pisma żadnej odpowiedzi.

Dopiero w 1964 r. dzięki pomocy płk. dr Juliana Hu-meńskiego, nowego Generalnego Dziekana WP ks. Kubsz powrócił do wojska. W październiku tego roku został zatrudniony w duszpasterstwie wojskowym jako kapelan pomocniczy garnizonowego kościoła Św. Elżbiety we Wrocławiu.

Po pięciu latach, 26 kwietnia 1969 r. złożył ponownie przyjęcie wojskową i został etatowym proboszczem garnizonowym we Wrocławiu. W marcu 1970 r. objął probostwo garnizonu Katowice. W 1973 r. zaprzyjaźniony z rodziną Kubszów ordynariusz wrocławski Bolesław Kominek przeniósł go do Jeleniej Góry, gdzie obok funkcji proboszcza miejscowego garnizonu objął też cywilną parafię Św. Krzyża.

W 1977 r. ks. Kubsz zakończył służbę wojskową. Rozkazem szefa MON został mu zaliczony do wysługi lat okres pobytu w partyzantce i w wojsku oraz cały okres w Polsce powojennej – dokładnie 29 lat 11 miesięcy i 10 dni.

Przez wszystkie powojenne lata ks. Kubsz starał się utrzymywać kontakty ze swoimi żołnierzami. Po przeniesieniu do Jeleniej Góry, skąd bliżej było do skupisk osadników wojskowych, kontakty te stały się częstsze i serdeczniejsze. Wielką radość sprawiały mu spotkania z osiadłymi we wsi Platerówka naszymi koleżankami z Batalionu Kobiecego im. Emilii Plater, które przed laty – jeszcze w sieleckim obozie – otaczał szczególną duszpasterską opieką.

To właśnie w kręgu dawnych Platerówek zrodził się pomysł utrwalenia pamięci o tym bliskim nam – kombatanom Wojska Polskiego na Wschodzie – kapłanie. Zbiorowym wysiłkiem i staraniem naszego środowiska, przy finansowej pomocy Urzędu do Spraw Kombatanów i Osób Represjonowanych oraz prezydenta Jeleniej Góry, w 1998 r. wydana została książka „Ze Wschodu z kapłanem”, której egzemplarz pozwalam sobie w załączeniu przesłać.

Z wyrazami szacunku

*Wacław SZKLARSKI
(gen. dyw. w st. spocz.)*

SPIS TREŚCI

Jerzy Stadnicki: <i>Mój pamięciowy obraz Oświęcimia</i> .	3
Przemysław Waingertner: <i>Dekompozycja środowiska „Naprawy” (1935-1937)</i>	19
Marian Sworzeń: <i>Sędziowie w podbitym kraju</i>	38
Jan Nowak-Jeziorański: <i>Zrabowane zasługi</i>	54
Joseph Jedd: <i>Wyjątki z przemówienia</i>	68
Hanna Świdorska: <i>Z dziejów polskiej prasy w Anglii</i>	75
Janusz Dunin-Horkawicz: <i>Jak szanować Litwę?</i> . . .	82
Grzegorz Motyka: <i>Ostro tak, ale czy zawsze prawdziwie?</i>	89

WSPOMNIENIA

Zbigniew Sroczyński: <i>Konspiracja krakowska 1939-1945</i>	98
Stanisław Tamowicz: <i>Pluton łączności kanałami</i> . . .	127

CI, CO ODESZLI

Piotr Wandycz: <i>Pożegnanie Aleksandra Gieysztora</i> .	137
Zenon Wysłouch: <i>Pożegnanie Ojca</i>	142

KSIĄŻKI

Grzegorz Gömöri: <i>Świadectwo bujnego życia</i>	147
Tadeusz Wyrwa: <i>Stosunki polsko-fińskie w latach 1939-1941</i>	152
<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	161

DOKUMENTY

Jak Niemcy oceniali w 1920 r. polskich dowódców? 167

OKRUCHY HISTORII

<i>Apel Kościuszkowski</i>	175
Hanka Anders-Nowakowska: <i>Dwa listy do Brata</i> . . .	176
Marek Rudzki: <i>Architekci Juliusz Nagórski i Jan Łukasik w latach okupacji niemieckiej</i>	180
M.K. Dziewanowski: <i>Wybitni ludzie o jakich otarłem się</i>	189
Justyn Jankiewicz: <i>Kijowskie impresje</i>	204

LISTY DO REDAKCJI

Jacek K. Machniewicz: <i>Uwagi na marginesie artykułu J. Zdzisława Szylejki (Zeszyty Historyczne nr 126)</i>	220
Wacław Szklarski: <i>Uwagi do wywiadu z Juliuszem Hibnerem (Zeszyty Historyczne, nr 124)</i>	221

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 28 MAI 1999
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 2^e trim. 1999
N° d'imprimeur : 4039

F 90